Mój ojciec, Paweł Jasienica

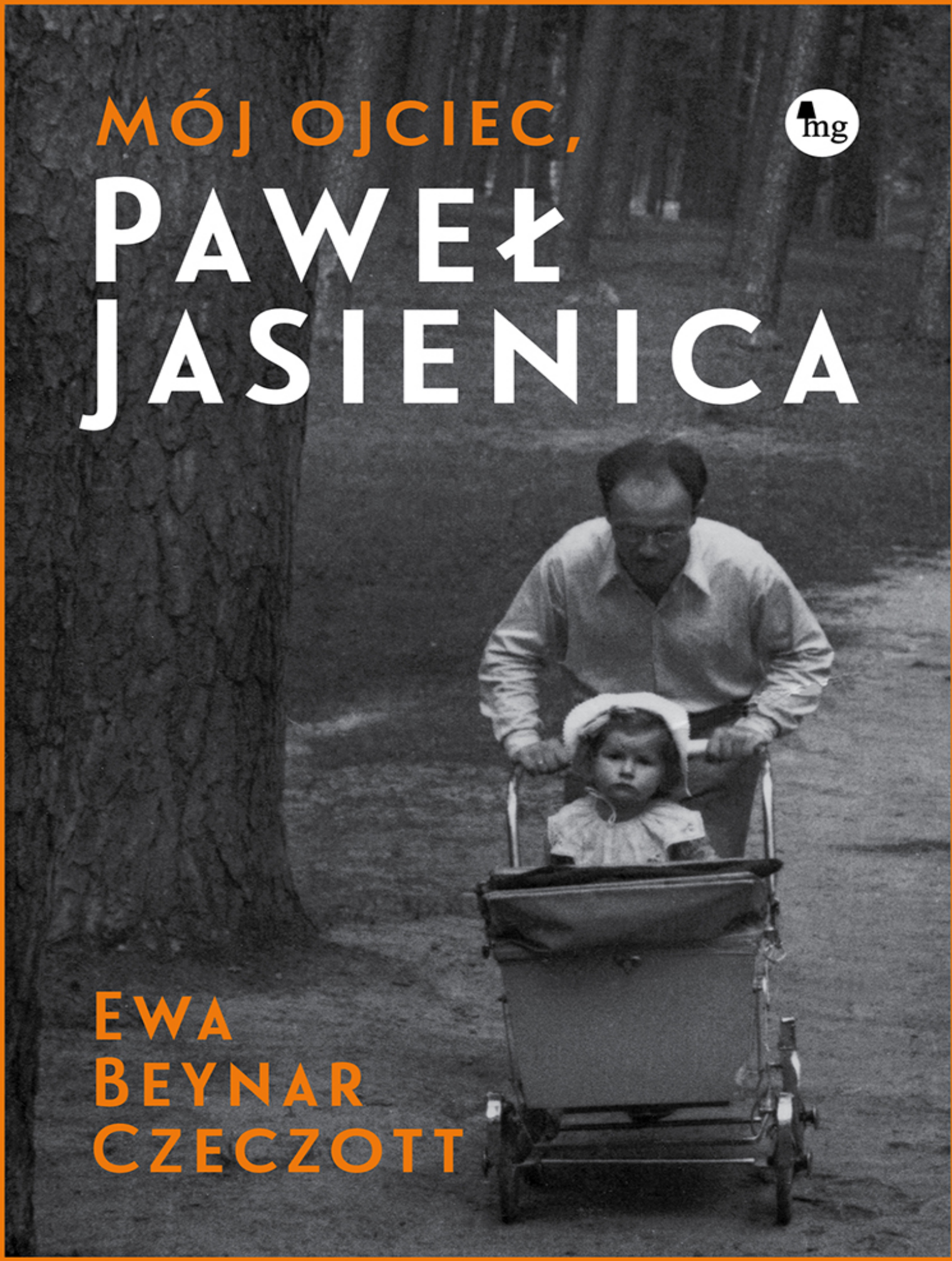

Ewa Beynar Czeczott

MÓJ OJCIEC,

PAWEŁ JASIENICA

Podziękowania dla Oldka i Natalii za pomoc i wsparcie.

Umarli mówią, stanowią jakieś mniej lub bardziej określone zobowiązania. Niekiedy umarli zobowiązują mocniej niż żywi. U grobu zmarłego człowiek uświadamia sobie, że jest dziedzicem.

ks. Józef Tischner

WSTĘP

Tę książkę w pierwszej wersji napisałam za namową ówczesnej przedstawicielki wydawnictwa Prószyński i S-ka, pani Doroty Malinowskiej-Grupińskiej. Właśnie rozpoczynał się proces dotyczący praw autorskich do dzieł mojego ojca Pawła Jasienicy. Sprawą nie bardzo interesowały się media, ale zaczynała być ciekawa dla co energiczniejszych wydawców. Podczas promocji książki Joanny Siedleckiej *Obława. Losy represjonowanych pisarzy* omawiano między innymi przypadek Jasienicy. Podczas dyskusji na tym spotkaniu zabrałam głos i powiedziałam, że nie mogę zrozumieć, dlaczego książki, które zabiera z sobą do Rzymu Ojciec Święty, nie mogą ukazywać się w wolnej Polsce z powodów zbyt rygorystycznie traktowanych przepisów prawnych. Parę osób zainteresowało się tym problemem, w kuluarowych rozmowach padły propozycje pomocy. Kilka dni później zadzwoniła do mnie pani Malinowska-Grupińska z informacją, że wydawnictwo jest zainteresowane wydaniem całości dzieł Jasienicy, ale także z propozycją napisania przeze mnie książki o moim ojcu. Taki pomysł nigdy nie przyszedłby mi do głowy. Jestem inżynierem budownictwa wodnego i w życiu pisałam przede wszystkim fachowe „oceny stanu technicznego budowli”, którymi się zajmowałam, czy inne tego rodzaju techniczne teksty. Do mojego stylu mieli niekiedy pretensje szefowie wytykający mi, że jako córka znanego pisarza, pozwalam sobie na nietechniczne sformułowania. Zresztą polonistka w szkole też zdobyła się kiedyś na ocenę mojej pracy: bardzo dobra, ale podejrzewam niesamodzielność. Wytykano mi dość często i naprawdę bezpodstawnie pomoc taty. Ludzie, z którymi w epoce przedinternetowej komunikowałam się listownie, uważali, że pisuję raczej dość składnie. Ale do głowy mi nie przyszło tworzenie czegoś, co można uznać za literaturę.

Przyznaję, że poczułam potrzebę publicznej wypowiedzi po obejrzeniu teczki mojego ojca. Chciałam wtedy opisać kłamstwa Wiesława Gomółki z 1968 roku, kiedy publicznie zarzucał ojcu niegodne go zobowiązania w zamian za zwolnienie z więzienia. Napisałam więc do „Tygodnika Powszechnego" wyjaśniający artykuł, który redakcja wydrukowała bez wprowadzania jakichkolwiek zmian. Po raz kolejny zdecydowałam się na publikację, kiedy zupełnie wyprowadziło mnie z równowagi działanie stołecznej służby zdrowia, z którą miałam wątpliwy zaszczyt zapoznać się podczas choroby męża. Opisałam wtedy w „Gazecie Wyborczej" wszystkie głupoty, z którymi się zetknęłam. Ale żeby pisać książkę, o tym nie myślałam nigdy.

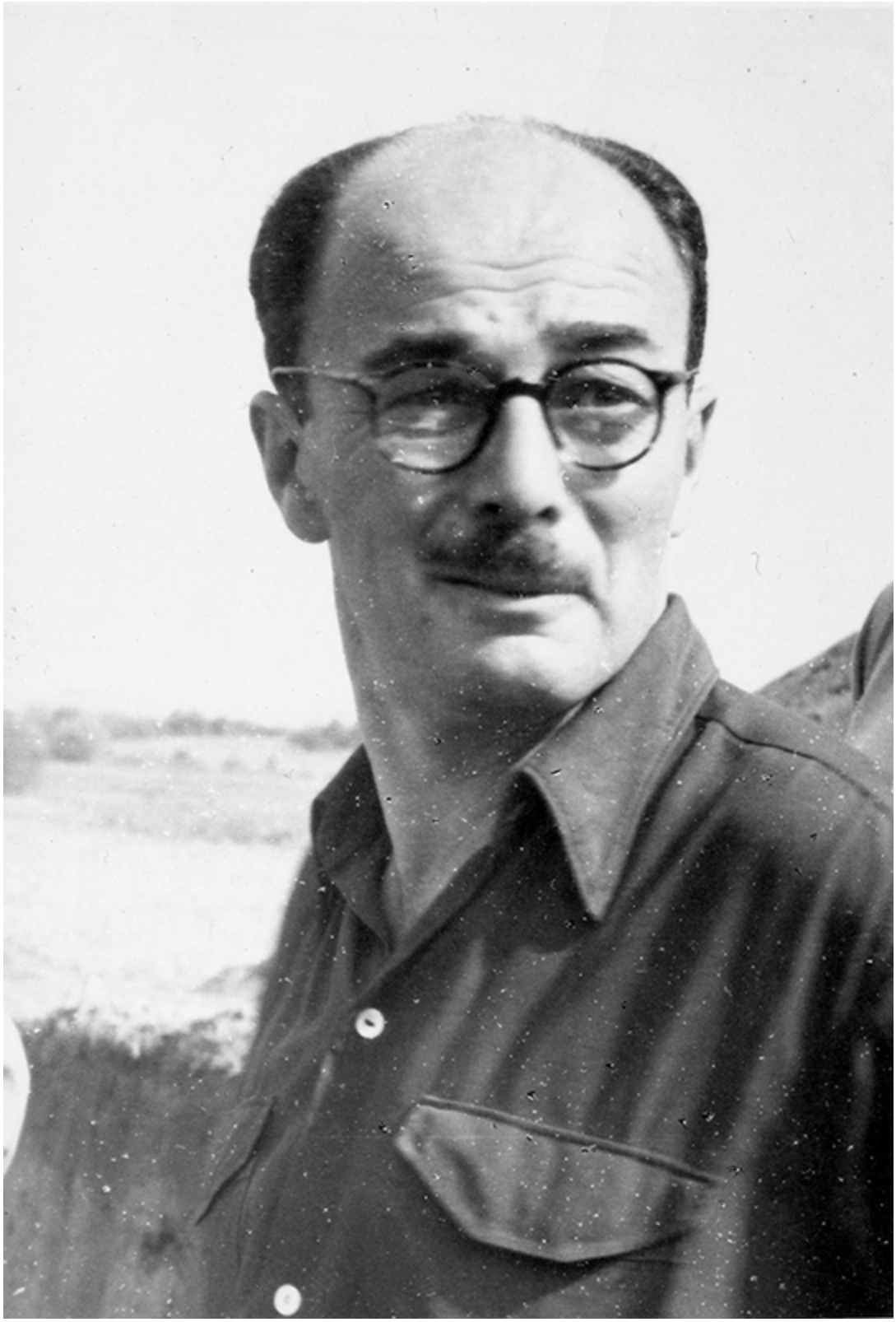

Po pewnym czasie i po dłuższych rozmowach z zaprzyjaźnioną już wtedy Dorotą Malinowską-Grupińską postanowiłam jednak, że spróbuję. W ostateczności, jeśli się nie uda, to będzie zmartwienie wydawnictwa. Pisałam przez parę miesięcy, wertując rodzinne papiery i zdjęcia i szukając źródeł w Internecie. Wspólnie z Dorotą stwierdziłyśmy, że książka powinna mieć wstęp profesora Bartoszewskiego. Zwróciłam się do niego z zapytaniem, czy zechciałby go napisać. Odpowiedział w swoim stylu, że uważa to za obowiązek. I oczywiście napisał. Zawsze wspominał swoją przyjaźń z Jasienicą i niejednokrotnie dawał jej wyraz. Książka, oczywiście po redakcyjnych poprawkach, ku mojemu zdziwieniu niezbyt licznych, ukazała się i nawet zdobyła czytelników. Zapraszano mnie na spotkania z nimi, znalazłam się w nowej roli w świecie dotychczas znanym mi z innej strony.

Minęło parę lat. Książki ojca wydał Prószyński i S-ka. Dorota, po rozstaniu się z tym wydawnictwem, założyła własne i niespodziewanie zaproponowała mi drugie wydanie mojej książki uzupełnione opisem późniejszych wydarzeń… Nie zdawałyśmy sobie jeszcze wtedy sprawy, jak bardzo książka o Jasienicy staje się coraz bardziej aktualna w dzisiejszych czasach.

WILNO

Splot okoliczności, w wyniku których w Trzeciej Rzeczpospolitej nie ukazywały się książki Pawła Jasienicy, skłonił mnie do tego, że ja, jedyna córka, postanowiłam spisać zapamiętane wydarzenia. Wydaje mi się ważne i istotne przedstawienie go nie tylko jako pisarza, ale także jako ojca. Przy okazji podejmuję próbę wyjaśnienia spraw, których on wyjaśnić nie mógł i nie zdążył.

Na ofiarowanym mi 16 października 1963 roku egzemplarzu *Polski Jagiellonów* tata napisał: Ewa! Nie zapomnij nigdy, że jesteś z Wilna, ani tego, że Twój praszczur podpisywał akt Unii Horodelskiej – po stronie litewskiej.

Jest takie podanie o początkach naszego rodu: Podczas walk z Turkami polski rycerz dostał się do niewoli razem ze swym giermkiem Beynarem – Tatarem. Skuto im razem nogi, aby uniemożliwić ucieczkę. Giermek odrąbał sobie nogę, aby ratować pana. Rycerz uciekł, a chan turecki, wzruszony bohaterstwem giermka, kazał go leczyć, po czym odesłał do Polski. Król nadał Beynarowi tytuł szlachecki, herb „Złota Goleń” i podarował mu nogę ze złota. Herb „Złotogoleńczyk” to inaczej „Nowina”. Według drzewa genealogicznego Beynarów początek rodu dał w 1380 roku Mikołaj Beynar, nasza gałąź pochodzi od jego syna Bartłomieja.

Mój pradziadek Ludwik Beynar, uczestnik powstania styczniowego, emigrował do Francji, gdzie ożenił się ze sfrancuziałą Hiszpanką Adelą Feugas. Z kolei ojciec babci, Wiktor Maliszewski, urodzony w Nantes, był synem powstańca z 1830 roku, który też znalazł się we Francji. W latach 60. XIX wieku Maliszewscy przesiedlili się do Rosji, podobnie jak Beynarowie.

Tata – Leon Lech – przyszedł na świat w tym samym mieście co Włodzimierz Ilicz Ulianow, czyli w Symbirsku nad Wołgą, 10 listopada 1909 roku jako drugie dziecko Mikołaja i Heleny Beynarów. Pierworodny,

Janusz, urodził się 12 września 1907 roku w Jekaterynburgu, na samym wschodzie Rosji (w lipcu 1918 zamordowano tam cara Mikołaja II i jego rodzinę). Najmłodszą z rodzeństwa była Irena – urodziła się w Petersburgu 6 marca 1915 roku. Dziadek pracował jako agronom. Pierwszą pracę dostał właśnie w Jekaterynburgu. Jako potomek powstańca musiał osiedlić się na wschodzie Rosji. Jednak z biegiem czasu rodzina przemieszczała się coraz bardziej na zachód, aż w 1920 roku dotarła do Warszawy.

Babcia Helena

Dziadek Mikołaj

Z opowieści taty i jego pamiętnika wiem, że babcia Helena bardzo dbała o rozwój umysłowy swoich dzieci. Kultywowanie polskości, czytanie na głos odpowiednio dobranej literatury stanowiło w okresie rosyjskim rytuał. Języki polski, rosyjski i ukraiński dzieci poznawały w domu. Do nauki francuskiego angażowano nauczycielki. Po przyjeździe do Polski, kiedy Beynarowie znaleźli się w Warszawie, dziadek przez pewien czas nie miał żadnego zajęcia. Wtedy rodzinę utrzymywała babcia, wykorzystując swoją umiejętność haftowania. Żałuję, że nie zapytałam nigdy o to, kim byli zleceniodawcy tych prac. Kiedy synowie poszli do szkoły, zaczęły się problemy. Przekaz rodzinny głosił, że w warszawskiej szkole ojców marianów na Bielanach wpisano do dziennika: Beynarowie wdarli się do klasy jak tabun koni.

W latach 1921-1924 rodzina mieszkała w Opatowie, a następnie w Grodnie, gdzie ojciec zdał maturę w 1928 roku. Zachowane świadectwo z czwartej klasy Gimnazjum im. Bartosza Głowackiego w Opatowie nie świadczy o tym, że Leon Beynar był wzorowym uczniem – niedostatecznie z łaciny, której w przyszłości tak często używał, i zaledwie dobra ocena z zachowania się poza szkołą. Janusz którąś klasę repetował. Na świadectwie maturalnym, wydanym Lechowi po ukończeniu nauki w Państwowym Gimnazjum Męskim im. Adama Mickiewicza w Grodnie, widnieje zdanie, że absolwent jest „człowiekiem dojrzałym do studiów wyższych”. Stopnie miał raczej średnie, tylko z historii ocenę bardzo dobrą. Stopień dostateczny z matematyki był, moim zdaniem, nieco zawyżony.

Bracia Lech i Janusz, rok 1912

Uczeń

Wreszcie rodzina przeprowadziła się do Wilna i zamieszkała w domku na Zwierzyńcu, przy ulicy Jaskółczej 4. Dzieci dorosły, a rodzice zapewnili im możliwość studiowania. Janusz został agronomem, Irena lekarką, a że Lech będzie historykiem, wszyscy wiedzieli od dawna. Od dzieciństwa interesowała go tylko przeszłość, pochłaniał mnóstwo historycznych książek. W 1928 roku rozpoczął studia z zakresu historii na wydziale humanistycznym Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie.

Rodzina w komplecie

Mamę, Władysławę Adamowicz, urodzoną w Wilnie 4 stycznia 1904 roku, wcześnie osieroconą, wychowywały dwie starsze siostry (Stanisława i Wacława). Obie ukończyły szkołę średnią o kierunku pedagogicznym na tajnych kompletach im. M. Wysłouchowej w Wilnie, a następnie Seminarium Nauczycielskie im. Elizy Orzeszkowej w Warszawie i zostały nauczycielkami. Nigdy nie powychodziły za mąż, nie tyle z powodu braku

adoratorów, ile z przekonania wpojonego w tej szkole, że chcąc dobrze uczyć i wychowywać cudze dzieci, nie można mieć własnych. Zajęły się młodszą siostrą, której zapewniły nie tylko naukę w dobrej szkole (im. Elizy Orzeszkowej w Wilnie), ale też na Wydziale Chemii Uniwersytetu Stefana Batorego. I tak moi rodzice poznali się na studiach.

Obydwoje należeli do Klubu Włóczęgów, uprawiali wioślarstwo sportowe i turystyczne, uczestniczyli w różnych wycieczkach i studenckich imprezach. O tym można przeczytać w *Pamiętniku*: *Wstąpiłem do takiej organizacji, która w ogóle nie miała sztandaru, bo go zastępował olbrzymi, dwumetrowej chyba długości kij pielgrzymi, ozdobiony u góry pękiem czerwonych i żółtych sznurów. Nosiliśmy duże czarne berety sukienne z chwostem czerwonym, żółtym lub złotym, co zależało od wysługi i posiadanego stopnia. Był to Akademicki Klub Włóczęgów Wileńskich, przez jednych uważny za tonącą w najdzikszej rozpuście odmianę masonerii, przez innych zaś wyszydzany jako zgromadzenie cnotliwych harcerzyków. Opowiadano, że Włóczęgom nie wolno palić ani pić… Każdy z nas miał przydomek, wybrany i zatwierdzony przez kolegów. Mnie przypadło miano Bachusa, co stanowiło przesadne doprawdy uczczenie mych zasług, zamiłowań i możliwości (…) Uchodziło za pewne, że Klub Włóczęgów jest antytezą korporacji i to była prawda, nie ujęta jednak w żaden statut, bośmy go, wbrew obowiązującym przepisom administracyjnym, wcale nie posiadali… my kochaliśmy przyrodę, przestrzeń, plener. Spędzenie niedzieli w mieście hańbiło. Należało iść kupą na włóczęgę gdziekolwiek, do Suderwy, na Zielone Jeziora, do Sorok Tatarów, zawsze z zapasem żywności w plecakach, ale bez kija – symbolu, gdyż to by był proceder zbyt uroczysty jak na nasze gusta… Włóczęgi fizyczne odbywały się w niedzielę, sobotnie zaś wieczory poświęcone bywały włóczęgom duchowym. W tym celu gromadziliśmy się*

w przydzielonym nam przez rektora lokalu na Bakszcie, w najstarszej dzielnicy Wilna. Była to parterowa, chłodna i posępna sala w wiekowej budowli Bursy Akademickiej. Po drugiej stronie ulicy stało gmaszysko, w którym mieściła się ongi pierwsza w Wielkim Księstwie loża masońska, bodaj Cnotliwy Litwin Pod Gwiazdą Północy. Najwcześniejsza debata, w jakiej uczestniczyłem dotyczyła światowej wówczas sensacji literackiej, powieści Remarque'a „Na Zachodzie bez zmian". Jeden temat był tylko wykluczony z tych zebrań: polityka. W Klubie zdecydowanie przeważali liberałowie, nawet późniejsi komuniści nie zdążyli jeszcze wtedy wyrzec się bezdroży wolnomyślicielstwa. Było również kilku endeków.

Jaka ładna para

Studenci, 1929 r.

Wyprawa wioślarska

Kajaki na sucho

Mama w zbożu

Mama elegancka

Niektórych włóczęgów ojciec wspomina w pamiętniku, snując rozważania nad ich przeróżnymi losami.

„Marchołt” Kazimierz Hałaburda, jednocześnie początkujący poeta i prezes Sekcji Bokserskiej – w czasie wojny znalazł się w obozie sowieckim, z którego ledwie się dowlókł do miejsca, gdzie formował się korpus Andersa – tam zmarł z wycieńczenia. Pochowali go w zmarzniętej ziemi inni włóczędzy – Stanisław Janicki „Klukwa” i „Ksiądz Proboszcz”. Ten ostatni zmarł po wojnie w USA. Kolejna osoba to Henryk Chmielewski – „Fu Czu” – później zastępca Dyrektora Departamentu Politycznego MBP*, z którym ojciec zetknął się jako więzień, bez krawata, paska od spodni i niegolony od tygodnia. Obaj panowie udali, że się nie znają. Parę lat później spotkali się znowu na wystawie etiopskich krzyży w Muzeum Narodowym. Eksponaty stanowiły własność Wacława Korabiewicza „Kilometra”, szefa włóczęgów, arcywłóczęgi, znanego po wojnie podróżnika i autora wielu książek. Dalej: Stefan Jędrychowski „Robespierre” – przyszły minister gospodarki PRL. Czesław Miłosz „Jajo” – tu komentarze zbyteczne. Teodor Bujnicki „Amorek” – człowiek mający wyjątkową łatwość pisania. Zdolność tę wykorzystywał w czasie wojny, wychwalając aktualnie panujące opcje litewską, a potem sowiecką. AK wydała na niego wyrok śmierci, który został wykonany.

KURATORJUM OKRĘGU SZKOLNEGO Warszawskiego

PAŃSTWOWA KOMISJA EGZAMINACYJNA

ŚWIADECTWO DOJRZAŁOŚCI

Boyar Leon Lech

urodzony dnia 10 miesiąca Listopada

roku 1909 w Symbirsku

(województwa) w Rosji

wyznania rz.-kat.

po ukończeniu nauki w Państw. Gimnazjum Męskiem im. A. Mickiewicza w Grodnie

do którego był przyjęty w roku 1924, zdawał w roku 1928

gimnazjalny zwyczajny egzamin dojrzałości typu humanistycznego wobec Państwowej Komisji Egzaminacyjnej, powołanej przez Kuratorjum Okręgu Szkolnego Warszawskiego

pismem z dnia 16 kwietnia 1928 r. Nr. U. 3751/28, i otrzymał następujące oceny ostateczne z przedmiotów egzaminacyjnych:

z religji	bardzo dobry
z języka polskiego	dobry
z języka łacińskiego	dostateczny
z języka francuzkiego	dobry
z historji wraz z nauką o Polsce współczesnej	bardzo dobry
z fizyki wraz z chemją	dostateczny
z matematyki	dostateczny

UNIWERSYTET Stefana Batorego w Wilnie
WYDZIAŁ Humanistyczny
L. 563.

DYPLOM MAGISTRA FILOZOFJI

Pan Leon Lech Peynar
urodzony dnia 10 listopada 1909 roku w Symbieshu [Rosja]
odbył przepisane studja w Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie
na Wydziale Humanistycznym
w zakresie historji
i zdał następujące egzaminy:

- Zasady metody badań historycznych, podstawowe wiadomości z nauk pomocniczych oraz źródeł historycznych w zakresie historji Polski — z wynikiem dobrym
- Dzieje starożytne — z wynikiem dobrym
- Dzieje średniowieczne — z wynikiem dostatecznym
- Dzieje nowożytne i nowoczesne — z wynikiem bardzo dobrym
- Główne zasady nauk filozoficznych — z wynikiem dobrym
- Pogłębiona znajomość pozostałych działów Polski — z wynikiem dobrym

oraz przedstawił z wynikiem dostatecznym pracę magisterską na temat: Rola i działalność Aleksandra Oshierki [lata 1830-1911. Mińsk i Wilno, Usole na Syberji, Varnava].
Wobec tego Rada Wydziału Humanistycznego
Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie
na wniosek Komisji Egzaminacyjnej nadaje Panu: Leonowi Lechowi Peynarowi stopień

MAGISTRA FILOZOFJI,

JAKO DOWÓD ZAKOŃCZENIA STUDJÓW WYŻSZYCH W ZAKRESIE

historji

Wilno, dnia 5 lipca 1932 r.

REKTOR

DZIEKAN

PRZEWODNICZĄCY KOMISJI EGZAMINACYJNEJ

W pamiętniku obok innych, poważniejszych wspomnień, znajduje się opis niefortunnej wyprawy łodzią w górę Wilii 25 maja 1930 roku. Około piątej rano załoga w składzie: Bujnicki, Jędrychowski, Leśniewski, Miłosz i tato postanowiła zażyć kąpieli na plaży w Ponaryszkach. Aby nie zmoczyć majtek, wcale ich nie założyli. Pech chciał, że pojawiły się tam dwie policyjne łodzie z samym komisarzem na pokładzie. Pewnie skończyłoby się na upomnieniu, gdyby Jędrychowski nie wdał się w pyskówkę. I trzeba było zapłacić po 25 zł od każdego kąpiącego się i 2,50 zł solidarnie koszta administracyjne, do tego doszło oskarżenie przed sądem rektorskim o znieważenia Policji Państwowej.

Zbigniew Żbikowski, publikujący w „Polityce”, zadał sobie wiele trudu, aby pojechać do Wilna i w archiwum uniwersyteckim wyszperać dokumenty z okresu studiów Lecha Beynara. Rezultaty przedstawił w numerze 9 z 28 lutego 2004 roku. Nie wynika z nich, aby tato był przodującym studentem. Kierunkowy egzamin z nauk filozoficznych – ocena dobra, pierwszy egzamin specjalistyczny na stopień magistra filozofii w zakresie historii – dzieje starożytne – ocena dobra, następny z tej serii: dzieje średniowieczne – praca pisemna „Karol Wielki i jego monarchia” *ogarnia całość zagadnienia, grzeszy niekiedy ogólnikowością. W ogóle uznać ją można za dostateczną*, napisał egzaminator dr Mienicki. Na ustnym egzaminie z dziejów nowożytnych i nowoczesnych u prof. Kościałkowskiego dostał ocenę bardzo dobrą. 9 czerwca 1932 roku złożył pracę magisterską pt. „Rola i działalność Aleksandra Oskierki (lata 1830-1911, Mińsk i Wilno, Usole na Syberii, Warszawa), która została tak oceniona: *Nad materiałem panuje należycie, ustosunkowuje się do niego krytycznie, wnioski konstruuje pewnie – tam gdzie jest grunt niepewny – nie starając się rzeczy stwierdzać niezbicie, umie robić przypuszczenia i rzeczy nie nadające się na podstawie dostępnego materiału udowodnić*

niewątpliwie – pozostawia In suspenso… Praca na ogół dobra – wymaga jednak pewnych poszukiwań uzupełniających i korektyw. Ocena dostateczna.

Profesor i uczeń (Grodno)

Feralna kąpiel

Przechadzka po śródmieściu

Po uzyskaniu dyplomu w 1932 roku i ukończeniu Dywizyjnego Kursu Podchorążych przez rok służył ojciec w wojsku w 1 Pułku Piechoty Legionów w Wilnie.

Do 1935 roku pozostawał bezrobotny, jak sam pisze: „przy rodzicach”. Zatrudniał się dorywczo jako korepetytor oraz w jakiejś szkole w Wilnie. W 1935 roku został nauczycielem w Prywatnym Gimnazjum męskim im. Henryka Sienkiewicza w Grodnie. Uczył tam historii i nauki o Polsce. Z zachowanej korespondencji z przyjaciółmi – państwem Janiną i Donatem Jasieńskimi – wynika, że praca ta za bardzo mu nie odpowiadała, na dodatek była nisko płatna (150 zł miesięcznie). Wtedy to powstały jego pierwsze publikacje: „Zygmunt August na ziemiach dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego” i „Ziemie północno-wschodnie Rzeczpospolitej Polskiej za Sasów”. (Obie wydane w 1939 roku w dodatku do dziennika urzędowego kuratorium jako pomoc dla nauczycieli na Wileńszczyźnie i Nowogródczyźnie).

Rodzice pobrali się 1 listopada 1934 roku. Był to podobno jedyny dzień, kiedy obydwoje znaleźli na to czas. Ślub nie był zbyt wystawny ani huczny. Zachowało się jedno zdjęcie pary młodej. Zamieszkali w Grodnie przy ulicy Jagiellońskiej 30 m. 3.

Wiedli życie dość wesołe i beztroskie, ale kiedy zaczęli myśleć o powiększeniu rodziny, postanowili zadbać o konkrety. Wiosną 1937 roku został ogłoszony przez Rozgłośnię Polskiego Radia w Wilnie konkurs na spikera. Dobry głos i swoboda wypowiadania się zapewniły tacie zwycięstwo. Oprócz tego, że był spikerem, prowadził krótkie audycje o tematyce historycznej. W związku z tym etatowym zajęciem państwo Beynarowie przeprowadzili się do Wilna i zamieszkali przy ulicy Mała Pohulanka 18 m. 6, w śródmieściu (wtedy pensja wzrosła do około 300 zł).

Zdjęcie ślubne

Rodzinny podwieczorek (dzień przed moim przyjściem na świat)

Zaręczyny Ireny Beynar z Wiesławem Brzozowskim

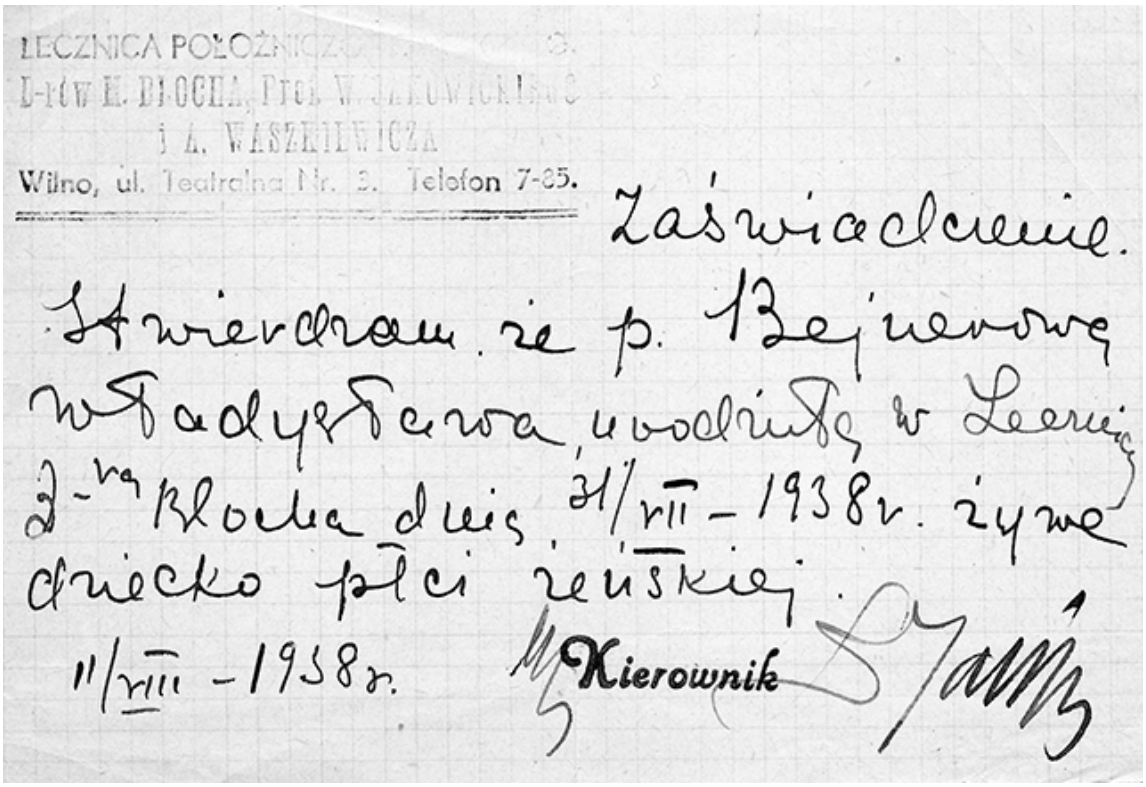
LECZNICA POŁOŻNICZO
D-RÓW E. DŁOCHA, Prof. W. JAKOWICKIEGO
I A. WASZKIEWICZA
Wilno, ul. Teatralna Nr. 2. Telefon 7-85.

Zaświadczenie.

Stwierdzam że p. Beynarowa
wydała na świat, urodziwszy w Lecznicy
2-ga Kwietnia dnia 31/VII – 1938 r. żywe
dziecko płci żeńskiej.
11/VIII – 1938 r. Kierownik

Moja metryka urodzenia

W kalendarzu – Przewodniku Radiosłuchacza na rok 1938 tak przedstawiono mojego Tatę: *P. Lech Beynar jest speakerem Rozgłośni Wileńskiej od czerwca 1937 roku. Ma lat 28. Pisze o sobie, że przede wszystkim zajmował się zwiedzaniem gimnazjów. Z trzema zapoznał się jako uczeń, a z dwoma jako nauczyciel. W międzyczasie skończył Uniwersytet Wileński jako magister i odsłużył wojsko. Zajmuje się studiami historycznymi (informacja uzyskana od pana Stanisława Fornala – dokumentalisty historii Polskiego Radia).*

Kiedy na studiach tata poznał mamę i przedstawił ją rodzicom, zdaje się, że nie wzbudziła początkowo ich entuzjazmu. Wybranka była starsza blisko o pięć lat i na dodatek nieposażna. Ale jakoś w końcu lody stopniały i do ślubu doszło w zgodzie. Dość długo małżeństwo było bezdzietne. Inspiracją do zmiany tego stanu rzeczy stało się urodzenie córeczki Ewy

u państwa Jasieńskich. Dziesięć miesięcy po niej pojawiłam się na świecie i ja, a żeby długo się nie zastanawiać, mnie również nazwano Ewą. Babcia z właściwą sobie energią zarządziła system wychowawczo-opiekuńczy. Podobno dobrze na tym wyszłam. A że byłam już czwartym dzieckiem w tym pokoleniu, więc za dużo czasu mi nie poświęcała. Janusz miał już dwie córki, tylko Irena syna. Dziadek ubolewał, że ród Beynarów się kończy.

Wkrótce wybuchła wojna. Ojciec został zmobilizowany 24 sierpnia 1939 roku i powołany do 134 Pułku Piechoty – jako dowódca plutonu – który uczestniczył w walkach nad Narwią i Bugiem (Wyszków, Węgrów, Tyszowce – Tarnawatka, Gorecko Kościelne). 19 września 1939 roku, kiedy rozeszła się wieść o wkroczeniu Armii Czerwonej, skonstatował, że nie istnieje już Polska niepodległa, jednocześnie uległ jakiemuś impulsowi czy postanowieniu, że zostanie publicystą, by nie tylko mieć, ale i otwarcie głosić swoje zdanie. 26 września został podpisany akt kapitulacji 41 Dywizji Piechoty, do której należał pluton dowodzony przez ojca. Broń składano w Terespolu, potem marsz w kolumnach jenieckich do oflagu. Po drodze, w Opatowie, dzięki pomocy mieszkańców miasta, odbyła się masowa ucieczka jeńców. Ojciec tak to opisuje w książce *Wisła pożegna zaścianek* (PAX, 1951): *…w rzeczonym Ćmielowie, jak również w Ostrowcu i Opatowie miejscowa inteligencja ze skóry wyłaziła ułatwiając jeńcom ucieczkę i karmiąc ich. Tej ostatniej czynności Niemcy nie przeciwdziałali zresztą wcale. Bo sami przez tydzień nie dali kolumnie nic do jedzenia. W Opatowie w gmachu szkolnym obok kolegiaty, zorganizowany został przez Czerwony Krzyż szpital dla jeńców, gdzie oprócz rannych chorych umieszczano chytrze najbardziej zdrowych byczków, przebierano ich i wyprowadzano na tzw. podówczas „wolny” świat. Jakież tam stroje przedziwne bywały! Urzędniczek pewien, rozdawszy już wszystkie łachy*

rodzinne, dostarczył w końcu „jaskółkę” po dziadku, żakiet o zaokrąglonych połach i misternych zakładkach, jaki był w modzie za panowania Aleksandra III. W strój ten jednakże nikt przyodziać się nie odważył. Piszący te słowa opuścił szpital ów mając na sobie kamasze (każdy od innej pary), sztuczkowe spodnie, damski sweter, kusy płaszczyk gabardynowy oraz nowiutki kapelusik tyrolski z piórkiem. Gdzie ci Niemcy mieli oczy?

Po powrocie do Wilna (27 października 1939) nastąpiła zmiana mieszkania na znacznie gorsze, ale tańsze. Zamieszkaliśmy w dzielnicy kolejowej za Ostrą Bramą po drodze na cmentarz Na Rossie. Wynajmowaliśmy od państwa Bukrabów parter małego domku na ulicy Święciańskiej 16. Były to dwa pokoje z kuchnią, bez wygód. Wraz z nami zamieszkała ciotka Stanisława, najstarsza siostra mamy. Ciotka cały czas uczyła w szkole, co pozwalało jakoś rodzinie egzystować. Z mieszkania pamiętam obok ogromnej szafy z lustrem niewiele mniejszy portret Piłsudskiego, można powiedzieć: dwustronny. Na odwrocie były jakieś kwiaty i odwracało się to dzieło sztuki w przypadkach wizyt osób niepewnych. Nieopodal stał patefon wyposażony w jedną płytę, po jednej stronie były *U prząśniczki siedzą*, a po drugiej *Po nocnej rosie*. Do dziś te melodie dźwięczą mi w uszach.

Nadszedł taki dzień, że ojciec musiał zniknąć z domu w obawie przed aresztowaniem. I od razu wieczorem ja dostałam ataku ślepej kiszki. Nawet zachował się dokument to upamiętniający, napisany w szpitalu w języku litewskim 5 lutego 1942 roku przez lekarza Kisieliene Ona. Z uwagi na godzinę policyjną transport do szpitala odbył się dopiero rano. Tymczasem nastąpiło pęknięcie wyrostka ze wszystkimi konsekwencjami. W szpitalu po operacji spisano mnie na straty. Jednak wylizałam się jakoś i kiedy po trzech tygodniach mama, która cały ten czas spędziła obok mojego łóżka,

przypłacając to nieodwracalną utratą zdrowia, wiozła mnie wózkiem do domu, usłyszałam, jak jakaś „życzliwa” pańcia powiedziała: „ot fanaberia, taka duża dziecka w wózku wozić”. Nie wyobrażam sobie, co przeżywał wtedy ukrywający się ojciec, który nie wiedział, czy jeszcze ma dziecko.

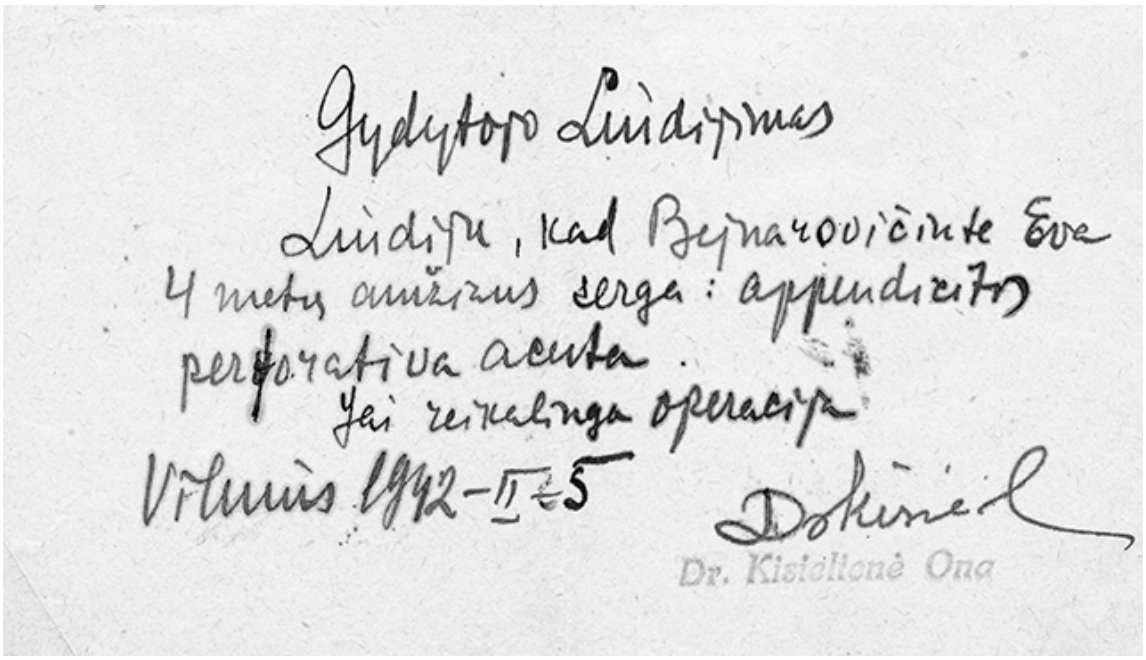
Gydytojo Liudymas
Liudyte, kad Bernarovičiute Eva
4 metu amžiaus serga: appendicitis
perforativa acuta.
Jai reikalinga operacija
Vilnius 1942-II-5
Dr. Kisielionė Ona

Zaświadczenie o mojej operacji ślepej kiszki

Tata po powrocie z wojska konspirował, zajmował się też tajnym nauczaniem. Jednym z pierwszych moich wspomnień jest taki oto obrazek: tata chodzi po mieszkaniu i wkuwa niemieckie słówka. Zdołał sobie ten język nieźle wtedy przyswoić. Dotychczas znał perfekcyjnie rosyjski i biegle francuski. Oba te języki opanował w rodzinnym domu w dzieciństwie.

Ojciec wstąpił do Związku Walki Zbrojnej i zajmował się gromadzeniem materiałów i redagowaniem biuletynu radiowego. Na początku 1940 roku związał się z grupą osób skupionych wokół księdza Henryka Hlebowicza, wikarego w kościele Bernardynów. Ksiądz ten był

przed wojną wykładowcą filozofii w Seminarium Duchownym w Wilnie oraz teologii fundamentalnej na USB**, a ponadto opiekował się organizacjami młodzieżowymi o charakterze katolickim. Starał się, aby organizacje studenckie miały prawdziwie katolicki, oparty na Ewangelii charakter. Był określany jako „wicher w sutannie” i żartowano, że ewangelizuje, nawet kiedy gra w brydża. Starał się przeciwdziałać ateizacji młodzieży przez sowieckiego okupanta, a kiedy nastała okupacja niemiecka, został skierowany na teren Białorusi, gdzie bardzo brakowało katolickich duchownych. Tam prowadził posługę kapłańską, narażając się miejscowym władzom. Został aresztowany i rozstrzelany w okolicach Borysowa 9 listopada 1941 roku. Obecnie trwa jego proces beatyfikacyjny jako jednego z męczenników II wojny światowej. Od 1940 roku działał w konspiracyjnej organizacji Akcja Ludowa. Wkrótce stał się jej przywódcą. Na jego ręce ojciec złożył przysięgę, przystępując do konspiracji i przyjmując pseudonim „Władysław” i „Nowina” (od herbu).

Organizacja skupiała ludzi o różnych przekonaniach, rozważano w niej problemy związane z charakterem przyszłej niepodległej Polski, kładziono nacisk na formację młodzieży. Wydawane było pismo „Dla Polski”. W skład redakcji wchodzili Stanisław Stomma i Czesław Zgorzelski. Trzy numery tego pisma ukazały się na przełomie lat 1941/1942. W zachowanym numerze drugim z grudnia 1941 znajduje się artykuł ojca *Pseudokrucjata i jej heroldowie*. Jest to polemika, a właściwie zdecydowana krytyka poglądu prezentowanego przez redakcję polskojęzycznego „Gońca Codziennego” propagującego racje niemieckie (na przykład że oswobodzenie Wileńszczyzny przez Niemców przerwało masowe wywożenie ludności w głąb Rosji) i deklarującego zdecydowaną nienawiść do systemu komunistycznego. „Goniec” był skierowany do tych, którzy podjęli współpracę z okupantem: zarówno Polaków, jak też

Litwinów, Łotyszy i Białorusinów, liczących na zdobycie niepodległości przy pomocy Niemiec. Współpracę z Niemcami i Rosją sowiecką autor uważa za zbrodnię przeciw swemu narodowi. Po ukazaniu się trzeciego numeru „Dla Polski” nastąpiła tragicznie zakończona dekonspiracja organizacji. Zginęły trzy osoby, wśród nich brat Czesława Zgorzelskiego – Władysław.

W artykule *Krew Pobratymcza* zamieszczonym w „Twórczości” w styczniu 1956 roku ojciec pisał: *W mieszkaniu przy ulicy Święciańskiej pisywałem rozmaite artykuły i ulotki dla wydawnictw Armii Krajowej, głosząc, że okupantem są Niemcy hitlerowskie, nie zaś głupi „kałakutas” (dosłownie indyk; w przenośni litewski policjant). Takie rzeczy trzeba było propagować i tłumaczyć ludziom, codziennie poniewieranym za odzywanie się mową Adama Mickiewicza… Okupacja na Wileńszczyźnie nosiła charakter antypolski, antylitewski, antybiałoruski, antyżydowski i tych anty wymienić można dokładnie tyle ile tam mieszkało narodowości.*

Nie wiem, jak długo trwało ukrywanie się, w każdym razie w czasie, kiedy tata mieszkał na Święciańskiej, usiłował jakoś materialnie wesprzeć rodzinę. W życiorysie opracowywanym „na prośbę” oficera śledczego MBP w dn. 12 lipca 1948 roku podejrzany L. Beynar zeznał: *utrzymywałem się głównie ze sprzedaży różnych osobistych rzeczy… kiedy Litwa przyłączyła się do ZSRR od czerwca 1940 do czerwca 1941 pracowałem jako instruktor W.F. oraz uczyłem na kursach budowlanych dla personelu kierowniczego. W okresie okupacji niemieckiej pracowałem jako robotnik fizyczny przy budowach i remontach prowadzonych przez magistrat miasta Wilna t. j. w tartaku i jako stróż nocny*. Jesienią 1940 roku pracował we wsi Angleniki jako pomocnik murarza przy wykończaniu budynku szkoły. Funkcję nocnego stróża pełnił w swoim byłym miejscu zatrudnienia, to znaczy w gmachu radia.

Pamiętam też okres, kiedy wychodził bardzo wcześnie rano do roboty (to pewnie był ten tartak), a przedtem gotował sobie, a przy okazji i nam, zacierki na śniadanie. Jadało się u nas raczej cienkawo. Raz w tygodniu – w sobotę lub niedzielę – występowało na stole mięso w postaci klopsików, co, jak wiadomo, samym mięsem nie jest. Często za to mama robiła bliny gryczane, które podawało się ze skwarkami. W domu był też wyrabiany makaron. Na śniadanie oprócz zacierek jadałam kaszę gryczaną z mlekiem. Hodowaliśmy w kuchni kurę, która znosiła prawie codziennie jedno jajo. A dlatego w kuchni, żeby jej nie ukradziono z podwórka. Kura była bardzo towarzyska, wydawało się nam, że opowiada swoje przeżycia, gdyż wygłaszała dłuższe tyrady, patrząc na interlokutora. Niestety padła łupem sowieckich żołnierzy. W soboty grzało się na kuchni większą ilość wody i odbywało się kąpanie i przy tej okazji pranie. Duża drewniana balia z korkiem w dnie, zapach mydlin i usuwanie brudów na tarze w tej balii ustawionej. Wtedy nawet nie wiedziałam, że istnieje zawód praczki. Wszystko to mama robiła sama. Ja byłam dopuszczana do maglowania, które następowało po farbkowaniu, wykrochmaleniu i wysuszeniu. Prasowanie odbywało się za pomocą żelazka na duszę, czyli z żeliwnym wkładem rozgrzewanym w piecu kuchennym, a po rozgrzaniu umieszczanym wewnątrz żelazka. Miałam jako zabawkę takie samo, tylko mniejsze i umiałam się nim posłużyć. Umiałam również rozpalić ogień pod kuchnią. Wykorzystywano do tego szczapki sosnowe, które w specjalnych wiązkach, okręconych powrozem ze słomy, przywozili okoliczni wieśniacy.

W pobliżu naszej ulicy, Święciańskiej, znajdował się kościół Misjonarzy, do którego to najczęściej chodziliśmy na mszę czy nabożeństwa majowe. Bardzo mi imponowało uczestnictwo w procesjach. Jeszcze jako mała dziewczynka byłam dopuszczana tylko do takich zaszczytów, jak trzymanie wstążki przyczepionej do chorągwi czy też

ołtarzyka. Podczas uroczystości państwowych, szczególnie 11 listopada na cmentarzu Na Rossie przy grobie matki Piłsudskiego, w którym jest pochowane serce Marszałka, na warcie stały bardzo moim zdaniem stare osoby (tak około dwudziestoletnie). Moim marzeniem było znaleźć się wśród nich i raz mi się to nawet udało. Zupełnie nie wiem, kto mnie zaprotegował, i nie mogę też skojarzyć, za której to było okupacji.

Pewnego dnia tata wrócił z pracy wcześniej niż normalnie. I jakoś dziwnie pachniał środkiem dezynfekcyjnym. I rękę miał zawiniętą białym bandażem. Nie dało się długo przed dzieckiem ukrywać, że tata odrąbał sobie podczas pracy w tartaku palec. Sześćdziesiąt lat później w ubeckiej teczce, obok konterfektu w trzech pozach i spisu zarekwirowanych podczas zatrzymania rzeczy, obejrzałam odciski palców pobrane w więzieniu wraz ze stosowną adnotacją ten fakt potwierdzającą (brak środkowego palca lewej dłoni).

Poważny problem, jak to zawiązać

Jesienią 1942 roku wraz ze Stanisławem Stommą ojciec zaczął organizować tajny uniwersytet powszechny, który działał do wiosny 1944. Na zajęcia uczęszczała młodzież skupiona wcześniej wokół księdza Hlebowicza. Byli to ludzie na ogół gdzieś zatrudnieni, pozbawieni możliwości studiowania. Do zadań organizatorów (którzy również wykładali) należał dobór prelegentów i zapewnienie lokalu. Jak powiedział Stomma na pogrzebie ojca: *organizowaliśmy go z Jasienicą obok i niezależnie od regularnych kursów uniwersyteckich. Chodziło nie o studia jako tako regularne… Mieliśmy cel podwójny: kształtować tę młodzież oraz kierować jej aktywność ku celom – można tak określić – bezkrwawym. Wyznać muszę, że odchyliliśmy się tutaj nieco od poglądów czynników wojskowych w konspiracji. Odgórnie wyznaczono tej młodzieży zadania ryzykowne, które nam nie wydawały się zbyt ważne, np. smarowanie haseł na ścianach, roznoszenie bibuły. Lech miał bardzo zdecydowane stanowisko w tej sprawie… usiłował do minimum ograniczyć bohaterski hazard młodzieży. Postawę tę dyktował Mu Jego trzeźwy i krytyczny realizm. Nie chciał dopuścić, aby młode siły narodu spalały się w akcjach o drugorzędnym znaczeniu*. Trochę do tej postawy nie pasuje zezwolenie mi na pełnienie warty przy grobie na cmentarzu na Rossie. Stomma był przyjacielem mojego taty do ostatnich dni. Ich losy wielokrotnie się splatały. Wspominam go jak najlepiej.

Na kursy uczęszczała również córka Cata-Mackiewicza – Aleksandra (później Niemczykowa), tak o nich pisała: *Historii nas uczył nie byle kto, bo Lech Beynar (…) świetny nauczyciel, bardzo sympatyczny, uelastyczniał historię, by nie była tak twarda chronologicznie, tylko pełna dyskusji* („Słowo Wileńskie”, 2 maja 1996).

W 1944 roku tata został redaktorem pisma „Pobudka”, przeznaczonego dla oddziałów leśnych. Kiedy zgromadzono artykuły do pierwszego

numeru, został aresztowany ktoś z kompletem tych materiałów, co przekreśliło możliwość ich wydania.

Następne moje wspomnienie związane z ojcem pochodzi zapewne z okresu przed operacją „Ostra Brama”. Poszłyśmy z mamą i ciotką do jakiegoś miejsca w lesie parę kilometrów za miastem, gdzie stacjonowało polskie wojsko. Tam zobaczyłam tatę w towarzystwie innych panów w mundurach i dowiedziałam się, że nie wolno nikomu o tym mówić. Wojenna rzeczywistość powodowała, że kilkuletnie dziecko potrafiło dochować tajemnicy.

Akcja „Ostra Brama” została zaplanowana przez dowództwo Armii Krajowej jako zbrojne wystąpienie przeciwko cofającym się wojskom niemieckim z założeniem unikania zatargów z wojskami radzieckimi, a nawet gotowości do ewentualnej wspólnej walki. Okręg Wileński AK włączył się do tej akcji. 15 kwietnia 1944 roku powstał sztab operacyjny oddziałów partyzanckich utworzony przez ppłk Krzyżanowskiego, pseudonim „Wilk”. 10 czerwca 1944 ojciec stawił się w punkcie kontaktowym, skąd z innymi został skierowany do Dziewieniszek, gdzie stacjonował sztab okręgu. Wszedł w skład komórki BIP (Biuro Informacji i Propagandy). Był to teren tak zwanej Rzeczpospolitej Dziewienisko-Graużyskiej, od nazw miejscowości całkowicie uwolnionych przez AK. Powstanie Rzeczpospolitej powodowało optymistyczne nastroje wśród wielu, ale nie u „Nowiny”. Zdaniem Stommy *krytyczny realizm Beynara nie pozwalał mu radować się z tego faktu. Rozumiał, że ma do czynienia z fikcją i złudzeniem siły…*

12 czerwca 1944 Komenda Główna AK zatwierdziła plan akcji „Ostra Brama” autorstwa majora Macieja Kalenkiewicza, pseudonim „Kotwicz”. Zamierzano skoncentrować oddziały partyzanckie AK okręgów Nowogródzkiego i Wileńskiego w okolicach Wilna z zadaniem opanowania

miasta w chwili, gdy wojska niemieckie będą je opuszczały. Wtedy AK i Delegat Rządu mogliby wystąpić jako gospodarze terenu wobec wkraczających wojsk radzieckich. Dalsze postępowanie, tak jak przewidziano dla akcji „Burza”, miało być uzależnione od stanowiska dowództwa rosyjskiego. Płk Krzyżanowski został komendantem obu połączonych okręgów. W wydanym 25 czerwca rozkazie, w którego redagowaniu uczestniczył „Nowina”, apelował do społeczeństwa polskiego i białoruskiego o zmobilizowanie wszelkich sił w ostatecznej rozgrywce w walce z okupantem cofającym się przed Armią Czerwoną. Walka miała się toczyć pod dowództwem Rządu RP w Londynie odrzucającego stanowczo pretensje sowieckie do wschodnich ziem Rzeczpospolitej. Był też nakaz obrony ludności cywilnej przed każdym, kto by jej zagrażał. BIP sztabu polowego prowadziło bardzo ożywioną działalność i niepoślednią rolę odgrywał tu „Nowina”. Ukazał się egzemplarz pisma „Pobudka”, gdzie sprecyzowano założenia prowadzonej aktualnie walki. Jedność, całość, niepodległość, wszelkie walki polityczne na później. Szeregi AK są dostępne dla wszystkich Polaków i innych narodów, obywateli Polski. Warunkiem jest jednak chęć walki o Polskę zjednoczoną, wolną i niepodległą, uznanie Rządu RP w Londynie i bezwzględna walka ze wszystkimi okupantami ziemi polskiej. Całość numeru, z wyjątkiem jednego artykułu, była napisana przez ojca.

Atak oddziałów AK na Wilno rozpoczął się w nocy z 6 na 7 lipca po uzyskaniu dzięki nasłuchowi radiowemu informacji o zajęciu przez wojska sowieckie miasteczka Smorgonie i zakończył się niepowodzeniem. Ojciec brał udział w tej akcji na ochotnika z zadaniem obserwowania wydarzeń, co potem opisał w „Biuletynie Nadzwyczajnym nr 4”. Oprócz opisu walk z Niemcami przedstawił w nim także pogląd Krzyżanowskiego wyrażony podczas przeglądu brygady, po rozpoczęciu rozmów z dowództwem

radzieckim: W *ostatecznych zamiarach Rosji leży likwidacja naszych oddziałów… Los nasz będzie taki sam, jaki czeka całą Rzeczpospolitą. Armii Sowieckiej zaproponowano lojalną współpracę. Decyzje zapadną wkrótce. W każdej jednak sytuacji żołnierza obowiązuje jedno: zwarte posłuszne trwanie przy sztandarze, na którym od wieków wypisano słowa: Bóg, Honor i Ojczyzna.*

Po nieudanej akcji Krzyżanowski zarządził koncentrację oddziałów koło miejscowości Rudomino, pod Puszczą Rudnicką, by ułatwić ich przewidywane przemieszczanie się w stronę Polski centralnej. 12 lipca podczas rozmów ze Sztabem Dowództwa 3 Frontu Białoruskiego Krzyżanowski sprzeciwił się propozycji przyłączenia poszczególnych oddziałów AK do różnych jednostek armii radzieckiej. Proponował powołanie polskiej dywizji. Na następnym spotkaniu 14 lipca ustalono, że Polacy utworzą niezależny politycznie korpus pod dowództwem Krzyżanowskiego, podporządkowany pod względem wojskowym Armii Radzieckiej. Nazajutrz rozpoczęła się praca nad organizacją tego korpusu, a mój ojciec został mianowany oficerem łącznikowym przy sztabie wojsk radzieckich. 17 lipca prace miały się ku końcowi, odbyła się koncentracja przyszłego wojska na południowy wschód od Wilna w rejonie: Miedniki, Turgiele, Taboryszki. Tego samego dnia we wsi Bogusze koło Wołkorabiszek aresztowano całe dowództwo przyszłego korpusu, wielu oficerów liniowych, ponadto internowano 7000 żołnierzy. Ojcu udało się tego uniknąć. Znalazł się wśród oddziałów podążających w stronę Puszczy Rudnickiej. Tam dowództwo zrezygnowało z planów dalszej walki i nakazało rozwiązanie oddziałów. Zarządzono też spalenie wszelkich dokumentów BIP i zniszczenie drukarni. Teraz każdy mógł zdecydować o swoim dalszym działaniu. Niektórzy oficerowie, a wśród nich Kalenkiewicz i mój ojciec, postanowili stworzyć bazę partyzancką

w Puszczy Rudnickiej, jako iż uważali, że należy bronić tych ziem. Jednak wobec zbrojnych ataków oddziałów sowieckich Kalenkiwicz postanowił przemieścić się do Puszczy Ruskiej, zwalniając rozkazem tych, którzy mieli już dość walki. W Puszczy Ruskiej znalazł się jeszcze jeden oddział AK pod dowództwem majora Dębickiego. Ojcu zaproponowano stanowisko szefa BIP w projektowanej bazie komendy połączonych oddziałów. Odmówił tej propozycji, nie wierzył w powodzenie takiego przedsięwzięcia, nie mógł więc popierać go jako publicysta. Wybrał rolę czysto wojskową. Wchodził wtedy w skład oddziału majora Dębickiego. 19 sierpnia koło Dubicz oba oddziały zostały okrążone i zaatakowane przez NKWD wsparte miejscową milicją. Większości zaatakowanych udało się przebić i wyrwać z pierścienia. Wśród nich był mój tata. W dwa dni później w Surkontach został rozbity oddział Kalenkiewicza. Ojciec posłuszny rozkazowi generała Bora wraz z szesnastoma innymi żołnierzami 6 Brygady przedzierał się na pomoc powstaniu warszawskiemu. W rejonie Grodna oddział został zatrzymany przez żołnierzy sowieckich i przewieziony do siedziby NKWD w Białymstoku, a następnie odstawiony do jednostki WP w Dojlidach. Obszerniej o dalszych wojennych losach ojca piszę nieco dalej.

Po wspomnianym wcześniej moim spotkaniu z tatą, a zanim rozpoczęły się walki o miasto, przeniosłyśmy się na jakiś czas do zaprzyjaźnionych z ciotką Wacławą gospodarzy pod Wilnem. Kiedy wróciłyśmy, w Wilnie rządzili Rosjanie. Dziecku zapowiedziano, że o tacie mówi się Leszek. (Równie nie do pojęcia, jak donoszenie w listach do znajomych o kondycji cioci Polci). Mama występowała jako wdowa po poległym w Surkontach. Panowała coraz większa bieda. Wspominam mamę podkradającą z wielkim zażenowaniem węgiel z pobliskiej prowizorycznej elektrowni, która działała na bazie parowozu. Pracownicy tejże elektrowni nie mieli tych

skrupułów, spożywając ukradzioną nam kurę. Wszystkie panie, w tym też moja mama, wyprzedawały na rynku, co tam miały jeszcze w szafie. Najlepiej szły nocne koszule. Przybyłe ze wschodu elegantki uważały te kreacje za szczyt wykwintności jako strój do cukierni czy też na przechadzkę po głównych ulicach miasta. Podobno i w teatrach pokazywały się tak ubrane, ale tego nie miałam okazji sprawdzić. Do jednego z naszych dwu pokoi dokwaterowywano coraz to nowych lokatorów. Najpierw byli to Polacy z córeczką w moim wieku, z którą się bardzo zaprzyjaźniłam. Ale gdy tylko wojna się skończyła, wyjechali. Pamiętam, że koniec wojny uświetniono wypuszczeniem balonu, który wydawał się ogromny, a dzieci (nie wiem, czy wszystkie) dostały przydział pomarańczy. Jadłam je wtedy po raz pierwszy w życiu, przyznaję, bez obrzydzenia. Potem zakwaterowywano u nas samotne matki, Rosjanki, z małymi dziećmi. Kobiety chodziły na parę godzin do roboty w jakiejś fabryce, dzieci zostawały same. Podejrzewam, że jedno z nich, dziewczynka Irina, mieszka w naszym mieszkaniu do dziś. Kiedy odwiedziłam Wilno parę lat temu, poszłam na Święciańską, w drzwiach naprzeciwko mnie stanęła bardzo niemiła osobistość twierdząca (w języku rosyjskim), że ja coś tu kłamię, bo ona się w tym domu przed wojną urodziła i nikt inny tu nie mieszkał. Cała okolica, zwana dzielnicą kolejową, nic od czasów wojny się nie zmieniła. Niskie domki, chodnik po jednej tylko stronie ulicy. Po chodniku tym moi koledzy turlali fajerki zabrane mamie z pieca kuchennego. Była to wówczas bardzo popularna zabawa, obok przejażdżek na hulajnodze skonstruowanej własnoręcznie z dwóch desek i łożysk kulkowych.

Rodzina Zalewskich w „Zarośli" Koszewo

1. kpt. Lech Leon Beyner „Nowina" pseud. literacki „Paweł Jasienica"
2. Anna Zalewska
3. mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka"

Zdjęcie podarowane przez rodzinę państwa Zalewskich

Ciotka Stanisława nadal pracowała w szkole, ale prowadziła też u nas w domu tajne komplety dla polskich dzieci. Akurat gdy skończyłam siedem lat, przerabiała program trzeciej klasy. Mnie do rosyjskiej szkoły nie puszczono, więc się trochę tajnie przyuczałam na takim poziomie. Był rok 1946, już prawie wszyscy Polacy z naszej ulicy wyjechali, repatriacja miała się kończyć, a myśmy czekały na wieści o ojcu. Ciotka też nie chciała wyjeżdżać, dopóki były jeszcze polskie dzieci, które można było i należało uczyć. Wśród mieszkańców toczyły się dyskusje na temat repatriacji. Ci, którzy mieli bliskich wywiezionych w głąb Związku Radzieckiego, planowali pozostać i czekać, inni – przeważnie inteligencja – szybko wyjeżdżali, preferując kierunek zachodni zamiast ewentualności przymusowej wywózki na wschód. Część ludności pozostała, bo nie widziała dla siebie innego miejsca, a wielu nauczycieli także z poczucia obowiązku.

Liczne potomstwo nowych mieszkańców dzielnicy szybko nauczyło mnie rosyjskiego. Opanowałam zasób słów niezbędnych w zabawach. Późną wiosną dowiedziałyśmy się, że tata jest w Polsce, więc należy wyjechać. Na początku lipca, po załatwieniu stosownych pozwoleń (nie każdy mógł swobodnie opuścić Kraj Rad), załadowałyśmy się do podstawionych towarowych wagonów z dobytkiem, jaki przysługiwał repatriantom. Z kuchennego stołu zbito skrzynię, w którą wrzucono rzeczy uznane za niezbędne. W naszym przypadku były to przede wszystkim książki. Ponadto można było wziąć jedno łóżko na osobę. Jakieś jedzenie i ubranie. Meble pozostały. Rozpoczęła się podróż w wagonie towarowym, w którym umieszczono po kilka rodzin wraz z dobytkiem. Spaliśmy pokotem na rozkładanych na noc materacach. Coś się gotowało na maszynkach naftowych zwanych prymusami. Nerwowy nastrój wzmagał się w miarę zbliżania się do granicy w Łososnej koło Grodna. Dotarliśmy

tam nocą, transport został otoczony przez wojskowych z psami i rozpoczęła się rewizja. Szukano przede wszystkim ludzi chcących przekroczyć granicę nielegalnie. Nie wystarczało przeglądanie dokumentów ani oględziny wnętrza wagonu. Każdą większą paczkę czy skrzynię przebijano długim, ostrym prętem. Widziałam, jak konwój prowadził wzdłuż pociągu zakrwawionego młodego człowieka. Inni funkcjonariusze przeglądali cały przewożony dobytek, szukając złota, pieniędzy lub czegoś, co im się mogło przydać. Potrafili zabrać całą walizkę z ubraniami. Groza tej nocy pozostała mi w pamięci do dziś. Po około dziesięciu dniach podróży z tradycyjnymi składkami „na maszynistę” dotarliśmy do Poznania, gdzie oczekiwał nas tata. Było to 31 lipca 1946 roku, dokładnie w moje ósme urodziny. Tym samym transportem jechała z Wilna pani Józefa Hennelowa, która zapamiętała nasze przywitanie z tatą i opisała je przy jakiejś okazji w „Tygodniku Powszechnym”. W prezencie urodzinowym dostałam skakankę, a przede wszystkim ojca, do którego jeszcze przez długi czas mówiłam „Leszku”, nie mogąc się odzwyczaić od wileńskiej konspiry.

---

* MBP – Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego.

** USB – Uniwersytet im. Stefana Batorego.

SZCZEKOCINY

Ojciec od czerwca 1946 roku pracował w „Tygodniku Powszechnym”. Wynajmował w Krakowie pokój przy ulicy Zwierzynieckiej 32 m. 3 u pani Marii Wołczyńskiej. Zdążył wydobrzeć po partyzanckich przejściach i wyleczyć ranną nogę. Dla nas wynajął mieszkanie w Zakopanem na Bystrem. Dotarliśmy tam mniej więcej tydzień po przyjeździe do Poznania. Nie bardzo wiem, co wpłynęło na decyzję zamieszkania w Zakopanem. Jakoś nigdy o to, tak samo jak o wiele innych spraw, nie zapytałam. Wiem, że zdobycie mieszkania w Krakowie było bardzo trudne, a zamieszkanie w literackim kołchozie na Krupniczej chyba w ogóle nie wchodziło w grę.

Zakopane to najprzyjemniejszy okres mojego dzieciństwa. Zamieszkaliśmy przy Drodze do Olczy w domu wynajętym od pana Mohyły. Wpadłam w grono góralskich dzieci, jakże inne niż rosyjskie towarzystwo ze Święciańskiej w Wilnie. Ganialiśmy po okolicy, ciągle coś brojąc. Dominowało poczucie niezwykłej solidarności i obowiązywała ogromna dyskrecja w obawie przed ojcowskimi paskami, których praktycznego zastosowania niejednokrotnie byłam świadkiem. Na przykład przed zjedzeniem jabłka z cudzego sadu wszyscy musieli przysięgać, że nikomu tego nie zdradzą. Przydało mi się wileńskie trzymanie języka za zębami w sprawie taty. No, ale zaczynał się rok szkolny i trzeba było coś ze mną zrobić, a przede wszystkim znaleźć pracę dla ciotki Stachy. Poszukiwania szkoły, która chciałaby zatrudnić repatriantkę, w Zakopanem spełzły na niczym. Nie wiem, czy działała wrodzona nieudolność załatwiania swoich spraw, czy też jakieś polityczne względy. A mamie nie bardzo odpowiadał zakopiański klimat.

W którejś gazecie ktoś z rodziny przeczytał, że Szkoła Ćwiczeń przy Liceum Pedagogicznym w Szczekocinach poszukuje nauczycielki. Ciotka pojechała na wstępne rozmowy i wróciła bardzo zadowolona. Zaczęło się kolejne pakowanie rzeczy do kuchennego stołu i wyjazd. Szczekociny to

niewielka miejscowość pomiędzy Kielcami a Częstochową. Liceum mieściło się w pałacu należącym przed wojną do Dembińskich. Szkoła zwana ćwiczeniówką nieopodal. Zamieszkaliśmy w domu dla służby koło bramy wjazdowej do pałacu. Przydzielono nam połowę mieszkania, gdzie przed wojną mieszkał kucharz. Drugą połowę zajmował on nadal, ale już nie pełnił dawnej funkcji. Nasze lokum składało się z jednego pokoju i kuchni. Bez żadnych wygód. Bezpośrednio za domem płynęła Pilica i ścieki z kuchennego zlewu wylewały się wprost do rzeki. Oczywiście żadnej kanalizacji ani wodociągu nie było. Wodę nosiło się z pompy na podwórku, tam też stała wygódka. Miejscem pracy ojca był kuchenny stół. Rodzina nawiązała znajomości z: dyrektorem liceum, nauczycielstwem, miejscowym sędzią – panem Gawdzikiem, księżmi (to ostatnie było niemile widziane przez władze miasteczka).

Ja po krótkim egzaminie zostałam przyjęta do klasy czwartej. W szkole posadzono mnie obok dziewczynki, która w rubryce „zawód rodziców” miała napisane: lokaj i garderobiana. U mnie w tej samej rubryce widniało: dziennikarz, co dzieci rozumiały, że to jest ktoś taki, co sprzedaje gazety w kawiarni. Wszystko było jak przed wojną, tylko państwa zabrakło. Mama postanowiła też trochę dorobić i zatrudniła się w księgowości. Dlaczego nie uczyła chemii, nie potrafię zgadnąć. W Szczekocinach nie było nam za dobrze. Na dodatek ja ciągle na coś chorowałam, co nie polepszało nikomu nastroju. Po przejściach ze ślepą kiszką mama z ciotką były bardzo przewrażliwione na punkcie mojego zdrowia. Tata z Krakowa przyjeżdżał często. Zawsze przywoził mi coś do czytania. Przygotowywał zapas drewna na zimę. Latem bezskutecznie usiłował nauczyć mnie pływać. Na Pilicy były liczne młyny, a przy nich stawy. Wszystko dobrze funkcjonujące i jeszcze prywatne. Latem było gdzie się zanurzyć, a zimą kilometrami ślizgać po lodzie. Jednak nie mogłam się jakoś odnaleźć w nowym

towarzystwie. Może z uwagi na wiek (w klasie zdarzali się piętnastolatkowie), a może z powodu wygórowanych ambicji ciotki, która uważała, że mam być w szkole wzorem i przykładem dla innych dzieci. Na dodatek skutecznie mnie w tym myśleniu utwierdzała. Dorośli zaczynali żyć w obawie przed jakąś wyższą siłą, której istnienie i ja odczuwałam, ale niezbyt pojmowałam. W liceum dojrzewał młodzieżowy szkolny aktyw zwalczający przesądy w rodzaju odmawiania modlitwy przed i po lekcjach. W mieście rządził sekretarz partii towarzysz Kostecki.

Przygotowanie drewna na zimę

W okresie szczekocińskim ojciec publikował przede wszystkim w „Tygodniku Powszechnym”, ale też w „Dziś i Jutro”, „Tygodniku Warszawskim”, „Słowie Powszechnym”, „Odnowie”, „Odrze”, „Odrodzeniu”, „Przekroju”, „Gościu Niedzielnym”, „Nowej Kulturze”, „Problemach”, „Przeglądzie Kulturalnym”. Pisał artykuły nawiązujące do nowej rzeczywistości, reportaże z różnych stron kraju, prowadził też polemiki na aktualne tematy.

Mam w domu niektóre z jego maszynopisów:

De profundis (lipiec 1947) – reportaż ze szpitala na temat szerzących się po wojnie w zastraszającym tempie chorób wenerycznych.

Tria melodia główna (luty 1948) – o pladze powojennego alkoholizmu.

Zaraza wśród ciżby (maj 1948) – o pladze gruźlicy i próbach walki z nią powojennej służby zdrowia.

Jednym płucem (kwiecień 1948) – o zaniechaniu pomocy ze strony władz mieszkańcom Podlasia – okolicy bardzo podczas działań wojennych wyniszczonej. Tu też dostrzegam opis nastrojów wśród miejscowej ludności prowokowanych przez Niemców, które mogły doprowadzić do czynów takich jak w Jedwabnem. Przewiduje też autor powstanie tego, co teraz nazywa się Polską B. To „jedno płuco” to priorytetowo traktowane ziemie zachodnie.

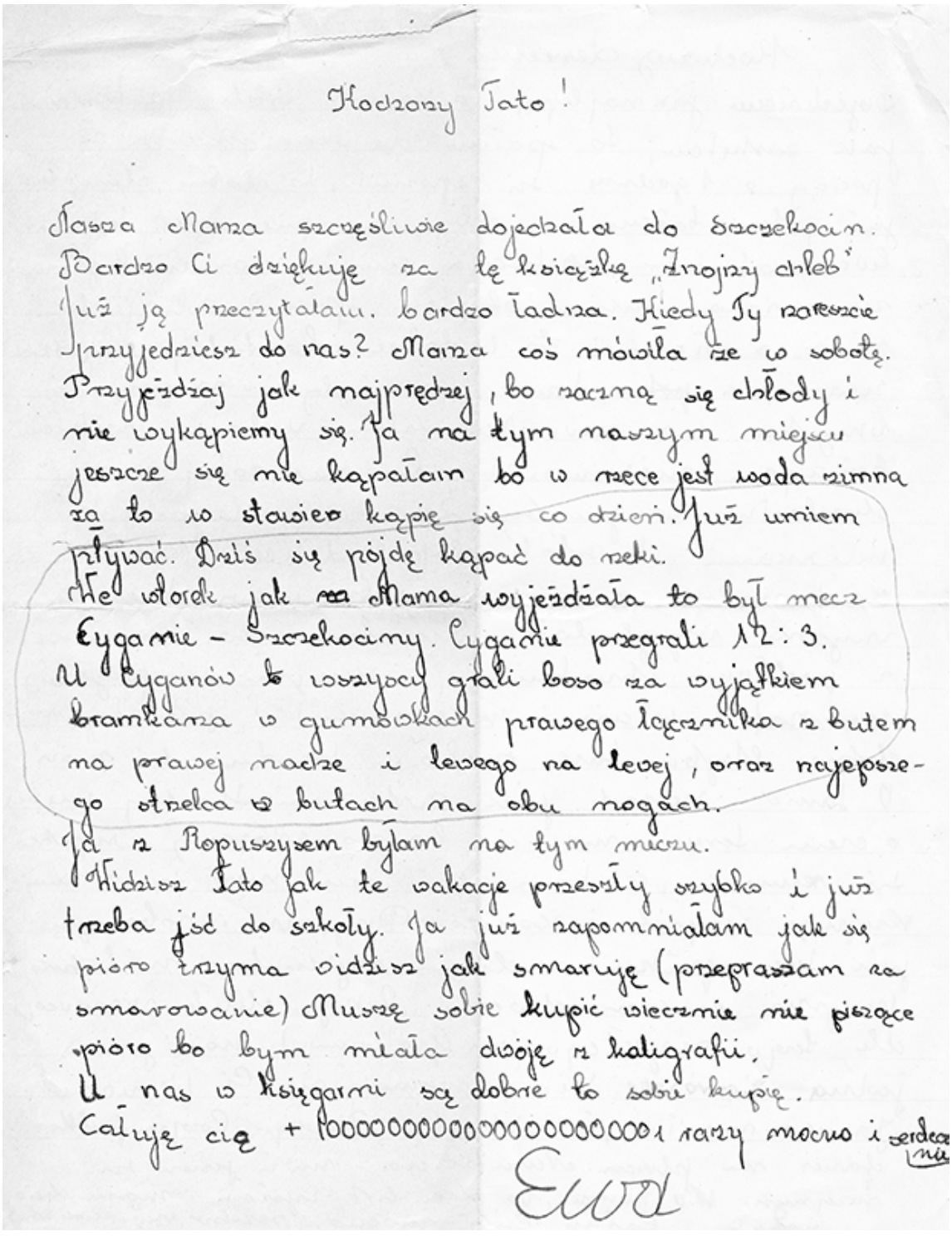

Kochany Tato!

Nasza Mama szczęśliwie dojechała do Szczekocin. Bardzo Ci dziękuję za tę książkę „Znojny chleb" Już ją przeczytałam. bardzo ładna. Kiedy Ty nareszcie przyjedziesz do nas? Mama coś mówiła że w sobotę. Przyjeżdżaj jak najprędzej, bo zaczną się chłody i nie wykąpiemy się. Ja na tym naszym miejscu jeszcze się nie kąpałam bo w rzece jest woda zimna za to w stawie kąpię się co dzień. Już umiem pływać. Dziś się pójdę kąpać do rzeki.
Nie wiesz jak za Mama wyjeżdżała to był mecz Cyganie - Szczekociny. Cyganie przegrali 12:3. U Cyganów to wszyscy grali boso za wyjątkiem bramkarza w gumiakach prawego łącznika z butem na prawej nodze i lewego na lewej, oraz najlepszego strzelca w butach na obu nogach.
Ja z Ropuszyszem byłam na tym meczu.
Widzisz Tato jak te wakacje przeszły szybko i już trzeba iść do szkoły. Ja już zapomniałam jak się pióro trzyma widzisz jak smaruję (przepraszam za smarowanie) Muszę sobie kupić wieczne nie piszące pióro bo bym miała dwóję z kaligrafii.
U nas w księgarni są dobre to sobie kupię.
Całuję cię + 10000000000000000000001 razy mocno i serdecznie

Ewa

Mój list do taty

Barwy ginącej puszczy (kwiecień 1948) – o tradycjach kurpiowskich, wraz z refleksjami o konieczności ich zachowania, ale w postaci autentycznej, a nie spreparowanej, jako rezerwaty prymitywu, ale szczerego.

Głodu, ognia i wojny (styczeń 1947) – refleksje nad zniszczeniami i przeciwnościami w odbudowywaniu tzw. przyczółku wiślanego – rejonów Sandomierszczyzny i Kielecczyzny; *linie ideologicznych i politycznych podziałów przekreślają i tutejszy teren*.

Szkoła w baraku (styczeń 1947) – prorocze rozważanie na temat aktywności społeczeństwa w zakresie odbudowy budynków szkolnych przy jednoczesnej degradacji zawodu nauczyciela *…wierzę, iż potrafimy odbudować wszystkie popalone gmachy szkolne. Ich izby klasowe zapełnią się dziećmi. Obawiam się jednak, by czasem w pokojach nauczycielskich nie zapanowały dotkliwe pustki (…) trzeba stworzyć warunki, które by zachęcały ludzi zdolnych do poświęcenia się pracy nauczycielskiej… pedagog po trzydziestu latach praktyki zarabia mniej niż zupełnie jeszcze młody pracownik w innym resorcie*.

Trudnego życia towarzysz (październik 1947) – refleksje nad pozytywną i niezwykle istotną w powojennych warunkach działalnością Caritasu, będące wynikiem wizyty w wielu placówkach tej organizacji.

Dwa dni w tłumie (kwiecień 1947). Reportaż z uroczystości 950-lecia męczeństwa św. Wojciecha w Gnieźnie.

Były też teksty krytykujące powojenną konspirację *Nie wolno* i *Pozory konieczności*. Zdaniem ojca obowiązkiem pisma katolickiego, takiego jak „Tygodnik Powszechny”, było przekazanie czytelnikom (w tym księżom) negatywnego stanowiska redakcji dotyczącego tej sprawy. Ojciec nie patrzał na nową rzeczywistość bezkrytycznie, ale potrafił docenić jej pozytywne aspekty. Popierał rozwój nauki, widział szybką odbudowę,

trochę na wyrost fascynował się rozwojem przemysłu. Nie miał nic przeciwko pomysłowi zbudowania pod Warszawą huty. Na temat systemu rządzenia w latach czterdziestych nie wypowiadał się.

Wszystkie te artykuły oraz inne wzmianki prasowe na temat taty zachowały się, gdyż bardzo skrzętnie gromadziła je ciotka Wacława. Notowała też informacje usłyszane w radio. Nie wiem, czy spodziewała się, że kiedyś zostaną wykorzystane. Dla mnie są teraz bardzo cenne.

Ciotka od 1920 do 1939 roku pracowała cały czas jako nauczycielka w wiejskich szkołach na ogół w powiecie oszmiańskim. Szkół tych „zaliczyła" sześć, w czasie wojny jeszcze dwie.

Po wojnie, w 1945 roku pojechała uczyć „swoje" dzieci na Ziemie Odzyskane do miejscowości Lingenau, co później w polskim przekładzie nazywało się Łęgno (powiat Lidzbark Warmiński). Przed wojną przyznano jej (w 1928 roku) Medal Dziesięciolecia Odzyskanej Niepodległości, a w 1939 roku Brązowy Medal za Długoletnią Służbę. Doceniły ją nawet władze sowieckie. Natomiast powojenne dokumenty świadczą o nieustannym upominaniu się ciotki o zaległe bądź zaniżone wypłaty. O żadnym podziękowaniu za pracę nie ma mowy. Po przejściu na emeryturę pozwolono jej zamieszkać na nieogrzewanym strychu szkolnym, skąd którejś zimy zabraliśmy ją z mężem do nas. I u nas mieszkała do końca swoich dni. Zmarła miesiąc przed narodzinami naszej drugiej córki Małgosi.

Pierwszą książkę Pawła Jasienicy cenzura w całości skonfiskowała pismem z 13 grudnia 1948: *Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk przy Prezydium Rady Ministrów w załączeniu zwraca maszynopis pracy Obywatela p.t. Po kataklizmie i komunikuje, że po dokładnym zapoznaniu się z treścią tej pracy nie zezwala na opublikowanie jej*. A były to reportaże z Ziem Odzyskanych. Ja po dokładnym zapoznaniu się z zachowanymi fragmentami *Obywatela* nie widzę w nich nic niemoralnego lub godzącego w podwaliny ustroju. Są tam w sposób pozytywny opisywane realia zaistniałe po wojnie na tamtych terenach.

Podkreślona jest rola intelektualistów i Kościoła w trudnej integracji nowych i starych mieszkańców, jest też krytyka niszczenia zabytków poniemieckich. Daje się także zauważyć stanowisko autora w sprawie przyszłej konieczności pojednania obu narodów. Bez komentarza.

ZATRZYMANY

Pamiętam przedłużający się czas oczekiwania w Szczekocinach na zapowiedziany przyjazd do domu ojca i z dnia na dzień rosnące zaniepokojenie mamy i ciotki. Zapadła decyzja, by w końcu zatelefonować do Krakowa. W tamtych czasach operacja ta była bardzo skomplikowana i wymagała sporo czasu. Należało udać się na pocztę, złożyć zamówienie na rozmowę i czekać na miejscu, aż telefonistka pokona swoją wrodzoną niechęć do pracy oraz trudności techniczne. Po wielu godzinach mama wróciła do domu w ponurym nastroju, rzucając tylko jedno słowo: „zatrzymany”. Oczywiście wywołało to u wszystkich różne domysły i w związku z tym mama pojechała najpierw do Krakowa, a potem do Warszawy.

Tato 2 lipca 1948 roku wpadł w tak zwany kocioł w mieszkaniu swoich znajomych, państwa Oszywów, w Krakowie przy placu Kossaka 2. Stało się to w godzinach wieczornych, po wyjściu z Jamy Michalika, dokąd poszedł coś zjeść ze Stanisławem Stommą i Czesławem Zgorzelskim. Do państwa Oszywów chodził, jak zeznał w protokole przesłuchania: *regularnie w poniedziałki lub piątki, ponieważ korzystałem z ich łazienki (w moim mieszkaniu łazienka była zepsuta).* Bratem pani Janiny Oszywowej był Lucjan Minkiewicz „Wiktor”, znajomy z partyzantki, pozostający cały czas w ścisłych kontaktach z „Łupaszką”, więc można było podejrzewać, że nie tylko dla zachowania higieny tata się tam pojawiał. Muszę tu zdecydowanie zaznaczyć, że wbrew temu, co się czyta w niektórych publikacjach, ojciec nie został zatrzymany razem z „Łupaszką” (jak przeczytałam w artykule *Kapitan martwej armii* Zbigniewa Żbikowskiego, „Życie”, 14.04.2001). „Łupaszka” został aresztowany 26 czerwca 1948 roku w Poroninie (Piotr Niwiński, *Okręg Wileński AK w latach 1944-1948*, Oficyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 1999). Inne źródła podają, że w Osielcu.

Nie znam szczegółów partyzanckiego okresu życia ojca. Nigdy się w domu nie wracało do tych wspomnień, choć ojciec niekiedy opowiadał o pojedynczych sytuacjach niezwiązanych bezpośrednio z walką, raczej z tym, co teraz nazywa się surwiwalem. Doradzał na przykład, jak przespać zimą noc przy ognisku bez zgubnych skutków. Miałam też okazję zobaczyć go na koniu w 58 wiośnie jego życia. Niech się młodzież chowa.

Przedstawiając ten okres, posługuję się dostępnymi źródłami: Bernard Wiaderny, *Paweł Jasienica – fragment biografii, wrzesień 1939 – brygada Łupaszki 1945*, Antyk, Kęty 1991 oraz Kazimierz Krajewski, Tomasz Łabuszewski, *Łupaszka, Młot, Huzar – działalność 5 i 6 Brygady Wileńskiej (1944-1952)*, Oficyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 2002 oraz zachowanymi protokołami z przesłuchań podejrzanego Leona Lecha Beynara. Protokoły te niewątpliwie zawierają półprawdy. Ale ponieważ innych dokumentów nie ma, i z tych można wywnioskować, jaka była ocena rzeczywistości w brygadzie „Łupaszki” i na co liczono, prowadząc działalność partyzancką po wojnie. Zresztą wczytując się dokładniej w książkę Krajewskiego i Łobuszewskiego, zauważam, że autorzy obficie czerpią z tego źródła.

Jak już wspominałam, ojciec po zatrzymaniu przez NKWD we wrześniu 1944 roku został dekretem PKWN uznany za poborowego i odtransportowany do jednostki WP w Dojlidach. Była to jednostka wchodząca w skład jednego z czterech batalionów, do której wcielano byłych konspiratorów. Ojciec uważał się tam za więźnia, nie za żołnierza. Z jednostki tej udawało się w miarę łatwo uciec dzięki działającej tam siatce, która to umożliwiała i jednocześnie kierowała do brygady „Łupaszki”. W ten sposób tata stał się dezerterem z Ludowego Wojska Polskiego, co niemal ćwierć wieku później wytknął mu publicznie towarzysz Wiesław. Wczesną jesienią 1944 roku znalazł się w oddziale

dowodzonym przez rotmistrza Zygmunta Szendzielorza, „Łupaszkę”, stacjonującego wówczas we wsi Kituryki. Oddział ten wchodził w skład 5 Wileńskiej Brygady AK podległej KO AK Białystok, powstałej latem 1943 roku. Brygadę stworzono z różnych oddziałów rozbitych przez wojska sowieckie. Jej dowódca *zwracał uwagę nieprzeciętną indywidualnością i wybujałym temperamentem… zaś okropności Rosjan jak potem Niemców, kształtowały psychikę i myśl polityczną „Łupaszki”* – pisze jego biograf Aleksandrowicz. W tym oddziale ojciec szybko stał się znaczącą postacią jako człowiek wykształcony, najstarszy stopniem i wiekiem. Początkowo był adiutantem „Łupaszki”, a potem – od początku lipca do końca sierpnia 1945 – jego zastępcą. Podlegała mu komórka wywiadu i kontrwywiadu, prowadził też kasę brygady. Pieniądze pochodziły z KO AK lub też były zdobywane podczas akcji. Za żywność otrzymywaną od miejscowej ludności zawsze płacono. W miarę możności starano się też rekompensować straty wynikłe z powodu działań partyzanckich (drewno na odbudowę spalonych budynków, rekompensaty pieniężne).

Po dekonspiracji ze strony jednego z członków o pseudonimie „Pająk” oddział został mocno przerzedzony. Dowództwo nad tymi resztkami powierzono „Nowinie”. Oto co pisze o tym w „Zeszytach Historycznych” numer 21 z 1972 roku w artykule zatytułowanym *Wspomnienia* nieujawniający nazwiska uczestnik tych wydarzeń*: *Por. Nowina dostał rozkaz przesiedzenia gdzieś w Puszczy Białowieskiej do 20 grudnia. Kontakt został omówiony na ten dzień w pewnym punkcie koło Hajnówki. Było ciężko. Z powodu mrozów, śniegów, braku narzędzi zdołaliśmy sklecić bardzo prowizoryczny szałas. Brak żywności – mieliśmy tylko worek żytniej mąki – bardzo słabe umundurowanie i obuwie, wszy, szkorbut, świerzb. Minimalne ogniska, jak najmniej dymu. Żeby nie zostawić „białego tropu” porucznik Nowina ograniczył ubezpieczenie do posterunków alarmowych.*

Był dobrym dowódcą. Utrzymywał dyscyplinę. Pobudka, modlitwa, apel, meldowanie się. Był zarazem przyjacielem. „Swój Malec" jak to się mówiło. O niespotykanym poczuciu humoru. Władał dobrze rosyjskim, sypał kawałami w tym języku. Po wielu przejściach, a była to już zima, 24 grudnia dotarli do wsi Sierakowizna, gdzie znalazł się też „Łupaszka" i przejął dowodzenie. Wieczerza wigilijna tego dnia składała się z pół litra samogonu, pół kilograma słoniny, dwóch chlebów i do tego dwóch papierosów. W oddziale „Łupaszki" był jeszcze jeden Beynar – Wacław, pseudonim „Orszak", ale nie spokrewniony z naszą rodziną.

19 stycznia 1945 roku z rozkazu dowódcy sił zbrojnych w kraju, generała Leopolda Okulickiego, AK została rozwiązana, a żołnierze zwolnieni z przysięgi. Według tego rozkazu należało dalszą *działalność prowadzić w duchu odzyskania niepodległości państwa i ochrony ludności polskiej przed zagładą*. „Łupaszka" działał dalej, skupiał żołnierzy z różnych jednostek. W marcu 1945 oddział liczył około 80 osób, które kwaterowały w Sierakowiźnie, Zaroślu, Kiersnowie i Pacach. Za porządek w Kiersnowie odpowiadał „Nowina".

Po aresztowaniu w Pruszkowie przez NKWD całego dowództwa Polski Podziemnej rozpoczęła się zbrojna działalność terenowych brygad Armii Krajowej przemianowanej po 19 stycznia na Obywatelską Armię Krajową. („Łupaszka" zachował starą nazwę AK). 1 kwietnia podczas koncentracji utworzono dwa szwadrony, a przywódcą pierwszego został „Zygmunt" – Zygmunt Błażejewicz, drugiego tymczasowo „Nowina", do momentu przybycia „Mścisława" – Mariana Plucińskiego, który miał dowodzić tym szwadronem. Później powstał szwadron trzeci pod dowództwem Romualda Rajsa – „Burego". W skład V brygady wchodziła też kompania szturmowa dowodzona przez Jana Mazura – „Piasta". Kompanię tę tworzyli ludzie, którzy w brawurowy sposób zdezerterowali z Ludowego Wojska Polskiego,

z 4 pułku zapasowego w Toruniu. Zabranymi tamże trzema ciężarówkami dotarli na Podlasie, gdzie zostali wcieleni do V brygady, która już w czerwcu liczyła 400 żołnierzy. Brygada przeprowadziła szereg akcji zbrojnych. Są one relacjonowane w publikacjach dotyczących jej działalności, istnieją liczne opisy walk powstałe na podstawie opowieści uczestników, spisanych wspomnień, akt zachowanych w sądach i aresztach śledczych i wielu innych dokumentów, oczywiście również w teczkach.

V brygada w żadnym wypadku nie zasługuje na obelżywe miano „bandy", jakie do niej przylgnęło i jest niekiedy automatycznie, bezmyślnie powtarzane. W jej skład wchodzili ludzie pochodzący ze wschodu, którzy mieli okazję doświadczyć okupacji sowieckiej i poczuć na własnej skórze, na czym polegają dobrodziejstwa ustroju socjalistycznego, zanim zapanował on w pozostałej części kraju. Widzieli represje, wywózki na wschód, okrucieństwa nie gorsze od hitlerowskich. Niejednokrotnie poznali też „wielbicieli" nowej władzy, denuncjatorów, pochlebców. Byli dogłębnie przekonani o celowości przeciwstawiania się wprowadzaniu nowego porządku w Polsce. Pamiętali o przysiędze składanej w Armii Krajowej, czuli się zobowiązani do posłuszeństwa rządowi londyńskiemu. Działalność brygady polegała na wykonywaniu takich zadań, jak: rozbrajanie posterunków milicji, likwidacja informatorów UB i NKWD wymienionych rozkazem KO AK, niszczenie dokumentacji stwarzającej zagrożenie, rekwizycja żywności, zwalczanie przypadków bandytyzmu i rabunków ze strony ludności cywilnej, jak też zdarzających się i wśród partyzantów. „Łupaszka" dbał o dyscyplinę i morale swoich oddziałów i w miarę możności starał się o zapewnienie względnego bezpieczeństwa. Prowadziła do tego cała strategia przemieszczania się i zakwaterowywania. Starał się nie narażać ludzi bez potrzeby, karał wszelką niesubordynację, szczególnie uchybienia podczas pełnienia wart oraz nadużywanie alkoholu.

Nie chciałabym powtarzać tego, co już opisali kompetentni historycy. O jednej jednak akcji wspomnę. Opowiada o niej film *Pęknięty kamień* w reżyserii Artura Gołębiewskiego, na premierę którego zostałam zaproszona w maju 2006 roku. Przedstawiona w nim została historia walki prowadzonej przez szwadron „Zygmunta" z oddziałem Ludowego Wojska Polskiego pod dowództwem Tadeusza Cynkina. W filmie występują obydwaj dowódcy, do dziś żyjący, i wspominają swoje spotkanie sprzed lat. Obaj byli również obecni na sali podczas pokazu.

Po potyczce w rejonie wsi Sikory, kiedy oddział „Zygmunta" zlikwidował cztery samochody wraz z załogą należące do II Baonu 1 Pułku 1 Dywizji im. Tadeusza Kościuszki (wzięto 70 jeńców, 18 żołnierzy poległo), w celu podjęcia walki odwetowej skierowano 5 Kompanię 2 Batalionu 2 Pułku Piechoty pod dowództwem Cynkina, który w tej potyczce ocalał i zdołał uciec. „Zygmunt", widząc zbliżające się wojsko, a chcąc uniknąć walki, wysłał jednego z jeńców, by ten wezwał dowódcę na pertraktacje. Obydwaj usiedli na środku pola, pod gruszą, w równej odległości od swoich oddziałów. Mieli przy sobie pistolety. Wiedzieli, że są w nich wymierzone lufy karabinów przeciwnika. Nad polem latały dwa rosyjskie kukuruźniki, których załoga obrzucała Polaków obelgami. Na początku Cynkin był dość nieufny, następnie rozmowa potoczyła się gładko. „Zygmunt" wynegocjował, że w zamian za oddanie jeńców wziętych w potyczce i zaopiekowanie się rannymi Cynkin pozwoli odejść partyzantom bez walki. Tak się też stało, z tym że partyzanci musieli oddać część zdobycznej broni (bez amunicji). Cynkin radził im jak najszybciej oddalić się, gdyż został poinformowany przez radiostację o nadciągających posiłkach. Obiecał też skierować ogień artyleryjski w niewłaściwą stronę. Niektórzy wzięci do niewoli żołnierze z LWP chcieli przyłączyć się do partyzantów, jednak „Zygmunt" na to się nie zgodził. Obaj panowie

wymienili ryngrafy z Matką Boską, które nosili w kieszeniach swoich bluz, a na zakończenie Cynkin powiedział: *Może Pan Bóg pozwoli nam spotkać się w lepszych czasach i warunkach.*

To wydarzenie sześćdziesiąt lat później stało się osnową filmu. Na tym samym polu, w letni słoneczny dzień dwaj mocno starsi panowie padają sobie w objęcia. Pomimo że scenariusz niewątpliwie był wcześniej ustalony i przećwiczony, widać autentyczne wzruszenie, szczególnie u Zygmunta. Bohaterowie tamtych wydarzeń wspominają spotkanie, potem zapalają świeczki na pobliskim cmentarzu. Trwają rozmowy z miejscową ludnością, która przez lata pouczana o grasujących po wojnie bandach jakoś nie może się przekonać do innego widzenia rzeczywistości. Jest też scena, kiedy w kościele odbywa się spotkanie mieszkańców z oboma dowódcami i historykami z IPN. Wspominany jest też Paweł Jasienica jako uczestnik tych walk. Jakaś kobieta zadaje Cynkinowi pytanie: *Dlaczego pan żyje, jak to się stało, że pana nie zlikwidowano?* On opowiada swój życiorys. Od walk o Berlin, przez awanse w LWP, aż do konieczności emigracji po 1968 roku. Wtedy znalazł się w Szwecji, gdzie udało mu się założyć i rozwinąć dobrze prosperujące przedsiębiorstwo. Ale od kiedy zaistniała taka możliwość, odwiedza Polskę i z wielką radością kilka lat temu dowiedział się z IPN, że Zygmunt też przeżył. Uważano, że został zamordowany w więzieniu mokotowskim – podobnie jak „Łupaszka” i „Wiktor”, rozstrzelani 8 lutego 1951 roku.

Zygmuntowi wraz z żoną udało się uciec z kraju jeszcze przed falą aresztowań. Najpierw mieszkali we Francji i Anglii, następnie w Argentynie, a obecnie w Stanach Zjednoczonych. Jemu niezbyt dobrze się powiodło. Też chętnie przyjeżdża do Polski, odwiedza miejsca walk, nawiązał liczne znajomości z osobami interesującymi się przeszłością. Współpracuje z fundacją „Pamiętamy”.

Kiedy po filmie podeszłam do Zygmunta i przedstawiłam się, mocno mnie uściskał. Powiedział, że ojciec to był kryształowy człowiek.

Autorzy książki *Łupaszka, Młot, Huzar* dziwią się, że „Łupaszka” nie stworzył własnej komórki propagandowej i wydawniczej, pomimo że starym „BIP-owcem” był jego zastępca „Nowina”. Wydaje mi się, że ojciec ponownie odmówił propozycji bycia „ideologiem”, skoro nie był przekonany o słuszności i celowości przedsięwzięcia. Wolał służyć jako żołnierz.

24.04.1946. Zdjęcie, które dotarło do Wilna z informacją, że ojciec żyje w Krakowie

Sam to potwierdził, zeznając podczas przesłuchania w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie 15 lipca 1945 roku: *Moim zadaniem jako adiutanta było przebywać przy „Łupaszce”, odbierać jago rozkazy i przekazywać dowódcom szwadronów lub drużynowym zgodnie z przeznaczeniem, pamiętać o sprawach do załatwienia i przypominać „Łupaszce” o nich, pisać rozkazy dzienne na koncentracje oddziałów, orientować się w terenie i być pomocnym w poważniejszych przedsięwzięciach. W myśl tych zadań postępowałem. Koncentracje, które odbywały się raz w miesiącu miały następujący charakter: Cały oddział pod dowództwem „Łupaszki” zbierał się w oznaczonym miejscu i ubezpieczał. Członkowie poszczególnych szwadronów mieli możność stykania się ze sobą celem współżycia i zapoznania. D-cy szwadronów „Zygmunt”, „Piast”, „Bury” i „Mścisław” składali meldunki „Łupaszce” o stanie rzeczy za ubiegły miesiąc. Na tejże odprawie dla oficerów „Łupaszka” omawiał zachowanie się poszczególnych dowódców wytykając przy tym błędy i wady, poza tym wyznaczał miejsce i termin następnej koncentracji; tu należy dodać, że z reguły obierał miejsca ustronne, łatwe do ubezpieczenia i położone przy większych obszarach leśnych, w czym często „Łupaszka” opierał się na moich radach. Po każdej takiej odprawie ja sporządzałem rozkaz dzienny, który zawierał: omówienie działań i poważniejszych wydarzeń w życiu oddziałów – szwadronów, z uwzględnieniem strat w ludziach oraz ważniejsze wydarzenia o znaczeniu politycznym i historycznym w kraju i zagranicą. Poza tym wyszczególniane były awanse, pochwały i kary. Rozkazy takie po sporządzeniu odczytywałem przed całą brygadą przed zakończenie koncentracji. Z miejsca koncentracji rozchodziły się poszczególne oddziały w ogólnie uzgodnionym z „Łupaszką” kierunku. Także na tych koncentracjach „Łupaszka” podawał*

dowódcom szwadronów i mnie ustne rozkazy i instrukcje dotyczące naszego postępowania i zachowania się, a mianowicie: kładł nacisk na szkolenie oddziałów w myśl przepisów W.P. z przed 1939 r. i zachowywania się w terenie oraz wobec ludności cywilnej – by stosunki były dobre. Odnośnie zachowania się w terenie wymagał niezatrzymywania się dłuższego w miejscowości, zachowania karności na postojach i zakazu picia alkoholu. W sprawie stosunku do mniejszości białoruskiej, wprowadzał w życie rozkazy dowództwa Okręgu dotyczące zjednywania jej sympatii. Zwracał uwagę dowództwa szwadronów by w terenie unikać okazji do spotykania się z jednostkami W.P. i Armii Czerwonej celem ochrony ludzi oddziału i ludności cywilnej. O ile chodzi o ustosunkowanie się do władz U.B. i M.O. itp. specjalnych instrukcji sobie nie przypominam. „Łupaszka" ze swoim oddziałem był całkowicie wierny Rządowi Londyńskiemu, konkretnej pracy programowo-politycznej w oddziałach nie prowadziliśmy. „Łupaszka" stał na stanowisku apolityczności wojska i w rozmowach ze mną stwierdzał, że na polityce nie zna się. Celem istnienia oddziału było: utrzymanie siły zbrojnej, kadrowej wiernej rządowi londyńskiemu, będącej w stanie w razie potrzeby rozwinąć większe oddziały na wypadek konfliktu zbrojnego między Anglosasami a ZSRR. W tym czasie, kiedy byłem członkiem oddziału „Łupaszki" prasę otrzymywaliśmy nieregularnie z Okręgu lub z Obwodu za pomocą specjalnych łączników nie znanych mi. Były to egzemplarze gazetki p.t. „Polska Demokratyczna" a w późniejszym czasie zmienione na „Jedność"; były one odbijane na powielaczu; w końcu w ogóle przestaliśmy otrzymywać. W/w. gazetki dostarczane były przeze mnie poszczególnym d-com oddziałów, którzy z kolei mieli je odczytywać swoim podwładnym. Osobiście też raz czytałem taką gazetkę, a może i więcej razy przed drużyną, która chodziła ze mną i „Łupaszką". Poza tym wykładów politycznych lub pogadanek n. t. polityczne nie prowadziliśmy. Ogólnie

mówiąc treść gazetek tych była zgodna z polityką kontynuowaną przez „Rząd Londyński”, przez to skierowaną p-ko Rządowi Polskiemu – lubelskiemu. O ile się orientuję więc oddział nasz utrzymywał kontakt z Komendami terenowymi i inspektoratami bezpośrednio lub za pomocą nieznanych mi łączników. O ile chodzi o zagranicę kontaktu nie było wówczas. Między szwadronami łączność była utrzymywana wyłącznie przez koncentracje podane wyżej.

I jeszcze o postępowaniu i motywach działania „Łupaszki” w pisanych dzień po dniu życiorysach (metodę tak pisanych życiorysów stosowało UB w celu doszukania się rozbieżności w ich poszczególnych wersjach, co pozwalałoby znaleźć punkt zaczepienia podczas przesłuchania). W wersji powstałej w Krakowie 5 lipca 1948, czyli jeszcze przed przewiezieniem taty na śledztwo do Warszawy: *Wiadomości politycznych dokładnych i realnych nie miałem. W czerwcu byłem obecny na odprawie z Przedstawicielem Okręgu Białostockiego (w powiecie Wysokie Mazowieckie), na płd. od wsi Dąbrowa Kościelna, w lesie, który nam powiedział, że wojna jest nieunikniona i że (dosłownie) przed zimą przypuszczalnie będziemy odcięci od reszty kraju przez front. Osobiście w wojnę nie wierzyłem, spodziewałem się kompromisu między aliantami. Wydawane nam rozkazy „trwania” tłumaczyłem sobie w ten sposób, że widocznie nasza obecność w kraju jest atutem w przetargach politycznych Rządu Londyńskiego, któremu przysięgaliśmy. Nie przypuszczałem, że owe rozkazy „trwania” wydawane są bez żadnej koncepcji politycznej.*

Cofnięcie uznania Rządowi Londyńskiemu i ustanowienie Rządu Jedności Narodowej – dowiedzieliśmy się o tym w lipcu – ujawniło nam beznadziejność naszego położenia. Jednak wiadomości mieliśmy mało. Miałem wtedy wrażenie, że władze Okręgu zaczynają unikać kontaktu z nami. „Łupaszka” posłał za Wisłę (do której nie dotarto) oddział

Zygmunta, wraz z którym poszedł terenowy oddział „Młota”, ja poszedłem razem z nimi by zebrać dokładniejsze wiadomości o położeniu. Za Bugiem wpadliśmy w obławę, podczas której zostałem postrzelony…

Stało się to 9 sierpnia 1945 roku. Po starciu w rejonie wsi Sikory, o którym pisałam wcześniej, partyzanci pod dowództwem „Zygmunta”, wycofując się w kierunku północnym, dotarli do wsi Zaleś. Nie wiedzieli, że stacjonuje tu zmotoryzowany batalion fizylierów 1 Brygady Pancernej. O północy 9 sierpnia szpica kolumny prowadzona przez „Nowinę” weszła na stanowiska 1 Kompanii Fizylierów usytuowane na koloniach wsi Zaleś – relacjonuje „Zygmunt” w rękopisie zatytułowanym *Kilka uwag związanych z Pawłem Jasienicą*.

W oddali ze wszystkich stron poszły w górę rakiety. Wszyscy zgodnie przeczuwali jeszcze jedną wojenkę. Ruszyliśmy drogą, mijając szybko wieś przy akompaniamencie gwizdków i huku motorów. Zwiad znajdował się jeszcze na wysokości ostatnich budynków, gdy w odległości 60-80 m na wzgórzu na prawo od osi marszu zarysowały się zabudowania kolonii. W lewo czerniał lasek. Przed nami zamajaczyła jakaś postać. „Stój, kto idzie?” „Gospodarz” padła odpowiedź. „A wy kto?” „Wojsko Polskie!” Postać ryknęła „ognia” i przypadła do ziemi. Z zabudowań sypnął grad pocisków wszelkiego rodzaju. Strzelało około 50 ukrytych żołnierzy. Stwierdzam, że gdyby żołnierze celowali do nas, straty byłyby ogromne. Jedynie dwulufowy NKM, ustawiony na łaziku i obsługiwany przez trzech sowieciarzy w polskich mundurach, walił po nas celując dokładnie… W tym samym czasie por. Nowina strzelał stojąc. Nie wypadało mi ryknąć „Lech, padnij!”. Upadł sam. Kula NKM-u przebiła mu udo, druga przeszła przez pelerynę przecinając na piersiach rzemyk pistoletu. Gdyby stał bardziej frontem nie było by Pawła Jasienicy. Spod ciągłego ognia „Nowina” został wyciągnięty przez siostrę „Krystynę” i wezwanego przez nią partyzanta.

Siostra „Krystyna” otrzymała za ten czyn Brązowy Krzyż zasługi z Mieczami (nieuznany przez Londyn z powodu braku świadków!) (siostra Krystyna to poślubiona kilka dni przed opisywaną tu akcją żona „Zygmunta” – Alicja Trojanowska).

Po krótkiej, zwycięskiej walce przewieziono „Nowinę” na punkt sanitarny w Hilarowie do gospodarstwa państwa Kuligowskich. Początkowo ukrywano go w chlewach, gdzie przeczekał obławę i rewizję gospodarstwa. Pomocy medycznej udzielili mu lekarze z Sokołowa Podlaskiego – Antoni Perłowski „Korybut” i Edward Perłowski „Ojciec”. Po tygodniu patrol 5 Brygady zabrał por. Nowinę z Filarowa i zawiózł na punkt w Zgórzu koło Kiełpińca, u Murawskich, skąd przerzucono go za Bug do Jasienicy. Tam opiekował się nim ksiądz Stanisław Falkowski, który zapewnił mu melinę i sprowadził lekarzy z Ostrowi Mazowieckiej. „Nowina”, awansowany 15 sierpnia 1945 do stopnia kapitana nie uczestniczył już w późniejszych działaniach 5 Brygady Wileńskiej, aczkolwiek utrzymywał kontakty z mjr. „Łupaszką” i ppor. „Wiktorem”.

Ksiądz Falkowski opisuje to w swoich wspomnieniach *Tak Ojcze. 50 lat kapłaństwa w czasach niełatwych (1940-1990). Wspomnienia*: *W tym właśnie czasie na plebanię w Jasienicy trafił pod moją opiekę ciężko ranny w nogę Lech Beynar, późniejszy znany pisarz Paweł Jasienica. Dzięki moim i jego znajomym przywieziono go w stroju partyzanckim, tj. w podartym kożuchu i zdeptanych butach z cholewami oraz raną w nodze. Przez okres paru miesięcy mieszkał na plebanii i goił swoją ranę. Autor książki pt. „Łupaszka” (Dariusz Fikus) naopowiadał w niej głupstw na temat osoby Lecha Beynara, że przechowywał się za ołtarzem w kościele, że usługiwał mu młody Żyd i palił kadzidło, aby usunąć cuchnący odór itp. Wszystko to nie jest prawdą. Normalnie p. Beynar mieszkał w osobnym pokoiku i żadnych cuchnących zapachów nie było. Gdy pewnej nocy oddział*

partyzantów napadł na posterunek milicji w Jasienicy, znajdujący się 50 m od plebanii, Lech Beynar obawiając się niebezpieczeństwa aresztowania w związku z rewizjami w sąsiednich domostwach, postanowił wyjechać do Krakowa. W jakiś czas przed tem dotarł do nas pierwszy numer „Tygodnika Powszechnego", a w nim L. Beynar odczytał nazwiska swoich wileńskich kolegów, między innymi Turowicza, Gołubiewa i Stommy. Odstroiłem go w swoją kurtkę, zamiast podartego kożucha i pożegnaliśmy się. Po jakimś czasie ukazał się jego pierwszy artykuł w „Tygodniku Powszechnym" podpisany literackim pseudonimem Paweł Jasienica, którego używał do końca życia. Na jednej ze swoich książek ofiarowanych mi napisał: „Księdzu F.S., któremu dużo zawdzięczam, między innymi swój pseudonim literacki". W czasie pobytu na plebanii w Jasienicy napisał kilka brulionów pamiętników, które przechowywałem do roku 1949. Na parę tygodni przed [moim] aresztowaniem odesłałem je przez zaufaną osobę do ich autora. W „Pamiętnikach Jasienicy", które niedawno wyszły w druku, wspomina Jasienica dawne, u mnie pisane pamiętniki, które po otrzymaniu sam zniszczył i popiół po nich rozgarnął. Obecne „Pamiętniki Jasienicy" są nowym dziełem. Jest w nich wspomnienie o księdzu, który za niekonwencjonalne kazania dostał się do stalinowskiego więzienia na dwa i pół roku. Mam zaszczyt być adresatem tej wzmianki. Do końca życia Paweł Jasienica darzył mnie swoją przyjaźnią. Oddałem mu ostatnią przysługę z Jego Ekscelencją Księdzem Biskupem Miziołkiem, grzebiąc go na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

Zachowała się kartka z Matką Boską Ostrobramską od księdza Falkowskiego do mamy pisana w Broku 13 listopada 1947 roku: *Zacnej i Drogiej Pani Beynar – Dzielnej Wilniance, schodzącej z posterunku, jako jedna z ostatnich, w dowód poważania i głębokiej sympatii.*

Nie pamiętam już, gdzie przeczytałam, że opisane przez księdza ukrywanie się mojego taty miało miejsce za ołtarzem św. Pawła i stąd pseudonim Paweł Jasienica. Bardzo wątpię, czy w parafii pod wezwaniem św. Rocha istnieje ołtarz św. Pawła. Prawda jest taka, że imię Paweł bardzo się tacie podobało. Wyjawił mi to, kiedy zastanawialiśmy się, jak nazwać dziecko, którego spodziewałam się w 1968 roku. Urodziła się Kasia, a na Pawełka musiałam poczekać jeszcze 11 lat.

Ojciec, wspominając okoliczności swojego zranienia, a w konsekwencji wycofania się z partyzantki, mówił, że w sumie był zadowolony, że się tak stało. Nie był przekonany o celowości kontynuowania walki, a jednocześnie nie miał motywacji, aby rozstać się z oddziałem, więc ucieszył się, że los sam zadecydował. Do oddziału Zygmunta, który wyruszył z zamiarem dotarcia za Wisłę, ojciec dołączył na własną prośbę, chcąc, jak twierdził, „przewietrzyć" się i zorientować, co się dzieje na terenach nieco odleglejszych od tych, na których przebywał. We wspomnianym życiorysie pisanym w mokotowskim więzieniu ani słowem nie wspomina o ludziach, którzy pomogli mu się wyleczyć. Twierdzi, że przebywał na jakiejś kolonii, o której nazwę nawet nie zapytał, a rana była na tyle niegroźna, że sam się mógł kurować.

O kuracji ojca pisze tak w „Zeszytach Historycznych" wspomniany już anonimowy współtowarzysz z V brygady, celowo podając nieprawdziwą lokalizację kryjówki*: Żelazny dostał zadanie przekazania rozkazu o rozwiązaniu oddziałów AK kapitanowi Nowinie* [w międzyczasie ojciec został mianowany kapitanem – przyp. mój, E.B.] *oraz przewiezienia go na nowy punkt położony nad Narwią. Mieliśmy rozkaz podawania się za UB i podejrzewając wsypę kpt. Nowina przywitał nas z odciągniętym MP i z palcem na spuście. Po rozpoznaniu nas polały mu się łzy. Śmiał się tym swoim specyficznym uśmieszkiem, a po policzkach zawsze zarumienionych*

ciekły mu łzy. Wyzywał zarazem nas od ostatnich niemytych harłapanów. Rana, chociaż już się goiła, wyglądała paskudnie. Wylot duży jak od dum – dum (przy rozbrojonych Ubowcach zdarzały się wypadki, że mieli przy sobie naciętą amunicję). Twierdził, że dostał z CKM. Transport furmanką zajął parę nocy. Dnie spędziliśmy na rozmowach. Smutne były one. Kapitan Nowina twierdził, że jak tylko będzie się mógł „ruszać" – ujawni się. Martwił się o rodzinę. Mówił, że tęskni do pracy, która da mu przyjemność. Pamiętam, że raz zachowałem się dość głupio i powiedziałem, że nigdy go nie podejrzewałem i wyobrazić sobie nie mogę jako belfra. Zostawiliśmy go nad Narwią w bardzo dobrym punkcie. I tak skończyła się służba czynna kapitana Nowiny, czyli Pawła Jasienicy w 5-tej Brygadzie Wileńskiej AK majora Łupaszki.

Wiele poglądów ojca, zawartych w jego książkach, wspomnieniach, a nawet w zeznaniach więziennych, nie straciło do dziś na aktualności i dałoby się odnieść do obecnych czasów. W więzieniu, pewnie na rozkaz, napisał kilkunastostronicowy *quasi*-wykład o swoich przekonaniach, powodach leśnej działalności, zapatrywaniach na przyszłość Polski, określił w nim również swój stosunek do nowych granic itp. (przesłany 10 września 1948 roku do Jakuba Bermana). Gdy czyta się ten memoriał, można zauważyć, jak umiejętnie ślizga się po niewygodnych w zaistniałej sytuacji tematach, omija konkrety, ale niekiedy pozwala sobie na szczerość. Otóż wspomina w nim jeden jedyny wypadek, kiedy w oddziale toczyła się dyskusja polityczna, a on był w tej dyskusji zdecydowanie odosobniony. Wygłosił mianowicie tezę, iż w przyszłości w Polsce o pozycji człowieka winny decydować jego walory i zdolności, nie żadne zasługi. Przeciwko temu twierdzeniu utworzył się jednolity front słuchaczy utrzymujących, że pierwszeństwo należy się zasłużonym. Podobna tematyka była poruszana po 1989 roku już w wolnej Polsce i praktycznie nie przestała do dziś budzić

kontrowersji. Pewnie ojciec znów byłby w odosobnieniu albo najwyżej w mniejszości.

Natomiast w II części *Rzeczpospolitej Obojga Narodów*, zatytułowanej *Calamitatis Regnum*, snując refleksje nad stanem kraju po śmierci Stefana Batorego, ojciec pisze: *Atmosfera polityczna kraju musi odpowiadać pewnym warunkom, jeśli mieszkańcy państwa mają być naprawdę obywatelami, nie luźnym zbiorowiskiem indywiduów, zatroskanych jedynie o własne skóry i interesy. Obywatelem jest tylko ten, kto poczuwa się do osobistej odpowiedzialności przed sobą samym za stan spraw publicznych. Moralność w świeckim tego słowa znaczeniu polega na jednostronnym zobowiązaniu się człowieka do przestrzegania pewnych, nielicznych zresztą, norm, wśród których widnieje nakaz miłości ojczyzny. Do wykształcenia w ludziach wspomnianych postaw nie potrzeba wcale jednomyślności, stałych powodzeń, zachwytów, oklasków. Nie można się za to obejść bez wiary w rzetelność istniejących urządzeń, instytucji, głoszonych haseł czy programów. Jeśli jej brak, zanika zaufanie – rozumiane jako reguła stosunków międzyludzkich – kolejny z czynników niezbędnych dla zdrowia społeczności. Każdy jako tako doświadczony pedagog wie przecie, że głównym złem wychowawczym jest kłamstwo. Ono musi ośmieszyć, pozbawić znaczenia wszelki oficjalnie obowiązujący dekalog.*

W swojej książce ksiądz Falkowski nadmienia, że nie pamięta, aby pomagał naszej rodzinie po wyjeździe ojca z Jasienicy. A jednak pomagał. Zachowało się zaświadczenie z Inspektoratu Szkolnego w Ostrowi Mazowieckiej o posadzie nauczycielskiej zarezerwowanej dla ciotki Stanisławy z 28 marca 1946 roku. Nie mógł tego załatwić nikt inny tylko ksiądz. Dokument taki był niezbędny dla osób, które nie chciały być osiedlone w przypadkowym miejscu na Ziemiach Odzyskanych. Odnalazłam też dowód wymeldowania taty z Jasienicy, a na szczęście

zachował się też list księdza, w którym pisze on, że ten dokument był potrzebny ojcu do zameldowania się w Krakowie, a ksiądz zdobył go przez znajomą urzędniczkę.

Przyjaźń z księdzem Falkowskim objęła także młodsze pokolenia naszej rodziny. Odwiedzaliśmy go z ojcem i moim mężem, ochrzcił moją córkę Kasię, a 28 lat później w Klukowie, gdzie mieszkał u kresu swoich dni, pobłogosławił jej nowo zawarty związek małżeński.

---

* Z książki *Pseudonim: Łupaszka* Dariusza Fikusa wynika, że jest to Zbigniew Obuchowski.

PO ZWOLNIENIU

W jakiś czas po aresztowaniu ojca powiedziano mi, że jedziemy do Warszawy. Zatrzymałyśmy się u wujostwa Maliszewskich (rodzina babci na stałe mieszkająca w Warszawie). I tu zupełnie niespodziewanie dla mnie pojawił się tata. Jakiś odmieniony, wybiedzony. Po uwolnieniu od razu porozumiał się zarówno z kardynałem Hlondem, jak też z Sapiehą i za zgodą tego ostatniego powrócił do pracy w „Tygodniku". Z redakcji „Tygodnika" tata wycofał się w styczniu 1950 roku. Była to jego osobista decyzja. W sprawie zwolnienia Jasienicy do Ministra Bezpieczeństwa Publicznego dotarło pismo z redakcji „Tygodnika" podpisane przez Jerzego Turowicza, Zofię Starowieyską-Morstinową, Antoniego Gołubiewa i Stanisława Stommę. W tym piśmie autorzy proszą o interwencję i przekonują ministra, że Jasienica nie mógł należeć do jakiegokolwiek ruchu konspiracyjnego, gdyż zawsze był przeciwnikiem takich rozwiązań. Nieprzerwanie akceptował otaczającą go rzeczywistość, bez względu na to, czy to się tej, czy innej części społeczeństwa podobało. A jego dotychczasowy potrzebny i pożyteczny dorobek publicystyczny świadczy o tej postawie. Podejrzewanie Jasienicy o nielegalną działalność jest niewątpliwą pomyłką i wprowadza ferment i zaniepokojenie.

12 lipca 1949 roku Jasienica jako jedyny dopuszczony reporter był obecny przy otwarciu grobowca królowej Jadwigi i przyglądał się badaniu zwłok. Czynności te wykonywano na zlecenie władz duchownych, jako że wymagał tego proces beatyfikacyjny. Prowadzący oględziny profesorowie na klęczkach, przed kardynałem Sapiehą, złożyli przysięgę sumiennej pracy, przeczytano też dekret, który groził ekskomuniką każdemu, kto próbowałby coś samowolnie z trumny zabrać lub też cokolwiek do niej włożyć.

Po wydobyciu zwłok i ułożeniu ich w skarbcu na specjalnie przygotowanym do tego stanowisku rozeszła się wieść o niezwykłej urodzie

Jadwigi. Wysnuto ten wniosek na podstawie oględzin czaszki, która była bardzo foremna. Nos królowa miała prawdopodobnie prosty lub z lekka orli. Włosy jasne. Zęby zdrowe bez śladów próchnicy, brak tylko jednego trzonowego. Rasa, jaką można by przypisać Jadwidze – typ śródziemnomorski i dynarski. Wzrost królowej określono na 179-185 cm, była więc roślejsza od męża. Kości dowodziły proporcjonalnej budowy lekkiej i wysmukłej. Wiek zmarłej oceniono na najwyżej 28 lat. W trumnie nie było żadnych kosztowności, gdyż, jak wiadomo, wszystkie swe klejnoty Jadwiga podarowała Akademii Krakowskiej. Królowa zmarła po porodzie, co nie zostawiło żadnych śladów w kośćcu. Niesłusznie mówiono, że Jadwiga była Węgierką. Jej dziad był królem węgierskim, ale Francuzem z pochodzenia, drugi dziad pochodził z Bośni. Obie babki były Polkami.

Pamiętam i ja ten moment, kiedy po zakończeniu ekshumacji i złożeniu zwłok do wykonanego już w 1902 roku grobowca zaczął bić dzwon Zygmunta, a na Wawel przyszło wielu ludzi z kwiatami. Byłam bardzo wzruszona, udało mi się ucałować wtedy pierścień kardynała Sapiehy.

Z moich pobytów w Krakowie pamiętam jeszcze wizytę w redakcji „Tygodnika Powszechnego”, kiedy tata przedstawiał mnie swoim kolegom. Bardzo byłam stremowana, szczególnie kiedy Kisiel powiedział: „O! Jaka ładna dziewczynka. Jak Lidka umrze, to ja się z tobą ożenię”. Zupełnie nie wiedziałam, jak zareagować na te pierwsze w życiu oświadczyny.

W 1950 roku ojciec rozpoczął współpracę z pismami związanymi ze środowiskiem „Pax” i Bolesławem Piaseckim. Przez jakiś czas był członkiem zarządu Caritasu. W *Słowie o Paxie 1945-1956* Mikołaj Rostworowski tak o tym pisze: *Współpraca Pawła Jasienicy z PAX-em nie potrwa długo. Pisarz ten po krótkim okresie pracy redakcyjnej w „Słowie Powszechnym” i po opublikowaniu w Instytucie Wydawniczym PAX zbioru reportaży Pt Wisła pożegna zaścianek opuści środowisko paxowskie,*

motywując tę decyzję niemożliwością identyfikowania swoich poglądów z katolicką ortodoksją. No, czymś trzeba było motywować, tym bardziej że wszelka ortodoksja rzeczywiście była ojcu obca. A jeszcze bardziej niezrozumiałe było dla niego bratanie się tego środowiska z władzą ludową. Dosadniej ujmuje to znajdująca się w teczce publikacja, zatytułowana *Kronika działalności okupacyjnej Beynara Leona Lecha*, autorstwa nieznanego mi z nazwiska pracownika służb bezpieczeństwa, sporządzona 7 grudnia 1964 roku, czyli po ukazaniu się Listu 34* (stosowne służby pewnie kompletowały akta).

Otóż od 1940 roku Beynar zachowywał się w sposób niewłaściwy, należąc do ZWZ, AK i bandy „Łupaszki", a po wyjściu z więzienia wskutek interwencji Piaseckiego, który *(…) dążył do pozyskania Beynara dla PAX-u. Beynar tylko luźno współpracował z PAX-em i nigdy nie wyraził zgody na formalne przystąpienie do PAX-u. W 1956 roku zerwał współpracę publicystyczną i kontakty z PAX-em. Był on zawsze przeciwnikiem ideologicznym PAX-u a swoją współpracę traktował jako zło konieczne.*

Bolesław Piasecki dowodził 3 Batalionem 77 Pułku Piechoty AK, który brał udział w walkach okręgu Nowogródek, również w operacji „Ostra Brama" (wtedy poznał mojego ojca). Był uczestnikiem powstania warszawskiego, później walczył w partyzantce AK na kresach. W 1944 roku został aresztowany, a w 1945 zwolniony. Po wyjściu na wolność przedstawił władzom program środowiska „Dziś i Jutro" polegający na włączeniu się katolików w aktualnie zachodzące przemiany ustrojowe i gospodarcze oraz na rozładowaniu czynnego po wojnie podziemia. Jego własna działalność polegała między innymi na interweniowaniu w sprawie zwolnień więźniów politycznych. Uwolniono w ten sposób około 500 osób, w tym mojego ojca. Piasecki osobiście za niego poręczył. Liczył na jego

współudział w tworzonym przez siebie środowisku katolików akceptujących nową rzeczywistość.

Ojciec publikował w „Tygodniku” do 1950 roku. Potem zamieszkał w Warszawie. Wynajął pokój przy ulicy Filtrowej 59 u państwa Karniewskich.

Z tego okresu pochodzą, oprócz wyżej wspomnianego zbioru reportaży z Kielecczyzny *Wisła pożegna zaścianek* (1951, powojenna rzeczywistość przeplatana odniesieniami do historii), *Świt słowiańskiego jutra* (1952, reportaże z wykopalisk), *Biały Front* (1953, nowe spojrzenie na powstanie styczniowe) oraz książki *Opowieści o żywej materii* (1954, o działalności Ludwika Hirszfelda – profesora immunologii) oraz *Zakotwiczeni* (1955, o osiągnięciach naukowców z Politechniki Gdańskiej z zakresu budownictwa wodnego).

Do 1955 roku mieszkaliśmy w Szczekocinach. O jakości tego życia niech świadczy fragment zachowanego listu mamy do ojca do Warszawy z sierpnia 1950, kiedy okazało się, że nie możemy na razie liczyć na przeprowadzkę do stolicy: *kupuję węgiel na zimę (…) przywieź cukru chociaż dwa kilo i chleb razowy, no i jeszcze jedną żarówkę. Zapomniałam Ci powiedzieć Janka mówiła, że widziała Dawida Cooperfielda gdzieś na placu Narutowicza – może jeszcze się rozejrzysz*.

Nie mogę się oprzeć pokusie przedstawienia tu treści wywiadu, jaki na polecenie MBP opracowano w Wydziale XI Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Kielcach w maju 1954 roku, a dotyczącego mamy: *Beynar Władysława jest kobietą cichą i spokojną, cieszącą się dobrą opinią wśród miejscowych ludzi. Do obecnej rzeczywistości i ZSRR ustosunkowana jest pozytywnie.*

W/w. posiada rodzinę składającą się:

Beynar Lech – mąż, pracuje w Warszawie jako literat, przyjeżdża do żony każdego miesiąca na okres tygodnia i w tym czasie pisze jakieś prace, po czym z powrotem wraca do Warszawy.

Beynar Bożena, Ewa – córka ur. 31.VII. 1938 r. w Wilnie, obecnie przebywa w Kielcach i uczęszcza do gimnazjum.

Adamowicz Stanisława – siostra – panna lat około 52 jest nauczycielką uczy w Szczekocinach w Szkole Ćwiczeń. W/w uchodzi za kobietę postępową i pozytywną do obecnej rzeczywistości.

Bliższych kontaktów w/w ani jej rodzina na tutejszym terenie nie utrzymuje.

Ten wywiad uzyskano po niefortunnych poszukiwaniach mamy na terenie wsi Jasienica. MBP było zainteresowane warunkami materialnymi i obliczem moralno-politycznym, kontaktami towarzyskimi i stosunkami ze „swerami" (!) katolickimi oraz tym, jak często przyjeżdża do niej mąż. W odpowiedzi Powiatowy Urząd BP w Ostrowi Mazowieckiej stwierdził, że *osoba o zapodanym nazwisku Beynar Władysława zamieszkała w Jasienicy nie zamieszkiwała i nie zamieszkuje na terenie wsi Jasienicy.*

Ja w międzyczasie ukończyłam szkołę podstawową i pojechałam na dalsze nauki do Kielc do Liceum im. Błogosławionej Kingi. Mieszkałam w bursie sióstr urszulanek z dziewczynkami chodzącymi do różnych kieleckich szkół. Bardzo miło wspominam ten okres, a znajomości zawarte w tamtym czasie utrzymuję do dziś. Ojciec odwiedzał mnie w drodze do Warszawy, interesował się moimi postępami w nauce. Bardzo bolał nad tym, że z historii idzie mi raczej słabo. Rozpętała się wielka afera, kiedy będąc w dziesiątej klasie, oświadczyłam, że wstąpiłam do Związku Młodzieży Polskiej. Przyznaję się do tego, dziwiąc się za każdym razem, gdy czytam czyjeś wspomnienia – okazuje się bowiem, że ich autor jako jedyny w klasie nie należał do tej organizacji. Niestety, nie będę ukrywać,

że ja przez dwa lata należałam, a odpokutowałam to przestępstwo, naraziwszy się poważnie w domu. Powodem zapisania się był oczywiście strach przed niedostaniem się na studia. Już jako studentka chciałam podobnie jak wcześniej w Kielcach grać w koszykówkę. Całkiem nieświadomie zaczęłam trenować w klubie Gwardia, tylko dlatego że tam zaprotegowała mnie koleżanka. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest to klub ubecko-milicyjny. Ojciec tak długo, tym razem w miarę żartobliwie, wypominał mi, że przez to stałam się „milicjantką i ubówką", że zrezygnowałam. Nie powiem, żeby koszykówka kobiet coś na tym straciła.

W maju 1952 roku tata, który właśnie podjął współpracę z „Nową Kulturą", zainspirowany przez Putramenta, ówczesnego naczelnego redaktora tego pisma, wybrał się do Wrocławia, aby napisać reportaż o pracach naukowych prowadzonych we wrocławskim Zakładzie Mikrobiologii pod kierownictwem profesora Ludwika Hirszfelda. Powstał artykuł pt. *Konflikty ludzkiej krwi*. Dotyczył nowoczesnych badań, pozwalających na szczegółowe określenie cech krwi oraz procesów w niej zachodzących w różnych okolicznościach. Wiedza ta praktycznie pozwala na właściwe reagowanie na konflikt wynikający z niezgodności grup krwi u rodziców, uniemożliwiający niekiedy posiadanie potomstwa. Jest także przydatna przy ustalaniu ojcostwa. Ponadto stanowi podstawę dla badań nad metodami leczenia wielu chorób. Tatę do tego stopnia zafascynował temat, że postanowił napisać obszerniejsze dzieło o dokonaniach profesora i jego zespołu. Praca zaczęła się w kwietniu 1953 roku. Ojciec zamieszkał na dłużej we Wrocławiu. Zaczął od zaznajamiania się z podstawowymi pojęciami niezbędnymi do zrozumienia, o co chodzi w badaniach. Jak zwykle podszedł do tego bardzo solidnie. Czytał wielokrotnie podsunięte mu opracowania i z wielką pokorą przyznawał się do swej ignorancji. Rezultatem jest ciekawie i przystępnie napisana książka, gdzie pokazani są

młodzi naukowcy – nierzadko studenci wyławiani przez Hirszfelda podczas egzaminów, i w sposób w miarę naukowy, a zawsze zrozumiały opisane ich badania. Odtworzona została niezwykła atmosfera panująca w zakładzie. Przedstawiono wiele przykładów praktycznego zastosowania osiągnięć, jak wymienna transfuzja krwi u noworodka polegająca na wstrzyknięciu krwi z tą samą grupą krwi Rh, którą ma matka. Opisane zostały też badania nad nowotworami, gruźlicą. Książka opowiada także o tym, jak opanowywano wiedzę o antybiotykach i rozpoznawano wirusy, a przede wszystkim zgłębiano tajniki immunologii, czyli nauki o odporności organizmu. Profesor był jednym ze światowych prekursorów tej nauki. Ojciec uczestniczył w wielu doświadczeniach, przyglądał się operacjom, patrzył na przygotowywane próbki do badań. Nie udawał bohatera, przyznawał, że zdarzało mu się widzieć milsze widoki niż hodowanie bakterii na ludzkich wydzielinach czy też preparowanie zrakowaciałych tkanek.

Zaraz po napisaniu książki *Opowieści o żywej materii* przyjechał do Wrocławia, aby ją zaprezentować. Wtedy dowiedział się o chorobie, a później śmierci profesora. Z jednym z poznanych w zakładzie naukowców, Andrzejem Kelusem, tata przyjaźnił się do końca życia. Kelus odwiedzał nas w Warszawie, a kiedy był zmuszony wyemigrować – pisywał. Podczas pobytu ojca we Francji panowie się spotkali i wspólnie udali do Londynu.

Podczas pisania Zakotwiczonych

Wiedza zdobyta podczas pisania *Opowieści…* niespodziewanie nasunęła ojcu skojarzenia z tymi zawartymi w *Rozważaniach o wojnie domowej* – książce napisanej w latach 1967-1968, a dotyczącej rewolucji we francuskiej prowincji Wandea. *Rozwój bakteriologii, mikrobiologii oraz immunologii spowodował skutki olbrzymie, już znane, w dalszym ciągu nieobliczalne. To doświadczenie wcale zresztą nie odosobnione, powinno było mitygująco wpłynąć na odkrywców praw rzekomo rządzących losami ludzkości, pouczyć o stale istniejącej możliwości zaskoczeń. Takich na przykład, jak zupełnie dziś racjonalny pogląd, że wywodząca się od odkryć Pasteura i Kocha problematyka też nie jest niczym absolutnym i ostatecznym, skoro współczesna technika pozwala na bardzo wydatne zredukowanie zaludnienia ziemi i to w czasie nader krótkim.*

Ojciec nieświadomie wywarł wpływ na mój wybór kierunku studiów (zrezygnował z marzeń o wysłaniu mnie na archeologię). W tym czasie jeździł na Politechnikę Gdańską i był zafascynowany między innymi postępem rekonstrukcji zniszczonych budowli wodnych i udziałem naukowców w tych przedsięwzięciach. Napisał o tym książkę pod tytułem *Zakotwiczeni*. Kiedy teraz przeglądam ją z punktu widzenia inżyniera budownictwa wodnego, widzę, że tata, pomimo całego antytalentu do spraw technicznych, dokładnie rozumiał i potrafił się wczuć w jakże odległe mu tematy. Nie ma tu żadnych wpadek i powierzchownych stwierdzeń żurnalistów, z jakimi wielokrotnie spotykałam się, pełniąc rolę kogoś w rodzaju rzecznika prasowego budowy zapory w Solinie. Większość przyjeżdżających tam ludzi pióra opisywała trwające prace dość dowolnie, myląc parametry, nazwy i nazwiska, nie zadając sobie trudu wgłębienia się w temat. Znamy to i z bardziej współczesnych publikacji. Ojciec po prostu był rzetelny i żadna duma nie przeszkadzała mu pytać i wielokrotnie sprawdzać tego, co opisywał. W trakcie zbierania materiałów

do *Zakotwiczonych* zdarzył się w życiu taty następujący incydent, opisany później w tejże książce: *Siła wyższa! Bardzo to komiczne, ale przyznać się wypada, że czterdziesty piąty październik pełnego cnót żywota, łaskawie obdarzył mnie kokluszem. O jak ciężka ręka boska. Rodziciele, wznoście gorące modły, a nawet zabiegajcie o to, by pociechy wasze przeniosły wspomniane cierpienie zawczasu*.

Postanowiłam wstąpić na Wydział Budownictwa Wodnego, ale nie w Gdańsku, tylko w Warszawie. Przez pierwszy rok studiów mieszkałam w wynajmowanym przez tatę pokoju na Filtrowej, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy gmachem głównym Politechniki a akademikami na Kopińskiej i placu Narutowicza, gdzie mieszkała większość moich koleżanek i kolegów. Rzecz jasna odwiedzało mnie wiele osób, co doprowadziło do groźby eksmisji. Właściciele mieszkania przede wszystkim wydali zakaz używania toalety przez gości. No ale jakoś rok tam przemieszkałam.

Przebywając w Warszawie, tata utrzymywał kontakty towarzyskie z Janem Rzepeckim i jego żoną Ireną Pronaszkową, z Kazimierzem Golde, jednym z redaktorów „Ekspresu Wieczornego”, z jeszcze jedną panią Pronaszkową, wdową po znanym artyście plastyku. Całe to towarzystwo często się widywało, a już szczególnie liczne spotkania, nie abstynenckie bynajmniej, odbywały się, kiedy przyjeżdżał „Paweł”. Chętnie i dużo opowiadał o tym, co pisze, wplatał różne dykteryjki historyczne, opowiadał o śmiesznostkach życia w Szczekocinach. Oczywiście omawiano też aktualności polityczne, nie szczędząc przy tym kąśliwych uwag na temat coraz to nowych poczynań władzy. I tak niekiedy schodziło do rana. Pierwszą w życiu wódeczkę spożyłam w tym właśnie towarzystwie. Gdy pewnego poranka obudziłam się, stwierdziłam nieobecność taty w pokoju. Jako że nie zapomniałam przeżyć z 1948 roku, natychmiast popędziłam do

państwa Golde na plac Zawiszy sprawdzić, czy nie nastąpiła powtórka. Tym razem wszystko było w porządku, towarzystwo właśnie zaczynało się rozchodzić.

Biskupin 1953 r.

---

* List 34 – dwuzdaniowy list protestacyjny polskich intelektualistów przeciw cenzurze, skierowany do premiera Józefa Cyrankiewicza, złożony 14 marca 1964 w Urzędzie Rady Ministrów przez Antoniego Słonimskiego; nazwa listu odwołuje się do liczby osób, które go podpisały.

Do Prezesa Rady Ministrów Józefa Cyrankiewicza

Ograniczenia przydziału papieru na druk książek i czasopism oraz zaostrzenie cenzury prasowej stwarza sytuację zagrażającą rozwojowi kultury narodowej. Niżej podpisani, uznając istnienie opinii publicznej, prawa do krytyki, swobodnej dyskusji i rzetelnej

informacji za konieczny element postępu, powodowani troską obywatelską, domagają się zmiany polskiej polityki kulturalnej w duchu praw zagwarantowanych przez konstytucję państwa polskiego i zgodnych z dobrem narodu.

WARSZAWA

Gdzieś na wiosnę 1955 roku ojciec przyjechał niespodzianie ze Szczekocin i oznajmił, że Związek Literatów Polskich po wielu latach namysłu przydzielił nam mieszkanie po zmarłym niedawno pisarzu Władysławie Umińskim. Nie żadne tam Aleje Róż, przynależne lojalniejszym, tylko ulica Jarosława Dąbrowskiego 75b m. 29. Poszliśmy obejrzeć ten nasz szczyt marzeń, na który czekaliśmy od czasu wyjazdu z Wilna. Nie wiem, kiedy tata złożył podanie o przydział lokalu kwaterunkowego. Wiem natomiast, że nie zostało ono poparte ani żadnym prosocjalistycznym utworem, ani też „dowodem wdzięczności" ulokowanym na odpowiednim parapecie. Tata kursował dziewięć lat na trasie Szczekociny–Kraków, a później Szczekociny–Warszawa, co kosztowało go wiele wysiłku: najpierw musiał się wepchnąć do autobusu docierającego do najbliższej stacji kolejowej w Sędziszowie, a następnie złapać pociąg, w którym nie zawsze udawało się znaleźć siedzące miejsce.

Idąc do nowego lokum, minęliśmy willową część ulicy, wkroczyliśmy w bloki zbudowane po wojnie i w jednym z tych bloków, nad apteką, na pierwszym piętrze, otworzyliśmy drzwi do mieszkania, które stanowiły dwa pokoje z kuchnią (jasną) i łazienka. Po zakończeniu roku szkolnego (z uwagi na ciotkę) nastąpiła przeprowadzka. Przyjechał wileński stół i jakieś meble z Unry, oczywiście wszystkie książki. Rodzice zamieszkali w większym pokoju, ja z ciotką w drugim. Trochę brakujących mebli dorobił polecony stolarz i zaczęło się nowe życie. Musiałam odzwyczaić się od swobody, szczególnie w zakresie godzin powrotu do domu, oraz przyzwyczaić się do używania części garderoby mających rzekomo chronić przed zmarznięciem dolne partie tułowia. Ale byliśmy nareszcie razem i o to chodziło.

Ojciec potrafił sobie narzucić bardzo regularny tryb życia. Codziennie po śniadaniu i po obowiązkowym telefonie do babci, który zawsze

rozpoczynał słowami „dzień dobry, mamo, jak mama czuje się”, około ósmej zasiadał do maszyny i do godziny czternastej, czyli do obiadu, pisał, w przerwach pił kawę. W tym czasie do dużego pokoju się nie wchodziło. Mama szła na zakupy. Ciotka jeździła do szkoły na Żoliborzu, gdzie rozpoczęła pracę. W domu wszystko było nastawione na zapewnienie tacie jak najlepszych warunków do pisania, przy jednoczesnym całkowitym zwolnieniu go z obowiązków domowych, z wyjątkiem pastowania i froterowania podłogi co dwa tygodnie, którą to czynność wykonywał sumiennie i bardzo porządnie. Pisywał zawsze w domu na Dąbrowskiego lub później u mnie w Solinie. Nie starał się nigdy o możliwości przebywania w Domu Pracy Twórczej w Oborach, gdyż – jak mówił – nie zwykł przebywać w cudzym domu pod nieobecność właścicieli. Teraz już mógłby tam pojechać, gdyż pałacyk został zwrócony Potulickim.

Nie robił zakupów, nie orientował się w cenach i trudnościach w zaopatrzeniu. Nie zwracał również uwagi na jakieś sąsiedzkie wydarzenia czy opowieści z gatunku plotek. Chyba że rzecz dotyczyła spraw państwowych, nowych doniesień o poczynaniach władzy czy o ciekawszych postępkach kolegów literatów. Tata nawiązał znajomości ze sprzedawcami w pobliskim KMPiK* i kilku innych księgarniach. Przynosił do domu wszystko, co ukazywało się, a było jego zdaniem warte przeczytania. Pochłaniało się wtedy Hemingwaya, Steinbecka, a także Françoise Sagan (to ja). Tata w chwilach odprężenia namiętnie czytywał „simenony”, czyli kryminalne opowieści o dokonaniach komisarza Maigreta**. Niskie (jak na tamte czasy) nakłady powodowały, że wartościowe książki kupowało się „spod lady”. Pod ladę nie trafiały natomiast masowe wydania literatury socrealistycznej, jak też dzieła klasyków obowiązującej wtedy filozofii.

Po obiedzie tato już nie pracował, ale często omawiał z mamą problemy powstałe w trakcie pisania. Mama miała celne spostrzeżenia i ojciec jej uwagi bardzo sobie cenił. Była jego pierwszym czytelnikiem i surowym krytykiem. Miała dobre wyczucie, jak coś „pod cenzurę" sprytnie napisać. Wieczorami niekiedy rodzice szli do kina lub na spacer. Obydwoje bardzo lubili Stare Miasto, a w szczególności kościół św. Marcina.

Ale nie wszystkie dni przebiegały tak spokojnie i według tego samego schematu. Niekiedy trzeba było iść do biblioteki, aby wyszperać niezbędne materiały, ale to była przyjemność. Inna sprawa to dyskusje z cenzurą – za pośrednictwem pracowników wydawnictwa. Taki był przewidziany zwyczaj i obowiązek. W przypadku ojca były to na ogół potyczki wygrane, niekiedy w mniejszych sprawach szło się na ustępstwa. Tato twierdził, że dowcipu, który zrozumiał cenzor, w ogóle nie warto publikować. O tych perypetiach pisze w *Pamiętniku*, przytaczając kilka przykładów wygranych walk:

Cenzura nie ponosi odpowiedzialności za wszystkie dewastacje tekstów literackich i innych; dzieli ją po części z takimi, co lubili się asekurować na wszelki wypadek. Drugi morał jest tego rodzaju, że chowanie się za plecy urzędników, zwalanie całej winy na nich, to po prostu fałsz. Niekiedy przynajmniej można było się postawić. Straciłem kilka stronic „Myśli o dawnej Polsce", ale obroniłem kilkadziesiąt. W tym wypadku dyskutowałem z cenzurą, oczywiście za pośrednictwem dyrekcji wydawnictwa… (…) Cenzura nie gada z autorami bezpośrednio, a to właśnie w tym celu, aby uruchomić pośrednie organa… W wypadku „Polski Jagiellonów" zagrożony był cały tekst. Recenzenci wewnętrzni wydawnictwa Ossolineum, wychodząc oczywiście z marksistowskiego punktu widzenia zdyskwalifikowali ten elaborat zupełnie… (…) Odpowiedziałem recenzentom jednostronnym traktatem skierowanym do

wydawnictwa. Wyraziłem wdzięczność za wszystkie rzeczowe sprostowania… Lecz co do poglądów, sposobu ujmowania dziejów, poprosiłem, aby mnie pozostawiono przy moim świętym prawie własności prywatnej. Oświadczyłem ponadto, że nie zamierzam się przyczyniać do smarowania dziegciem historii własnego kraju… Potem profesorowie uniwersytetów, panie Celina Bobińska i Ewa Maleczyńska ostro zaatakowały w prasie książkę, której początkowe fragmenty zostały przeze mnie lekkomyślnie w prasie opublikowane. Replikować mogłem już tylko ustnie, w Sali Związku Literatów, podczas wieczoru autorskiego zatytułowanego „Odpowiedź Nowej Kulturze" zabrakło krzeseł w całym lokalu Związku, dobra setka ludzi musiała stać. Pod presją swej rady naukowej „Ossolineum" zrzekło się wydawania książki. Chętnie wziął ją Państwowy Instytut Wydawniczy i dopiero z jego rąk trafiła ona do władzy, noszącej enigmatyczne miano Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Sprawa się wlokła, mijał już trzeci rok sporów, debat i szarpania nerwów. Pełen najgorszych przeczuć… pojechałem na cykl wieczorów autorskich na Górny Śląsk… W ostatnim dniu imprezy zjawił się w Katowicach Adam Ostrowski, dyrektor Instytutu. „Cenzura puściła Jagiellonów, nie skreśliła ani przecinka" – powiedział z całym spokojem ex-dyplomaty. Tu następuje opis jak, z kim i czym, i w jakiej ilości, został ten fakt uczczony, a następnie (dalej cytuję): *Nie straciłem na uporze w sprawie „Polski Jagiellonów". Ukończona w roku 1960, ukazała się w księgarniach dopiero u schyłku 1963, lecz później autor miał spokój. Ostatecznie władzom polskim nie jest zbyt wygodnie konfiskować książki o historii Polski. Fala, na którą trafiłem dzięki „Polsce Jagiellonów", niosła mnie dość długo, przez kilka lat – aż do marca 1968 roku.*

W pierwszym okresie zamieszkiwania przy Dąbrowskiego powstały: *Archeologia na wyrywki* (1956), *Ślady potyczek*, wybór artykułów z lat poprzednich (1957). W 1956 roku tata został wydelegowany w swoją pierwszą w życiu podróż zagraniczną, i to od razu do Chin. Plonem tej wyprawy był reportaż *Kraj nad Jangtse* (1957). Chiny z tego okresu pozwalały na optymistyczne opisanie, czego dowodem jest ta mało znana książka.

Również w tym roku miał miejsce słynny Październik, wynoszący na partyjne szczyty towarzysza Wiesława, czyli Wiesława Gomułkę. Po śmierci Stalina w 1953 roku nastąpił okres przesilenia politycznego zwany odwilżą. W Polsce od 1954 odbywało się stopniowe łagodzenie politycznego reżimu. Złagodzono cenzurę, dopuszczając do krytycznych w stosunku do władzy artykułów w prasie. Wstrzymano kolektywizację rolnictwa, zlikwidowano Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, zwalniano politycznych więźniów. Jako studentka politechniki, i to już trochę opierzona, bo na trzecim roku, uczestniczyłam we wszystkich wiecach organizowanych w auli naszej uczelni. Zachwycałam się przemówieniami charyzmatycznego robotnika z Żerania – Lechosława Goździka – i naturalnie krzyczałam „Wiesław, Wiesław” na pamiętnym wiecu pod Pałacem Kultury. Pamiętam, że na imieninach ciotki Ireny referowałam całej rodzinie z entuzjazmem te wszystkie nowości, natomiast ojciec bardzo sceptycznie się do nich odnosił. Jak napisał w *Pamiętniku*: *czasy polskiego października uchodzą za okres wielkiego ożywienia umysłów. Ten słusznie zresztą szanowany renesans zaściankowy polegał w gruncie rzeczy na powtarzaniu prawd od dawna znanych niczego nowego nie powiedziano… Osobiście zajmowałem się w 1956 roku szerzeniem poglądu, że archimedesowego punktu oparcia dla koniecznej reformy należy szukać w porządnie funkcjonującym sejmie. Nadzwyczajna nowość znana*

w Polsce co najmniej od dni Zygmunta Augusta. Jakże słuszne i coraz bardziej aktualne.

Potem nastąpiła epoka „Po prostu”, gdzie tata pisywał (obok Urbana), powstał też Dyskusyjny Klub Filmowy o tej samej nazwie. Ożywienie trwało krótko. Już 2 i 4 października 1967 studenci pod politechniką oberwali pałami, kiedy demonstrowali przeciwko zamknięciu tego pisma. W tych dniach gościłam u koleżanki w Komorowie, nie mając specjalnej łączności ze światem. Mama tej koleżanki jeździła co dzień do pracy w Warszawie. Nie wzbudziło naszych podejrzeń, że pomimo rozpoczętego roku akademickiego jakoś nikt nie sugeruje nam, abyśmy się głębiej tym zainteresowały i może wpadły na uczelnię. Potem okazało się, że obie rodziny porozumiały się i postanowiły nas od pałowania uchronić.

„Po prostu” zlikwidowano, a klub filmowy, zmuszony do zmiany nazwy, przybrał miano „Zygzakiem”.

W grudniu 1957 roku w liście do państwa Jasieńskich mama opisuje panujący w rodzinie nastrój: *Taka się zrobiła nagonka polityczna na Leszka, że nie tylko artykuły napastliwe w prasie, ale i wypowiedzi wysokich dostojników, jak np. pan Kliszko i Gomułka. Oprócz tego konfiskata nawet listów do redakcji. Wyobrażasz sobie, ile nerwów i zdrowia to kosztowało. Od razu ciśnienie pojechało do góry. Leszek w ogóle zajmuje się tylko swoją historią dla „Ossolineum”, ale co z tego będzie też pytanie (oczywiście może być tylko arcydzieło – dopisek Taty). Żyjemy z resztek zaoszczędzonych, a jak się skończą jakoś to będzie. …I dalej teraz się czuję lepiej, ciśnienie spadło do 170*. (!)

Nie zdawałam sobie sprawy ze stanu zdrowia mamy i nie rozumiałam, jak bardzo troska o sprawy taty ten stan pogarsza. Przed wojną mama, sądząc po jej wyglądzie na zdjęciach, była kobietą elegancką i umiejącą się dobrze ubrać. Po wszystkich przejściach i wobec kolejkowej rzeczywistości

już nie starczało jej sił, aby zastanawiać się nad doborem strojów. Tata chciał, aby wyglądała ładnie i niekiedy dokonywał zakupu na własną rękę – przeważnie był to jakiś materiał na sukienkę. W ten sposób powstawał kłopot z krawcową, przymiarkami itp. Niekiedy tata prowadził mamę do sklepu, aby sama coś wybrała. Niestety na ogół nie było w czym wybierać. I dobre chęci taty przywrócenia małżonce przedwojennego wyglądu kończyły się niepowodzeniem. W owych czasach ciężko się było ubrać w miarę ładnie. Trzeba było mieć, po pierwsze, własną koncepcję, która w połączeniu z rzadko oglądanymi wzorcami przywiezionymi z Zachodu pozwalała na wymyślenie szałowej kreacji. W epoce, kiedy były modne golfy, robiło się je z górnej części dwu skarpetek i doszywało do podkoszulka. Ciągle coś się farbowało, głównie na modny czarny kolor. Kiedy zapanowała moda na dżinsy, a stało się to po Festiwalu Młodzieży w 1955 roku, wykonywało się je z krajowych sinoniebieskich drelichów i nabijało jakimiś blaszkami. To oczywiście dotyczyło mnie, a nie mamy. Z mamą jeździłyśmy dość często „na ciuchy” na bazar. Funkcjonował taki jeden na całą Warszawę salon mody, wielokrotnie przenoszony w coraz odleglejsze od śródmieścia strony. Można tam było się ubrać, ale też należało mieć znajomą straganiarkę, która coś odpowiedniego mogła „odłożyć”, bo atrakcyjne rzeczy znikały momentalnie. W salonie tym spotykały się i wykłócały o cenę elegantki ze wszystkich sfer. Kto potrafił, szył sam z nowych materiałów lub przerabiał coś ze starych. Trendy płynęły z Krakowskiego Przedmieścia, gdzie mieści się Akademia Sztuk Pięknych, której studentki rozpoznawało się po awangardowym wyglądzie. My z mamą też nieco szyłyśmy, nawet z niezłym rezultatem. Nie tylko bluzki, ale też spodnie i garsonki. Nawet do ślubu cywilnego udałam się we własnoręcznie wykonanym komplecie.

Życie towarzyskie po przeprowadzce do warszawskiego mieszkania uległo pewnej modyfikacji. Tata rzadziej odwiedzał znajomych z poprzedniego okresu. Mama niezbyt dobrze się czuła w towarzystwie niestroniącym od wysokoprocentowych trunków. Dość często chorowała, po powrocie z Chin ojciec zastał ją w szpitalu. Przeżycia wojenne mocniej ją dotknęły niż tatę leśne przygody. Wolała stare wileńskie znajomości. Stałymi gośćmi byli u nas państwo Michalscy, on – profesor chemii na politechnice, ona – przyjaciółka mamy ze studiów. Co niedziela grywano w kanastę. Na wakacje rodzice zazwyczaj jeździli do Oliwy do państwa Jasieńskich, o których już wspominałam. Te bliskie relacje utrzymały się do końca ich życia, a z Ewą Jasieńską i ja przyjaźnię się do dziś, i nie tylko ja, ale też moje dzieci. W Oliwie spotykałam się z rodzicami przy okazji praktyk studenckich, które najchętniej odbywałam nad morzem z uwagi na uprawiane wówczas żeglarstwo. Był to CWKS, czyli klub wojskowy, co w domu zostało przyjęte tym razem bez zastrzeżeń. Korzystaliśmy z jachtów jachtklubu „Kotwica”. Udawało się niekiedy pożeglować po Zatoce Gdańskiej. Parę razy zabraliśmy rodziców, którzy szybko się przekonali, że nie tylko wioślarstwo jest miłe.

W 1957 roku tato rozpoczął pisanie *Polski Piastów* dla Ossolineum, potem miały miejsce potyczki z cenzurą za pośrednictwem wydawnictwa, w 1958 powstawały *Myśli o dawnej Polsce*, a w latach 1959-1960 *Dwie drogi* – znów powstanie styczniowe i rozgrywki stronnictwa „białych” – i równolegle *Polska Jagiellonów*. Opisane już przepychanki z cenzurą zaowocowały przeniesieniem się ojca ze swoimi książkami do Państwowego Instytutu Wydawniczego.

W 1961 roku ukazuje się *Świt słowiańskiego jutra*. Jest to nieco przerobiony *Słowiański rodowód* z dopisanymi trzema rozdziałami.

Dość niedawno moja córka Małgosia zajmowała się służbowo przekształceniami w Państwowym Instytucie Wydawniczym. Pamiętając, że była to kiedyś dla jej dziadka ważna instytucja, zainteresowała się, czy nie zostały po nim jakieś ślady współpracy. No i udało się wyszperać plik recenzji z różnych książek Jasienicy zarówno wydawanych przez PIW, jak też przesłanych z Ossolineum.

Z zachowanych recenzji Romana Hecka o *Polsce Jagiellonów*. Zarzuty metodologiczne (te same co do *Polski Piastów*): *Polska Jagiellonów nie jest historią narodu, bo brak w niej dziejów szerokich warstw społecznych, brak opisu ich dziejów, kultury, poziomu życia. Odpowiedzialność polityczna autora i wydawcy są tu bardzo ważne, mogą wpływać na postawę społeczeństwa wobec dnia dzisiejszego. Jasienica opiera się na pracach historycznych z różnych epok, o różnym nastawieniu ideologiczno-politycznym. Podaje poglądy, których popularyzacja jest w obecnych czasach bardzo wskazana, a obok nich poglądy naukowo niesłuszne do popularyzacji się nienadające. Nie można wymagać, aby każdy autor wybierał metodę marksistowską, ale trzeba postawić wyraźne pytanie, czy książka popularna, przeznaczona dla mas, wydawana przez wydawnictwo państwowe może zwalczać poglądy na nasze dzieje, jakie ma wpoić społeczeństwu nauka szkolna.*

W oczach niefachowego czytelnika deprecjonuje całą nowoczesną historiografię polską, jednak po dokonaniu przez autora korektur książka może się ukazać drukiem. I przyczyni się do podniesienia kultury społeczeństwa.

Dalej następują konkretne uwagi merytoryczne.

* Klub Międzynarodowej Prasy i Książki.

** Od nazwiska autora Georges’a Simenona.

SOLINA

Kiedy skończyłam studia, rozpoczęłam pracę przy budowie zapory wodnej na Sanie w Solinie. Rodzice często mnie tam odwiedzali. Bardzo polubili Bieszczady, zostali zaakceptowani przez moich znajomych, zarówno budowlańców, jak też ludzi lubiących góry, dla których przede wszystkim opuściłam Warszawę. Dużo chodziliśmy po okolicy, nocując w namiotach w studenckich bazach czy też w zaprzyjaźnionym schronisku w Ustrzykach Górnych, prowadzonym przez państwa Hartmanów. Do pracy w Solinie zgłosił się prawnik, Kazio Orłoś, i został zatrudniony jako specjalista od wywłaszczeń gruntów pod zalew. Późniejszy autor *Cudownej meliny* miał już w dorobku parę tomów opowiadań. W *Melinie* dokładnie opisał miejscowe układy i stosunki panujące na naszej budowie oraz przedstawił zawiłości i powiązania w pobliskim miasteczku, na co zdecydowany wpływ wywierała przewodnia siła narodu, głównie w osobie sekretarza powiatowego. Ponieważ żadne wydawnictwo nie odważyło się czegoś takiego wydać, osobiście przewiózł dzieło w walizce prosto do Giedroycia, do paryskiej „Kultury”. Była to pierwsza w Polsce Ludowej książka opublikowana na Zachodzie pod nazwiskiem, a nie pseudonimem autora.

Ojciec i Kazio bardzo się polubili, przegadali dużo czasu. Tata docenił też urok jego żony Teresy. Do tego stopnia, że kiedyś wyznał: *dla pani mecenasowej jestem skłonny nawet zjeść pomidora*. A trzeba wiedzieć, że obydwoje rodzice byli alergikami. Każde w inny sposób. Tata oprócz tego, że miał wyraźną alergię na wszelkie kontakty z szeroko pojętą ubecją, odczuwał również uczulenie bardziej realne. Po zjedzeniu pomidora, poziomek, ogórka konserwowego, pieprzu, gęsiego szmalcu lub też raków dostawał wysypki i ataków kichania.

Książkę Orłosia i jego samego tata tak wspomina w *Pamiętniku*: *przeczytałem świeżo wydany tom opowiadań, którego ukazanie się*

wzbudziło moje żywe zainteresowanie i sympatię. Znam i lubię autora, człowieka młodego nie sięgającego w ogóle wspomnieniami w epokę przedwojenną. Rzemiosło zupełnie dobre – język, plastyka postaci i scen, duża umiejętność wywoływania nastroju – jest również cecha bardzo cenna, to znaczy sztuka trzymania się w ryzach. Jeżeli chodzi o gatunek to zaliczyłbym rzecz do fotografiki literackiej. Autor przedstawia „opowieści zasłyszane" i nic zupełnie nie zapowiada, by kiedykolwiek zdobył się na zuchwalstwo mianowania siebie samego jednoosobowym trybunałem świata.

Moi znajomi (a głównie znajome) zarówno ze studiów, budowy, jak też towarzystwo górskie chętnie uczestniczyli w spotkaniach towarzyskich z udziałem taty. Zawsze miał coś ciekawego do powiedzenia, pamiętał wiele dowcipów. Te z gatunku nieprzyzwoitych umiał opowiedzieć, omijając wulgaryzmy, a nie zatracając przy tym sensu, jak na przykład ten o dziadku, co niósł wiadro na „pierwszorzędnej męskiej cesze płciowej", bo w ręcach był słaby. Wobec pań był bardzo szarmancki i każdą (prawie) umiał skomplementować.

Nie jest prawdą to, co napisała Joanna Siedlecka w książce *Obława*, że ojciec był kobieciarzem. On po prostu był po staroświecku uprzejmy, zachowywał się niezwykle poprawnie. Przepuszczał kobiety w drzwiach, podawał im płaszcz, zawsze wstawał, gdy kobieta stała obok, nie do pomyślenia dla niego było zapalić na ulicy papierosa, idąc z damą. Miał przy tym ogromne poczucie humoru, i to w dobrym stylu. Żadnych trywialności, ani też poufałości, przy jednoczesnym pozorze flirtu i miłych słów. Której z nas to się nie podoba? Do tego trochę staromodnej elegancji. Prawdą jest, że był ulubieńcem wielu pań, ale do poważnych flirtów raczej nie dochodziło. Oto fragment listu do Anny Turowiczowej, w którym nadawca interpretuje fakt, że jej małżonek nie przyszedł po jakąś przesyłkę,

którą miał zabrać od ojca. *Jego tłumaczenie, że szybciej wyjechał to fikcja. On nie chciał wozić dowodów mojego ku Tobie płomiennego afektu, wierności i pełnomocnictwa*. Rozumiem, że jako córka nie mogłam wiedzieć o wszystkim, ale mama raczej zdawała sobie sprawę z zalet i przywar ojca, a niekiedy ze mną o nich rozmawiała. Przyczyną nieporozumień była raczej różnica zdań na temat spożywania napojów wyskokowych. Górna granica spożycia, uznawana przez mamę za dopuszczalną, była raczej w dolnej strefie stanów niskich, jak to się określa w hydrologii. Kiedyś na moich imieninach osiem osób wypiło przy rodzinnym stole całą butelkę wina. Ten fakt długo był z oburzeniem komentowany przez mamę i ciotkę. Musieliśmy więc z tatą schodzić do podziemia.

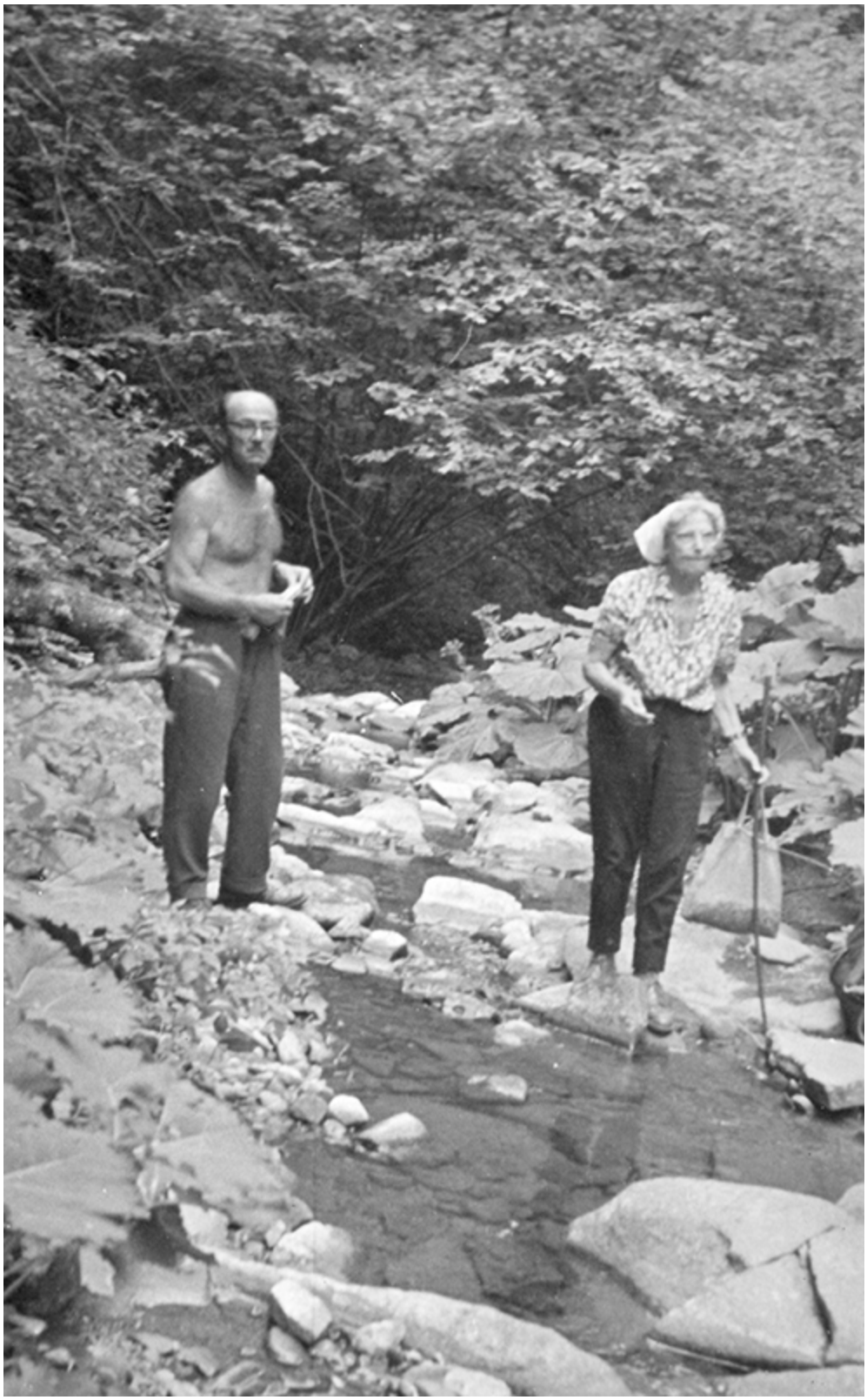

Przeprawa przez potok

Przeprawa przez San w Solinie

Z wielkim szacunkiem odnosił się ojciec do kwestii technicznych, o jakich dyskutowaliśmy, ale nie do końca je pojmował. Kłopoty miał też z praktycznym zastosowaniem tabliczki mnożenia. Co innego, jeżeli odwiedzaliśmy stare cerkwie, cmentarze czy też kościoły. Potrafił omówić każdy obraz, fragment architektury, kojarząc je z własnymi wiadomościami o okresie, fundatorze czy legendzie związanej z obiektem. Na przykład pamiętam, gdy byliśmy w kościele farnym w Krośnie, gdzie znajduje się grób rodzeństwa Oświęcimiów, które chciało się pobrać. Brat udał się po dyspensę do Rzymu. W tym czasie ze zgryzoty zmarła siostra. Brat żył niewiele dłużej.

Ojciec zawsze dbał o swój wygląd. W każdych warunkach zawsze rano był ogolony. Często odwiedzał fryzjera – kiedy tylko włosy trochę odrosły, gdyż bardzo nie lubił pojawiających się wokół łysiny loczków. Ubierał się stosownie do okoliczności. Do redakcji i urzędów, na spotkania

z czytelnikami i przysłowiowe imieniny u cioci obowiązkowo wkładał garnitur i zawsze perfekcyjnie wyglansowane buty. Na górskie wędrówki zafundował sobie taki sam strój, w jakim i my występowaliśmy, wydziergałam mu na drutach sztylpy w góralski wzorek i tak ubrany nie przypominał miastowego literata. Kondycję miał niezłą i Bieszczady przemierzał bez kłopotów. Noclegi w namiocie też znosił dobrze.

W tym czasie stałam się właścicielką motocykla WFM, którym poruszałam się po terenie budowy i całej okolicy. Tata bez zażenowania zasiadał na tylnym siodełku i nawet lubił takie podróże, niekiedy po bezdrożach. Pewnego razu, kiedy zatrzymała nas milicja, stwierdziwszy jakąś usterkę, chyba brak świateł, przedstawiciel władzy reprymendę skierował prosto do pasażera. Tenże pasażer bez skrępowania wyznał, że nie jego motor i on się na jeżdżeniu i motorze nie zna. W Warszawie bywał zapraszany na prelekcje do Studenckiego Koła Przewodników działającego w Bieszczadach. Chodziło o przystępne i prawdziwe zrelacjonowanie skomplikowanych stosunków polsko-ukraińskich. Ślady tych wystąpień również występują w teczce obok sprawozdań z innych prelekcji.

ADWERSARZE I CENZURA

W czasie mojej pracy w Solinie w latach 1960-1967 pisywaliśmy z rodzicami do siebie dość często. Mieliśmy telefony, ale na sprawne i niepodsłuchiwane połączenia nie można było liczyć. Nie były to tylko podsłuchy polityczne w Warszawie, ale też osoby ciekawskie na poszczególnych łączach powiatu Lesko. Część listów do i od rodziców zachowała się i dzięki nim uświadamiam sobie, w jakim to „komforcie" żyliśmy. Otóż na przykład na wiosnę 1960 roku dowiaduję się, że rodzice stali się właścicielami pralki, którą dostali od babci i dziadka (z pewnym poślizgiem wynikającym zapewne z oczekiwania na realizację przydziału) na 25-lecie ślubu. W tym samym roku nabyli sobie odkurzacz zwany wtedy elektroluksem, a 5 kwietnia 1962 roku mieli już nawet lodówkę. *Spełnienie moich marzeń, lodówkę wczoraj przywieźli* – pisze mama obok innej informacji. – *Stała nagonka na Leszka, tym razem przez Celinę Bobińską. A takie ataki nic dobrego nie wróżą. Coś mi się zdaje, że w końcu Ojca wykończą, bo gdzież można dopuścić do powodzenia nie marksisty. Ojciec jest tym wszystkim bardzo zmęczony i zdenerwowany, co też odbija się również na mnie. Mnie to nieszczęsne serce nawaliło*. Przypominam, że owa uczona przyczyniła się do wcześniej opisanego wycofania *Polski Jagiellonów* z Ossolineum. Zachował się w domu artykuł Ewy Maleczyńskiej z „Nowej Kultury" (28 stycznia 1962): *O słuszną syntezę czasów jagiellońskich*. Już sam tytuł wskazuje, czego można spodziewać się dalej. Autorka obawia się, że polski czytelnik pracę Jasienicy potraktuje poważnie, można nawet zrobić założenie, że będą to liczni czytelnicy, sądząc z powodzenia *Polski Piastów*. Zarzutem jest personalistyczne traktowanie historii, co razi w odniesieniu do omawianej epoki. Autor nie jest marksistą i nie chce za takiego uchodzić. Jasienica trafia na nurt zapotrzebowania społecznego, bo czytelnicy, którzy spotykali się z obrazem procesu dziejowego jako całości, oczekują na rozważania o losach

poszczególnych ludzi. Zapotrzebowanie to trzeba zaspakajać, ale stojąc na gruncie metodologii marksistowskiej. Autorka nie ma nic przeciw konkretyzowaniu losów poszczególnych jednostek, ale należy to robić we właściwym, naukowym ujęciu. Ona napisałaby to inaczej i szkoda, że Jasienica jest taki uparty. A na dodatek krytykuje, a wręcz kpi sobie z powojennych opracowań historycznych, nie cytując pozytywnie żadnej współczesnej marksistowskiej pracy, a przytacza imiennie i odnosi się z szacunkiem do badaczy przedwojennych. Autorka wdaje się w przydługi wywód na temat roli poszczególnych warstw społecznych w epoce Jagiellonów, z czego wynika, że *syntezy dziejów Polski XIV-XV wieku danej przez Jasienicę nie można przyjąć, ani z naukowego punktu widzenia, ani jako tej, na której jako na prawdzie zgodnej z wynikami nauki ma się wychowywać społeczeństwo. Masom młodzieży w dzisiejszej Polsce nie zagraża przejęcie się „misją cywilizacyjną Polski na wschodzie”, czołobitną czcią dla rozumu politycznego panów polskich, czy trudnością odzyskania ziem zachodnich… (…) nie ma co wskrzeszać tendencyjnych tez historiografii burżuazyjnej.* Na zakończenie pada dobra rada, aby pracę o Jagiellonach gruntownie przemyśleć i pogłębić.

W „Przeglądzie Kulturalnym” z 8 lutego 1962 roku Julian Przyboś ośmielił się napisać, że podobał się mu *Słowiański rodowód* Jasienicy. Nie mogła tego wytrzymać wspomniana już pani Celina Bobińska i w artykule *Poeta, Jasienica, historia* skrytykowała obu panów. Przybosia za to, że się nie zna na tym, o czym pisze, a Jasienicę za to, że podejmuje dyskusję ze współczesną historiografią marksistowską – nie akurat w tej, ale w innych książkach. I znów pojawiła się pretensja o personalistyczne pojmowanie i traktowanie historii jako ciągu zdarzeń, a na dodatek nieuprawianie historiografii krytycznej; ponadto padł zarzut, że historii społecznej przeciwstawia Jasienica historię heroistyczną. Ale głównym problemem,

z którym według Bobińskiej należy się uporać, jest rosnąca popularność tego autora, który trafia do czytelników, zaspakaja ich tęsknoty, konserwując archaiczne elementy tradycyjnego pojmowania dziejów. Nie wychowuje i nie przekształca świadomości obywateli. Z artykułu wyziera niekłamany niepokój o tak indoktrynowane społeczeństwo.

Brakuje w tym tekście tylko postulatu, aby właściwego stosunku do dziejów nauczać obowiązkowo w szkole. Ale tego akurat już doczekaliśmy się w 2016 roku.

Z kolei Przyboś pokpił sobie z adwersarki, która mu zarzuciła również nieodpowiedzialność czynów drukowanych, twierdząc, że istnieją w kraju instytucje, które dbają, aby taki proceder nie występował.

W marcu 1962 roku tato umieścił w „Przeglądzie Kulturalnym” artykuł *Polska anarchia*, prowokując nim kolejną burzę. Napisał mniej więcej tak: Do końca panowania Jagiellonów anarchia polska nie przekraczała średniej europejskiej. Wygaśnięcie dynastii postawiło kraj wobec próżni ustrojowej, spowodowanej brakiem orientacji co do wyboru władcy. Sejm na 14 lat przed śmiercią Zygmunta Augusta przedstawił propozycje dotyczące odbywania elekcji, lecz te zostały odrzucone przez króla i senat (tu cytat: *władza sama siebie zmarnowała, z uporem działając przeciw społeczeństwu*). Od tej pory przez 200 lat rządziło w Polsce siedmiu ludzi niegroźnych i niekrwawych, a w polskie umysły wsiąkł pogląd, że piastunów władzy centralnej zabijać nie należy, trzeba od nich oczekiwać przyzwoitego postępowania. Anarchia stała się poniekąd pochodną władzy nieudolnej i słabej. Cat-Mackiewicz, w kolejnym numerze „Przeglądu”, nie zgadzał się z tymi poglądami Jasienicy. Przypomniał o zrywanych sejmach, sejmikach i trybunałach. Porównał to z sytuacją w innych krajach, przede wszystkim w Anglii, gdzie społeczeństwo było bardziej zdyscyplinowane.

Następnie jednak usprawiedliwiał anarchię umiłowaniem przez Polaków wolności i ludzkiej godności.

Wypowiadali się jeszcze inni autorzy, jak: Aleksander Gella, Henryk Samsonowicz, Franciszek Ryszka, spierając się merytorycznie to z Jasienicą, to z Catem, aż wreszcie 12 kwietnia głos zabrał zdenerwowany Putrament i w tekście *W dziewiczym lesie równikowym* sprowadził rozważania historyków na znany sobie grunt PRL-owskiej rzeczywistości. Ten las, w którym wszystko jest splątane, a odrębne gatunki sąsiadują ze sobą, to sam „Przegląd Kulturalny". Anarchia była dlatego, że my, Polacy, kochamy wolność? Tak, była wolność dla jednej klasy – szlacheckiej. I to nie taka sama dla magnata i byle szlachcica zagrodowego. Dziś różne Wolne Europy gardłują o wolnym świecie, zapominając dodać – dla kogo ta wolność. Nasza prywatna inicjatywa nienawidzi naszego ustroju, bo nie ma w nim wolności dla niej. Nie może budować wielkich fabryk, wywozić dóbr za granicę, kupować majątków. Na zakończenie subtelna uwaga co do celowości funkcjonowania takiego lasu, nie jako zjawiska przyrodniczego.

I jeszcze fragmenty listów taty z tamtego okresu. Niestety, nie są datowane, co zdarzało się dość często:

Powróciłem *z Dolnego Śląska… Wieczory autorskie poszły mi całkiem nieźle, dyskusje bywały długie. Spodziewałem się, że we Wrocławiu, gdzie miałem aż trzy występy zjawi się i zabierze głos ktoś z klanu p. profesor Maleczyńskiej. Ale mylne to były rachuby. Nikt nie przyszedł. Ci państwo nie kwapią się do otwartej wymiany poglądów. Wolą „argumenty" wypływające z faktu ich udziału we władzy. PIW zdecydował się wziąć „Polskę Jagiellonów", która, jeżeli wyjdzie to na przełomie lat 1962 i 3. Piszę „jeżeli wyjdzie" bo cenzura też będzie miała głos.*

Chcę Ci donieść o ewenemencie, który miał miejsce wczoraj i przedwczoraj. Odbyło się dwudniowe Plenum Zarządu Związku Literatów,

w którym może uczestniczyć każdy członek Związku. Uczestniczyłem więc i ja. Jak wiesz do Zarządu już nie należę. Chodzi o to, że to plenum miało być czymś w rodzaju namiastki. Złamany został statut Związku, w zeszłym roku nie było zjazdu sprawozdawczego, którego odbywanie jest dorocznym obowiązkiem. Od tego się zaczęło, że fakt złamania statutu zaniepokoił grono osób dobrej woli, do których zaliczał się Twój Ojciec. Trochę naradziliśmy się przed plenum no i ruszyliśmy do natarcia. Dwa dni trwała ta zabawa. Zabierało głos około 40 mówców, ja trzy razy nie licząc okrzyków z miejsca. Zaczęliśmy formalnie i statutowo: Anna Kowalska, ja i St. Mackiewicz. Oni domagali się wyjaśnień, jakie są nasze prawa na tym zebraniu, rozpatrzenia sprawy złamania statutu i potraktowania tej kwestii, jako pierwszego punktu obrad. Oczywiście żądania tego nie uwzględniono, ale swoje zrobiliśmy, podnosząc temperaturę sali. Po tym był referat profesora Jakubowskiego o literaturze minionych 20 lat. Po zakończeniu od razu ruszył do ataku Słonimski, potem ja, potem Stefan Kisielewski. Nie chodziło nam o referat, ale o sprawy zasadnicze, o katastrofę w kulturze, brak papieru na książki, cenzurę no i znowu statut, czyli o poszanowanie prawa. Powiedziałem, że przestańmy dużo gadać o honorariach, stypendiach, paszportach zagranicznych itp. Bo powołanie nasze dotyczy spraw ważniejszych. Dostałem za to brawa. Na temat eksportu papieru, że brak go w kraju na książki, powiedziałem „nie ma na sprzedaż narodowej przyszłości”. Trudno wszystko skreślić. Kolejno zabierali głos w duchu tym samym: Słonimski, Kisielewski, jeszcze po jednym razie, Jastrun, Hertz, Jan Kott, Jerzy Zawieyski, Kazimierz Brandys, Melchior Wańkowicz, St. Mackiewicz i inni, już mi się plącze. Pan M. Wańkowicz wdał się między innymi w subtelne rozważanie, co by to było, gdyby do naszej dzisiejszej cenzury przyniósł swe dzieło ksiądz Mikołaj Kopernik. Nie zostałby spalony ani torturowany, jak Galileusz, ale książki by nie wydano. Skreśliła by ją

mała urzędniczka. Wyobraź sobie jak sala szalała z uciechy. Ale w lekkiej formie Wańkowicz powiedział rzeczy politycznie nadzwyczaj poważne. Stwierdził, że on po wojnie wrócił pomagać. A teraz musi ostro krytykować. Mackiewicz zaczął od tego, że w Polsce jest propaganda, ale zupełnie nie ma publicystyki. Przed wojną – mówił – zaczynałem swoje artykuły o Sławoju Składkowskim od słów: premier w klozetowej skali. A dziś kogo się najwięcej w Polsce krytykuje – konduktorkę autobusu. Powiedział o pewnym artykule Jarosława Iwaszkiewicza (który wyrażał wdzięczność pisarzy z powodu obrad XII plenum PZPR), że to nie jest ton godny pisarza odpowiadać jak w dawnej armii carskiej: rad staratsia! Mówił, że gdyby pewne partie jego artykułów konfiskowała cenzura carska, a nie polska, to byłby mniejszy wstyd. Na tym zakończył.

I list od mamy z 12 kwietnia 1962 roku, z którego wiele na temat rodzinnego życia można sobie przypomnieć. Zapewne na moje usilne zaproszenie, graniczące z szantażem, aby przyjechała do Soliny, mama odpowiada: *Czego Ty się gniewasz i rzucasz, że nie mogę przyjechać? Dziecko, Ojciec za dużo ma spraw i roboty, więc tak sobie beztrosko porzucić Warszawy nie może, a ja przecież nie zostawię ich samych, bo Sylka (Ciotka Stanisława) już wiesz, że niedołężnieje i nie da rady kupić wszystko i przygotować. Przecież trzeba mieć poczucie obowiązku i nie machać na wszystko ręką. A ja, ponieważ nic jeść nie mogę, więc muszę mieć i jabłka i jakieś witaminy, których tam nie dostanie. Na sierpień Leszek musi napisać jedną książkę i to trzeba mu pracę ułatwić. Dziecko – czyż Ojcu chodzi o robienie forsy, jak piszesz? Przecież poczucie odpowiedzialności tkwi w człowieku! Ojciec musi w miarę możności rozjaśniać umysły społeczeństwa jak również podnosić na duchu, że jednak nie wszystko było takie podłe i godne opluwania, jak się teraz to robi i pisze*

przez figury nawet profesorskie, którzy swoje poglądy opierają na karierze. To nie są sprawy proste, obok których przechodzi się obojętnie.

W tymże 1962 roku kolejnym zmartwieniem stała się likwidacja Klubu Krzywego Koła, którego prezesem od kwietnia 1961 był Paweł Jasienica. Jego działalność na terenie tej wrogiej ustrojowi placówki tak scharakteryzowano w kolejnej ubeckiej *Informacji, dot. P.J. – literata, działacza b. Klubu „krzywego Koła”: W latach 1956–62 był aktywnym członkiem Klubu „Krzywego Koła”. Bardzo często brał udział w dyskusjach organizowanych przez KKK, w czasie których występował z wrogich pozycji, atakował politykę partii i rządu, szczególnie na odcinku kulturalnym, wolności słowa i działalności cenzury. Np. 18.XII.58r. w dyskusji podkreślał, że w Polsce istnieje kompleks społeczeństwa na tle wszechstronnej działalności służby bezpieczeństwa w przeszłości i obecnie. Dnia 22.I.1959 r. atakując politykę kulturalną w PRL domagał się określenia granic wolności słowa. Dnia 29.IX.1961 polemizował z ocenami historycznymi kampanii i klęski wrześniowej w Polsce. Twierdził, że niesłusznie przedstawia się w ujemnym świetle ówczesne dowództwo wojskowe oraz że losy wojny mogłyby inaczej potoczyć się, gdyby ZSRR nie wkroczył na ziemie polskie 17 września 1939 r. Wrogie akcenty wystąpiły również w wygłoszonych przez niego w KKK referatach – prelekcjach: 8.X.1959 r. „O encyklopedii PWN”, 29.IX.1961 o książce Z. Załuskiego „Przepustka do historii” i 25.I.1962 r. „O polskiej anarchii” (na marginesie napisanej przez niego pod tym tytułem pracy historycznej).*

W marcu 1959 r. wybrany został przewodniczącym Komisji Rewizyjnej KKK, a w kwietniu 1961 prezesem Zarządu KKK, którą to funkcję sprawował aż do rozwiązania KKK w lutym 1962 r.

List od taty z 7 stycznia 1962 roku: *Będą kłopoty z Klubem Krzywego Koła. Dom, w którym się klub mieści ma przejść do ZMS. To może oznaczać*

kres naszej działalności. I dalej, 18 stycznia 1962 roku: *dom Kultury został przekazany ZMS-owi. Bronimy się jak możemy. Dziś np. profesor Tadeusz Kotarbiński wygłasza u nas prelekcję o swobodzie słowa*. A 7 kwietnia 1962 roku pisze mama: *Czy śledzicie w przeglądzie kulturalnym dyskusję na temat polskiej anarchii. Był to temat wygłoszony przez Leszka na przedostatnim zebraniu w „Krzywym Kole" przed jego zamknięciem*.

Krzywe Koło to niezwykle istotny epizod w życiu ojca. Po odwilży w 1955 roku najpierw nieformalne grono znajomych, zgromadzonych wokół małżeństwa Ewy i Juliusza Garzteckich, spotykało się w ich mieszkaniu na Starówce w Warszawie, następnie przeobraziło się w inteligencki klub dyskusyjny z siedzibą w Staromiejskim Domu Kultury. Przychodzili tu wybitni przedstawiciele świata artystycznego, literackiego, naukowcy. Co tydzień wygłaszano prelekcje o różnej tematyce, przykładowo: literatura (nowości *Zły* Tyrmanda czy *Popiół i diament* Andrzejewskiego), architektura, sytuacja ekonomiczna, antysemityzm, aktualne wydarzenia w partii (XX Zjazd), sytuacja w nauce, pojęcie marksizmu, moralność życia kulturalnego w Polsce, etyka, szkolnictwo, problemy wsi, prawo prasowe, szkolnictwo wyższe, wymiar sprawiedliwości, kolaboracja w czasie wojny, nowości ze świata filmu itp.

Oto referaty wygłoszone przez ojca: 11 września 1958 roku: *Polski początek II wojny światowej*, 8 października 1959 roku: *Mała Encyklopedia [Powszechna] PWN*, 28 września 1961 roku: *Wrzesień 1939 w „Przepustce do historii" Załuskiego*, 25 stycznia 1962 roku: *O polskiej anarchii*.

Panowała swoboda wypowiedzi, mówiono językiem prostym i zrozumiałym, bez frazeologii charakterystycznej dla tamtych czasów. Mówcy nie starali się „dawać do zrozumienia", tylko po prostu wygłaszali swoje poglądy. Klub gromadził mnóstwo liczących się w owych czasach ludzi.

Przytoczony powyżej donos nie stanowił wyjątku. Rzecz jasna, według utartych schematów pisano sprawozdania z poszczególnych wieczorów klubowych. Ale co do genezy KKK niektórzy jego członkowie mieli wątpliwości już w latach sześćdziesiątych. Witold Jedlicki w wydanej w 1963 roku w Instytucie Literackim w Paryżu książce *Klub Krzywego Koła* poświęca mu rozdział *Bezpieka zakłada KKK*. Dowiadujemy się o niejasnej roli Garsteckich, którzy zainspirowani przez czynniki polityczne zgrupowali wokół siebie intelektualną elitę kraju. Niejasne były cele tej prowokacji. Mówiło się o wewnątrzpartyjnych rozgrywkach. W tym czasie partia rzeczywiście roztaczała kontrolę nad tym, co się działo w klubie, miała swoich ludzi w zarządzie. Od 1956 roku klub zaczyna się wyzwalać spod tych wpływów, a w 1957, za prezesury Lipskiego, jest już całkowicie niezależny. Ostatnia kadencja zarządu klubu, kiedy prezesem był już ojciec, wydaje się całkiem niezależna i pewnie dlatego ostatnia. Gomułka kazał klub zamknąć. Jednak przynależność do KKK jeszcze długo stanowiła wykroczenie bardzo obciążające byłych członków, których pomawiano o przynależność do masonerii, niekiedy słusznie, choć w większości przypadków na wyrost. Stefan Kisielewski uważał klub za „mętną imprezę” i miał za złe ojcu angażowanie się w jego działalność.

W obecnej Rzeczpospolitej osoby figurujące kiedyś w ubeckich spisach jako najbardziej szkodliwi działacze klubu są i dziś nie zawsze mile widziane i znalazły się na publikowanej w Internecie „Liście Żydów i osób pochodzenia żydowskiego”, do niedawna w dobrym zresztą towarzystwie większości członków Episkopatu. Lista ta jest skwapliwie na bieżąco uzupełniana. Wygląda na to, że Żydów w Polsce przybywa w miarę odsuwania się Polski od UE.

Ale są i milsze wiadomości w życiu rodzinnym: 16 października 1963 roku mama donosi: *Nareszcie wyszła „Polska Jagiellonów” i naturalnie*

mało kto mógł ją dostać i dlatego odbywają się dzikie awantury, tak jakby księgarnie były temu winne, a niektórzy nawet mają pretensje, dlaczego to Jasienica tak mało wydał.

Książka ta zajęła pierwsze miejsce w plebiscycie czytelników „Kuriera Polskiego” (na trzecim miejscu byli *Pasierbowie* Putramenta).

W roku 1963 nie wydarzyło się nic istotnego z punktu widzenia twórczości taty, natomiast pojawiało się coraz więcej komunikatów o pogarszającym się stanie zdrowia mamy i trudach codziennej egzystencji. Ojciec wygłaszał liczne prelekcje w Warszawie, jak i w całym kraju, wiele czasu spędzał poza domem. Zestawienie tych prelekcji i informacje dotyczące nieprawomyślnych sformułowań zawarte są w ubeckiej teczce, a właściwie w wielu teczkach (w sumie 8 tomów). W tym czasie ukazali się: *Trzej Kronikarze* i *Polska anarchia*. O kronikarzach (Thietmar, Gall Anonim i Kadłubek) tak pisze autor we wstępie: *Wziąłem po prostu książki trzech średniowiecznych kronikarzy i z urywków ich oraz własnych komentarzy skomponowałem literacki tryptyk. Wychodziłem z założenia, że wolno mi swobodnie wypowiedzieć swe nieobowiązujące zdanie o twórczości trzech starszych kolegów.*

Trzech kronikarzy czyta się prawie jak powieść detektywistyczną. Zwłaszcza w części odnoszącej się do Galla Anonima. Autor wysnuwa własne wnioski o jego pochodzeniu, porównuje tekst Galla ze znanymi z innych źródeł faktami, odnosi się do archeologicznych znalezisk. Widać, że tajemniczy cudzoziemiec osiadły w Polsce i opisujący jej dzieje w okresie nieco przed i w trakcie panowania Bolesława Krzywoustego niezwykle tatę zaintrygował. Nie mniej niż Thietmar patrzący najwyraźniej niechętne na nasz kraj zza zachodniej granicy. Najniekorzystniej wypada tu Wincenty Kadłubek, piszący raczej antykronikę, używający mowy

kwiecistej i ubarwień, modnych w tym czasie zgodnie z panującym manieryzmem, a przedstawiający zbyt mało konkretów.

KRYPTONIM „KOŁODZIEJ”

W liście z 21 marca 1964 roku tata skromnie nadmienia: *Żadnych nowych rozróbek nie dokonało się ostatnio, poza pismem do premiera, podpisanym przez 33 osoby + Twój Ojciec, które domagają się zmiany polityki kulturalnej i ukrócenia cenzury w sposób „zgodny z dobrem narodu”. Odpowiedzi dotychczas nie otrzymano.*

Był to słynny List 34 wystosowany do Cyrankiewicza. Wydarzenie o znaczących konsekwencjach, które komentowano w kraju i za granicą.

Oto treść tego pierwszego zbiorowego protestu przeciw polityce kulturalnej PRL: *Ograniczenia przydziału papieru na druk książek i czasopism oraz zaostrzenie cenzury stwarza sytuację zagrażającą rozwojowi kultury narodowej. Niżej podpisani, uznając istnienie opinii publicznej, prawa do krytyki, swobodnej dyskusji i rzetelnej informacji za konieczny element postępu, powodowani troską obywatelską, domagają się zmiany polityki kulturalnej w duchu praw zagwarantowanych przez Konstytucję Państwa i zgodnych z dobrem narodu.* List przedstawiono Cyrankiewiczowi – premierowi. Wspomniane przez ojca 33 osoby to: Leopold Infeld, Maria Dąbrowska, Antoni Słonimski, Konrad Górski, Maria Ossowska, Kazimierz Wyka, Karol Estreicher, Stanisław Pigoń, Anna Kowalska, Mieczysław Jastrun, Adolf Rudnicki, Paweł Hertz, Jan Parandowski, Zofia Kossak, Jerzy Zagórski, Jan Kott, Wacław Sierpiński, Kazimierz Komaniecki, Artur Sandauer, Stanisław Dygat, Adam Ważyk, Marian Falski, Jan Józef Szczepański, Aleksander Gieysztor, Julian Krzyżanowski, Tadeusz Kotarbiński, Jerzy Turowicz, Jerzy Andrzejewski, Władysław Tatarkiewicz, Stanisław Cat-Mackiewicz, Stefan Kisielewski, Edward Lipiński, Melchior Wańkowicz. Na liście tej rzuca się w oczy brak podpisu Jana Józefa Lipskiego. On sam tłumaczy to w ten sposób, że na sugestię Jasienicy i Słonimskiego, żeby zaraz się podpisał, bo potem zapomni, odpowiedział, że naraziłby się na śmieszność, pchając swój

podpis między nazwiska ludzi stanowiących najściślejszą elitę polskiego życia intelektualnego. Zaparł się, ze strachu przed śmiesznością, bo nie ze skromności. Tata pochwalił decyzję Lipskiego, ale radził mu jednak podpisać się, twierdząc, że będzie bezpieczniejszy w tym towarzystwie, a ludzie i tak go znają i nikt nie będzie uważał, że jest nie na swoim miejscu.

W ostatnim tomie *Dzienników powojennych* Marii Dąbrowskiej przeczytałam ciekawostkę o pisarce związaną z Listem. Kiedy Lipski przybył do niej z propozycją podpisania *(…) było tam już dużo podpisów uczonych i pisarzy o bardzo sławnych nazwiskach. Nie palę się do takich „petycji”, bo to nic nie da, ale tak wszystkiego odmawiam, że zawsze w końcu zdarzy się coś, czemu po prostu (…) nie odmówię. Bez dyskusji więc chciałam podpisać w przypadającej na mnie kolejności. Lipski na to: „Chciałem prosić – tu pod profesorem Infeldem zrobił się taki odstęp – żeby to miejsce wypełnić, może tu pani podpisze (Infelda podpis był pierwszy). Podpisałam bezmyślnie. Bezmyślność to moja największa wada. Bo to był bardzo naiwny manewr, żeby uzyskać mój podpis na czołowym miejscu. Powinnam powiedzieć: „(…) Adresaci pomyślą od razu, że inni podpisali widząc mój podpis, tymczasem rzecz się miała odwrotnie. Ja podpisałam widząc tyle podpisów”.*

Służba Bezpieczeństwa nagrodziła zaangażowanie Lipskiego w sprawę Listu, zapraszając go na 48 godzin do pomieszczeń MSW przy ulicy Rakowieckiej *z czystą bielizną pościelową i wiktem ze stołówki oficerskiej*. Po działaniach, jakie przedsięwzięła grupa sygnatariuszy, przy fachowym doradztwie mecenas Anieli Steinsbergowej, Lipskiego zwolniono. Ale zaczęła się nagonka i powstał antylist publikowany odcinkami w gazetach, pod którym podpisało się bardzo wielu literatów. Lipski, w *Knowaniach z panem Antonim*, zawartych we *Wspomnieniach o Antonim Słonimskim*,

pisał: *były to podpisy hałastry literackiej (częściowo literacko-ubeckiej), czasami przestraszonych, biednych emerytów, co budziło litość, ale były i bolesne zaskoczenia. Szczególnie list 10 profesorów-sygnatariuszy listu 34 do „Timesa" – zawierający jedno kłamstwo i to nie małe: że po liście 34 nie było represji i jedną głupotę: żeby nie wtrącać się w nasze wewnętrzne sprawy. Oczywiście nie podpisali tego ani Ossowska, ani Kotarbiński, ani Pigoń, ani Estreicher, ani Falski – niemniej były tam nazwiska naszych wspólnych przyjaciół.*

Krążył w tych czasach dowcip, że aby stać się członkiem Związku Literatów, należy wydać jedną książkę i dwóch kolegów. Stąd ta „hałastra" gotowa potępić i podpisać wszystko, co zostanie odgórnie polecone.

O Liście 34 tak mówił jego inicjator Antoni Słonimski w wywiadzie nagranym przez Witolda Mieczysławskiego: *Pomysł był mój właściwie, żeby zebrać grono ludzi, zwrócić się z apelem do premiera, nie do pierwszego sekretarza, bo my jako bezpartyjni niekomuniści nie mieliśmy żadnego powodu zwracać się do partii, tylko legalnie do rządu Rzeczpospolitej Polskiej, do premiera z pewnymi dezyderatami środowiska w obronie kultury polskiej. Więc ja na ten temat mówiłem przede wszystkim z prof. Kotarbińskim, człowiekiem bardzo odważnym i szlachetnym, mówiłem z Infeldem, który był nam wtedy potrzebny, bo był bardzo ceniony. Infeld zgodził się, poparł tę sprawę. I zaczęliśmy zbierać nazwiska. Nikt nie przypuszczał wtedy, że sprawa 34 nabierze rozgłosu niemal światowego, że nawet ona się stanie jak gdyby zarodkiem referatu dwóch tysięcy słów w Czechosłowacji, co zresztą prasa czeska wtedy podnosiła, i różnych apelów inteligencji. Myśmy właściwie pierwsi zaczęli korespondencję z rządem, znaczy apele o znaczeniu listu otwartego. Były tam pierwszorzędne nazwiska literatury, nauki itd. Nigdy nam nie przyszło do głowy, że to zostanie zużyte jako pewnego rodzaju prowokacja i uderzenie*

w środowisko. Nie wiedzieliśmy również, bo to jest właśnie sekret państw totalnych, że już toczyła się jak gdyby pewnego rodzaju walka przeciwko tym panom rządzącym UB i temu co potem stało się domeną Moczara. Na wszystkich tych urzędach powstawiani byli ludzie UB. Złożyłem pismo w kancelarii, jawnie i oficjalnie, bo jestem zawsze zwolennikiem legalizmu, nic nie robię, co jest niby niedozwolone, mówię otwarcie, tak jak mówię, co myślę na zebraniach. Poszedłem do kancelarii premiera i w sekretariacie złożyłem za pokwitowaniem ten List 34, który przechwycili ci panowie, zanim doszedł do Cyrankiewicza. Bo Cyrankiewicz będąc chytry, prawdopodobnie by sprawę zatłamsił, zaprosiłby nas na herbatkę, obiecał coś i tak by się rozpłynęło. A tamci tymczasem szybko zawiadomili o tym Gomułkę, zrobili z tego sprawę jakiejś mafii, jakiejś grupy. A totalne państwa nie lubią grupy. Wybryk jednego człowieka jeszcze, ale jeśli jest grupa, konkurencja dla państwa, natychmiast trzeba zniszczyć. Gomułka wpadł w pasję. Wszystkim powiedział dać paszporty zagraniczne i wyrzucić z Polski.

26 marca Komitet do spraw Radia i Telewizji zakazał prezentowania utworów sygnatariuszy Listu, a w następnych dniach zakazano im wszelkich publikacji i wieczorów autorskich

Jednak zdarzały się przeoczenia: Komenda MO m. Łodzi nazajutrz po wieczorze autorskim Pawła Jasienicy, 17 kwietnia, w sali klubu pracowników handlu zagranicznego „Hermes” składa raport. Otóż wieczór był poświęcony historii Jagiellonów, a *kontynułując odpowiedzi na pytania Jasienica uskarżał się na niskie nakłady książek nie tylko jego.* Ale nie to jest przedmiotem troski MO. W zakończeniu raportu autorzy tłumaczą się, dlaczego nie dało się odwołać tego wieczoru*: Odczytu wymienionego, zawartego na podstawie porozumienia ze Stołecznym Oddz. ZLP nie można było odwołać z następujących względów: Na tydzień przed wieczorem*

w klubie „Hermes” ukazały się ogłoszenia awizujące wieczór literacki wymienionego. Odwołanie odczytu – rzecz bez precedensu w działalności Klubu – mogłoby wśród tych ludzi niewątpliwie znających ze słyszenia o jego udziale w „memoriale” wywołać jakąś niezdrową sytuację. Z drugiej strony zerwanie umowy o odczycie ze strony klubu zgodnie z obowiązującymi normami prawnymi nie wstrzymywało wypłaty honorarium, które w wysokości 800 zł. zainkasował Jasienica. Ponadto prosimy o nadesłanie nam wykazu literatów co do których z pewnych względów byłoby wygodne by nie mieli różnego rodzaju spotkań na naszym terenie. Prośba nasza wynika stąd, że kierownicy instytucji kulturalnych awizują nam chęć ściągnięcia do Łodzi tych czy innych ludzi. (Po dokładniejszym zapoznaniu się z oryginałem teczki odczytałam zaczernione nazwiska. Chodziło o Falkowską, Tyrmanda, Załuskiego, Woroszylskiego, Goszczyńskiego i Siemiona).

Sprawa Listu przeniosła się na forum międzynarodowe. 18 kwietnia „Times” opublikował list intelektualistów angielskich protestujących przeciw poczynaniom rządu polskiego, ograniczającego wolność słowa i publikacji. Nasze władze zareagowały, wzywając sygnatariuszy Listu i nakazując im podpisanie antylistu. W antyliście tym ubolewano nad oszczerczą kampanią, która wprowadziła w błąd brytyjskich kolegów, oraz donoszono, że nikt z sygnatariuszy Listu w kraju w żaden sposób nie ucierpiał.

Pod antylistem nie podpisał się żaden z pisarzy, a kilku z nich, w tym tato, złożyli dodatkowe oświadczenia.

Warszawa, 10 V 1964 Lech Beynar (Paweł Jasienica)
Egzekutywa Organizacji Partyjnej PZPR
Przy Oddziale Warszawskim PZPR

W odpowiedzi na list z dnia 9 maja br. komunikuję uprzejmie, że przesłanego mi oświadczenia nie podpiszę.

Korzystam z okazji stwierdzenia na piśmie, że prowadzona akcja (ta właśnie w której udziału odmawiam) może wyjść na korzyść jednemu tylko czynnikowi, a mianowicie Rozgłośni Wolna Europa. Jest to oczywiste dla każdego, kto umie myśleć politycznie.

Sprawa Listu była w kręgach literackich ciągle aktualna. Zbliżało się walne zebranie OW ZLP. Do zabrania głosu w tej kwestii została przez Słonimskiego, Jasienicę i Wańkowicza przekonana Dąbrowska. Odwiedzili ją w Komorowie i jakoś zdołali ją namówić. I rzeczywiście 12 czerwca 1964 roku wygłosiła przemówienie, w którym przedstawiła kulisy powstania Listu, zaprotestowała przeciw represjom i dyskryminacji autorów i potępiła działania prowadzące do rozgłosu poza granicami Polski. Był to ostatni publiczny występ bardzo już schorowanej pisarki.

Sprawę „obserwacji operacyjnej na Beynara Lecha vel Jasienicę Pawła" założono w lutym 1959 roku w związku z „antysocjalistycznymi wystąpieniami na forum Krzywego Koła". Sporządzono „Kierunkowy Plan Obserwacji", zgromadzono dostępną dokumentację z różnych urzędów powiatowych oraz materiały z okresu aresztowania. Ale w listopadzie 1960 roku postanowiono zaniechać dalszego prowadzenia sprawy, gdyż figurant *obecnie zaniechał wystąpień o wrogim charakterze, jest cechowany jako obojętny i nieszkodliwy politycznie*. Niemniej akta pozostawiono w Kartotece Centralnej na 25 lat, słusznie przewidując dalsze niepokorne wystąpienia. W tym czasie pisano sprawozdania ze wszelkich prelekcji i wystąpień publicznych „figuranta". W roku 1961 znów ktoś grzebał w aktach, a w 1964 sprawa ponownie odżyła. 3 stycznia tegoż roku Ministerstwo Spraw Wewnętrznych przekazało Naczelnikowi Wydziału II Komendy Milicji Obywatelskiej ds. Bezpieczeństwa Miasta Stołecznego

Warszawy materiały dotyczące Beynara Lecha Leona, syna Mikołaja. To wygląda na trafność przewidywań tego, co miało nastąpić. Założono sprawę operacyjną o kryptonimie „Kołodziej”.

A oto poczynania „figuranta” widziane okiem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych 31 marca 1965 roku (podaję, jak wcześniej, bez żadnych poprawek). Fragment z informacji nr 68 dotyczącej Pawła Jasienicy – literata, działacza b. Klubu Krzywego Koła: *Beynar był jednym z sygnatariuszy listu „34”. Już na plenum ZLP w styczniu 1964 wystąpił z krytyką polityki kulturalnej. Był jednym z inicjatorów napisania listu do Premiera, pozostawał w ścisłym kontakcie z A. Słonimskim i J.J. Lipskim w okresie pisania listu i zbierania pod nim podpisów. Po zatrzymaniu przez służbę bezpieczeństwa J.J. Lipskiego za kolportaż listu „34” Beynar udaje się do kierownictwa ZLP, aby interweniował w sprawie Lipskiego. Był inicjatorem utworzenia delegacji naukowców i pisarzy – sygnatariuszy listów „34” do prokuratury m. St. Warszawy w dn. 25.III. 1964 w sprawie zatrzymania Lipskiego. Bardzo żywo interesował się odgłosami listu „34” na zachodzie, dzielił się tymi informacjami z niektórymi sygnatariuszami M. Wańkowiczem, St. Mackiewiczem, St. Turowiczem (?), St. Kisielewskim, A. Gieysztorem oraz z Janem Rzepeckim. Dla zamanifestowania swego stanowiska odmówił udziału jako delegat w Zjeździe literatów w Lublinie we wrześniu 1964. Wystąpił z gorącą obroną A. Słonimskiego na otwartym zebraniu POP przy Oddziale Warszawskim ZLP – z udziałem tow. Z. Kliszko w dn. 5.10.1964. Mocno interesował się sprawą i procesem M. Wańkowicza. Jako delegat ZLP był na Sali rozpraw. Spotykał się z innymi aktywistami byłego KKK oraz z zagranicznymi korespondentami, z którymi dzielił się wrażeniami na temat procesu.*

Ze mną też się podzielił nie tyle wrażeniami, ile w dwu listach spisał na żywo relacje z tego procesu. Melchior Wańkowicz został aresztowany pod

zarzutem przekazywania wiadomości do Radia Wolna Europa. Proces rozpoczął się 26 października 1964 roku. Moim zdaniem jest to ciekawy, nigdzie dotychczas niepublikowany dokument, który przytaczam w całości.

List pierwszy:

Od wczoraj trwa sprawa sądowa Melchiora Wańkowicza, co Cię na pewno zainteresuje przez wzgląd chociażby na ową niewypitą wódkę, na którą Cię ongi zapraszał do Bristolu.

On siedzi w kiciu od 5 października r.b. pod zarzutem przekazania zagranicę jakichś materiałów szkalujących Polskę. Został zatrzymany akurat tego wieczoru, kiedy w Związku Literatów było zebranie z udziałem Kliszki. W tej chwili sobie uświadomiłem, że Ty to wiesz, bo przecież byłaś w Warszawie.

Ja z panią Wańkowiczową widywałem się często, bywałem u Niej przez ten czas. Ona widywała się z Mężem, któremu w kiciu dano dobre warunki. Śledztwo i wszelkie czynności przygotowawcze trwały krótko i oto wczoraj nastąpił akt pierwszy.

Przyjechałem rano do sądu razem z panią Wańkowiczową i jeszcze dwoma Jej, a raczej jego kuzynkami. Poszliśmy do przewodniczącego, aby otrzymać karty wstępu. Żona i szwagierka oskarżonego dostały je od razu, a mnie odesłano do wydziału prezydialnego. W ślad za mną zjawił się tam tłum żądnych kart wstępu między innymi Jan Józef Lipski z Małżonką, mistrz Bartoszewski, przedstawiciele Agencji Reutera itd. Nikt tych kart nie otrzymał ze względu na szczupłość sali: 40 miejsc. W gmachu sądów sal większych wcale nie brakuje i sam widziałem, że stały puste.

Nie było wiadomo jaka będzie rozprawa: jawna czy tajna. W tym drugim wypadku oskarżony ma prawo wprowadzić na salę dwóch mężów zaufania. Wańkowicz zgłosił swoją żonę i mnie. Sąd orzekł jawność

rozprawy. Ponieważ nie miałem karty wstępu spędziłem czas na korytarzu w towarzystwie wielu osób, m.in. Konsula Stanów Zjednoczonych, który dopiero po czterech godzinach usiłowań, interwencji dyplomatycznych i w Warszawie i jak mówił w Waszyngtonie, został na salę wpuszczony. Ci z Agencji Reutera i inni dziennikarze zagraniczni też zostali na korytarzu. Latali, węszyli, dopytywali, zapisywali – cóż za gratka dla nich! A myślę, że ów konsul do grobowej deski będzie wdzięczny za stawiane mu przeszkody. Młody gość, średni urzędnik – pies z kulawą nogą o nim na świecie nie wiedział. A teraz Reuter go roztrąbi i wszystkie gazety na zachodzie o nim pisać będą.

Ze Związku Literatów karty wstępu otrzymało 7 osób: Bystrzycka, Dziarnowska, Paweł Hertz, Jurandot, Machejek, Drewnowski, Newerly. Sąd im przysłał imienne karty. Dostał ją także Putrament o czym sam mówił w niedzielę wieczorem i zapowiedział, że nie przyjdzie. Mnie pominięto, tak że z literatów bezpartyjnych był tylko Hertz. (członek Zarządu Oddziału Warszawskiego), będący jednocześnie sygnatariuszem listu 34. Z pozostałych sygnatariuszy procesem zainteresowała się p. prof. Ossowska no i ja. Bardzo to niedobrze wypadło, moim zdaniem. Lipscy oczywiście też cały czas byli na korytarzu.

Na Sali byli też obecni wszyscy prezesi wydawnictw warszawskich i dyrektor departamentu wydawniczego Min. Kultury i sztuki, p. Zatorska.

Orzeczenie jawności rozprawy przynosi tę korzyść, że każdy obecny na Sali może swobodnie opowiadać, co widział i słyszał. W wypadku rozprawy tajnej jest to karalne.

Narada sądu w sprawie jawności trwała dwie godziny, potem odczytano akt oskarżenia. Prokurator podkreślał, że ogranicza oskarżenie tylko do konkretnego zarzutu, nie kwestionuje postawy Wańkowicza i uważa wszystkie napisane przez niego książki za własność narodu.

Stary trzymał się dzielnie. Wygłosił piękne przemówienie, żądając umożliwienia Mu zapoznania się z dokumentami potrzebnymi do rzetelnej obrony. Zagroził podobno, że jak mu odmówią, to się obrony zrzeknie.

Broni go trzech adwokatów, oczywiście zaproszonych przez Żonę, a nie z urzędu.

Ostatecznie sprawę przerwano do 3 listopada, aby Mu tę możliwość dać. Widziałem Go na korytarzu, kiedy pod konwojem dwóch milicjantów, maszerował tam, gdzie nie wolno stawać na wsiadacz. W drodze docelowej mnie nie zauważył, ale ustawiłem się przemyślnie na drodze powrotnej. „A nareszcie pana widzę" powiedział z miłym uśmiechem i przywitał się ze mną, przeciwko czemu WŁADZA jakoś nie zaprotestowała.*

List drugi:

Ergo inspiciam! Gdyby uczono Ciebie łaciny, a nie inżynierskich dupereli, to byś wiedziała, że to znaczy: a więc zaczynam.

3 listopada, czyli drugiego dnia rozprawy przeciwko złoczyńcy Melchiorowi Wańkowiczowi, otrzymałem kartę wstępu. Stało się to wskutek starań obrony, bo oskarżony bardzo nalegał na moją obecność. Na sali osób było ze czterdzieści, wyłącznie ci z kartami wstępu. Kilku literatów, wydawcy, pani Zatorska i same nieznajome osoby. W kącie nagrywający wszystko magnetofon. Przy pulpicie świadków itd. – mikrofony.

Idzie świat z postępem. Gdzie te czasy, kiedy prezes carskiego sądu w Warszawie powiedział ubiegającemu się o prawo wstępu fotografowi: ubirajtieś won!

Pierwsza ława po lewej zajęta była przez osoby raczej życzliwie nastrojone względem oskarżonego. Oto one, poczynając od ściany: konsul Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, ja, pani Maria Wańkowiczowa (szwagierka), Paweł Hertz, pani Zofia Wańkowiczowa (żona). Konsul cały

czas notował. On umie po polsku. Na korytarzu było dość tłoczno. Zjawił się Antoni Słonimski.

Najpierw Wańkowicz przez jakieś trzy godziny czytał referat, przygotowany przez siebie podczas kilkudniowej przerwy w rozprawie. Było to jakby jego curriculum vitae – ale twórcze. Zaczął od czasów dość odległych, od 1910 roku, kiedy rozpoczął działalność niepodległościową i od 1911, kiedy pierwszy raz siedział w więzieniu, oczywiście carskim. Podkreślił, że niepodległość była dla niego zawsze środkiem wiodącym do postępu społecznego, a nie celem samym w sobie. Wspomniał jeden ze swych młodzieńczych artykułów, noszący motto z „Róży" Żeromskiego: wszystko mi jedno jaki sołdat prowadzi mnie do więzienia – z czarnym czy białym orłem na czapce. Wspomniał również jak w 1918 roku siedział w więzieniu w Korpusie Dowbora Muśnickiego, za próbę buntu i porwania Korpusu do walki przeciw Niemcom. Groziło Mu wtedy rozstrzelanie, a o całej Jego sprawie powiedziano wtedy, co zacytował, że ona może zakończyć się w sposób kłopotliwy nie tylko dla oskarżonego.

Mówił potem o dwudziestoleciu, o czasach na emigracji. Stale powtarzało się to samo falowanie losu: od uznania do oskarżeń o szkalowanie. Określił w kilku punktach swoje stanowisko polityczne, które to wcale, ale to wcale nie jest wrogie wobec polskiego dzisiaj. Zaznaczył, że do kraju w roku 1958 wracał z radością. A po tym powrocie najpierw było wszystko dobrze, potem jakby szklana ściana. Nie idzie. Nie ma z kim gadać. Przypomniał, że jak będąc na emigracji zwracał się listownie do prezydenta Trumana, do Eleonory Roosevelt i innych znakomitości, które mu zawsze odpowiadały. W kraju nawet średniej klasy dostojnicy (których wymienił z nazwiska) nie odpowiadali Mu wcale. Obraz syntetyczny – „ogólna niemożność".

Potem nastąpiły pytania sądu, prokuratora i obrony. Chodziło w sprawie o wysłanie do córki, do Waszyngtonu pewnego maszynopisu, liczącego 29 stron, opracowanego na brudno, jako materiał raczej do przemówienia na najbliższym zebraniu literatów. Przemówienia, które miałby wygłosić nie Wańkowicz, lecz kto inny, albo kilku kolegów. Ten maszynopis w czerwcu Wańkowicz wysłał do córki przez okazję. Odmówił ujawnienia nazwiska tej okazji. Przyznał natomiast, że nie ufał poczcie, obawiając się konfiskaty. Ten artykuł czy referat został gdzieś tam po drodze, czy już w Ameryce sfotografowany i nasze władze dostarczyły prokuraturze fotokopię, która stała się podstawą aktu oskarżenia. Wańkowicz nie zaprzeczył faktowi sporządzenia i wysłania tego artykułu. Zaprzeczył natomiast, że przeznaczył go do udostępnienia Wolnej Europie i prasie. Tymczasem Wolna Europa fragmenty tego referatu nadała. Jak weszła w posiadanie? Nie wiadomo.

Pytania dotyczyły jeszcze rozbieżności pomiędzy rozmaitymi zeznaniami złożonymi w śledztwie. Obrona stwierdziła, ż ów referat zawierał nie same zarzuty, lecz i akcenty oraz oceny pozytywne, a więc dla Wolnej Europy przeznaczony być nie mógł. Wolna Europa, rzecz jasna, do publikacji wybrała same „rodzynki", które istotnie były gorzkawe i dla władz niemiłe. N.p. określenie „oligarchia", albo stwierdzenie, że ci co w kraju dysponują kulturą niczym innym, oprócz ogólników, sloganów i pogróżek posługiwać się nie umieją i tak dalej.

Nazajutrz 4 listopada przemawiał prokurator, który mnie wcale nie zachwycił. Mówił bez ognia, słabo pod względem oratorskim. Oczekiwałem od niego dowodu, że te ujemne sądy zawarte w inkryminowanym referacie są istotnie wiadomościami (bo 23 paragraf Małego Kodeksu, paragraf bardzo surowy, mówi właśnie o wiadomościach i ich rozpowszechnianiu). Bo na zdrowy rozum to były opinie i poglądy, które można ostatecznie uznać

za obrazę władzy, a to zupełnie inna melodia i inny paragraf. Zakończył prokurator twardo, żądając skazania z 23 par i pozostawiając wysokość kary uznaniu i sumieniu sądu (podczas przerwy podskoczył do mnie facet z Reutera i zapytał czy prokurator powiedział, ilu lat prokurator zażądał. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Rozprawa była jawna, opowiadać wolno).

Ale pokręciłem kolejność. Najpierw oczywiście tego dnia 4 listopada zeznawali świadkowie. Jako pierwszy, świadek oskarżenia, Tadeusz Cibor. Na czas jego zeznań zarządzono tajność rozprawy i wyemigrowaliśmy za drzwi. Obrona jakoś nie wniosła o pozostawienie na sali mężów zaufania – pani Zofii Wańkowiczowej i mnie – tak, że oboje znaleźliśmy się na korytarzu w ciżbie ciekawych.

Potem już po naszym powrocie na salę zeznawali: Bohdan Czeszko, Igor Newerly, Kazimierz Koźniewski i Stefan Kozicki. Ostatni zrobił dobre wrażenie, nie łamał się, mówił jasno. Opowiedział jak razem z Wańkowiczem brał udział w jakimś zlocie ZMS. Ta młodzież żądała od Wańkowicza opowiadań o egzotyce, a on stale wzywał do zajmowania się krajową współczesnością. Newerly – jako tako. Za to pozostali dwaj wprost wili się, żeby czasem czegoś nieostrożnego nie powiedzieć.

Potem prokurator, potem obrona: pp. Rutkowska, Domański i Pociej. Adwokat Pociej mówi głośno, bardzo dobrze i „estradowo”. Dowiedziałem się, że podczas jego oracji cała obecna na korytarzu publiczność, łącznie z MO, stłoczyła się pod drzwiami i podsłuchiwała.

Obrońcy, moim zdaniem, grali taktycznie i zręcznie, unikając gestów bohaterskich i zadrażnień. W konkluzjach żądali uniewinnienia albo zmiany kwalifikacji prawnej czynu. Jeden z nich powiedział: nie ma dowodu, że do Wolnej Europy trafił ten sam egzemplarz, który oskarżony wysłał do córki. (Poprzedniego dnia sąd zapytał Wańkowicza, czy nie domyśla się kto

z kraju mógłby wysłać ów tekst, niezależnie od autora. Wańkowicz powiedział, że się nie domyśla).

5 listopada. Krótka replika prokuratora, podtrzymującego swoje stanowisko. Krótkie odpowiedzi dwóch obrońców, stwierdzających, że prokurator nic nowego nie wniósł i obstających przy swoim. I teraz nastąpił gwóźdź programu – ostatnie słowo oskarżonego.

Wańkowicz zaczął od tego, że oczekiwał raczej wycofania się prokuratora z zarzutu dostarczenia tekstu Wolnej Europie. Wdał się w dość istotne wyjaśnienia, że jeśli ktoś chce wysłać za granicę tekst nielegalny, to nie pisze go na zwykłym grubym papierze, z marginesem, z interlinią i z własnymi, własnoręcznymi znaczy dopiskami. Zdarzyła się okazja do córki, więc wysłał, co miał pod ręką, by córka coś od niego miała, wiedziała co robi. Wyjaśnił, że zięć jego pisuje w czasopiśmie „Ameryka", a nie w Wolnej Europie, jak ludzie mówią. Powiedział zdanie tak ważkie, że konsul amerykański poprosił mnie później o skontrolowanie, czy dobrze zrozumiał i powtórzył owo zdanie, które brzmiało mniej więcej tak: okazało się, że przedstawicielowi naszego wywiadu bliżej do mojej córki niż córce do Wolnej Europy. (Rozumieć to chyba należało jako nawiązanie do tajnych zeznań świadka. Że tekst chyba sfotografowano gdzieś w okolicach córki, która pewnie komuś pokazywała, albo po drodze z Polski do niej). Powiedział, że chcąc dostarczyć tekst Wolnej Europie, mieszczącej się w Monachium nie potrzebowałby sięgać lewą ręką do prawego ucha. „Okazja" jechała a raczej leciała do Paryża. Cóż prostszego od wrzucenia listu do skrytki pocztowej? Po co wozić aż do Waszyngtonu?

Nie odbyło się bez złośliwości pod adresem prokuratora utrzymanych w bardzo dobrym stylu.

Prokurator powiedział, że to co oskarżony nazywa PRL to dla nas jest Polską Rzeczpospolitą Ludową. Na to Wańkowicz: nie wiedziałem, że skróty

takie, jak ZSRR, NRF, NRD i PRL to są wyrażenia obelżywe. Podziękował również za pouczenia na temat patriotyzmu.

I dalej mniej więcej tak: pan prokurator wyraził poprzednio nadzieję otrzymania w przyszłości nowych i jeszcze lepszych moich książek i zażądał dla mnie minimum trzech lat więzienia (bo takie minimum wyznacza 23 paragraf). A ja już mam 73 więc pan prokurator okazał się przesadnym optymistą.

Odparł zarzut, że w Monachium w zeszłym roku widział się z Tadeuszem Nowakowskim (prokurator pytał o to Koźniewskiego, który potwierdził, że mu Wańkowicz o tej rozmowie mówił, ale był łaskaw przemilczeć okoliczności, że cała bytność w Monachium wynikła z przypadku). Wańkowicz teraz powiedział, że bawiąc zagranicą gada z każdym pisarzem polskim, a Nowakowski należy do szczególnie wybitnych. Przypomniał, że pod własnym nazwiskiem pisywał w Kulturze paryskiej. Poprosił, by nie robić czasem z Niego firmowego obrońcy komunizmu (to było bardzo dobrym ustawieniem oświadczeń złożonych w referacie z dn. 3 listopada. Pozytywne nastawienie nie oznacza jeszcze uznawania się za komunistę. W tym referacie były słowa: współpracować nie znaczy chwalić).

Najważniejsze fragmenty przemówienia były następujące: Wańkowicz oświadczył, że nie chodzi mu o rozwój kultury duchowej w Polsce, którą należy odróżniać od rozwijającej się istotnie cywilizacji materialnej. Chodzi o możność pracy literackiej, możność, która zaczęła się psuć. W centrum zagadnienia stoi sprawa trzydziestu czterech. A w tej sprawie – powiedział – role się zmieniają: on występuje jako oskarżyciel.

Nie powołał na świadka żadnego z 34, nie powołał również żadnego z 57 pisarzy partyjnych, którzy odmówili podpisania kontrprotestu. Powołał samych ludzi z przeciwnego skrzydła. I słyszeliśmy – mówił – jak Czeszko

„ze ściśniętym gardłem” coś tam w sprawie pozytywnego nastawienia Wańkowicza przyznał.

Dlaczego z pisarza, któremu po 1958 roku wydano przeszło 400 tys. egzemplarzy, robi się nagle niskiego opozycjonistę?

Zakończył, że chciałby wyroku uniewinniającego, ale nie „gołego”. Z uzasadnieniem.

Przemówienie zrobiło bardzo dobre wrażenie. Było pełne poczucia godności własnej, bez poniżania się i bez zaczepek nie na poziomie.

Wyrok ogłoszono 9 listopada o godz. 14. Znasz go pewnie z prasy. Na podstawie par. 23 trzy lata więzienia, zredukowane na podstawie lipcowej amnestii do połowy z zaliczeniem miesiąca aresztu prewencyjnego. Wyrok nie jest jeszcze prawomocny, podlega zaskarżeniu.

Kiedy padły słowa o trzech latach bałem się spojrzeć na panią Wańkowiczową, która zachowała się spokojnie, tylko jakby się Jej momentalnie twarz zapadła, zmalała, osunęła się. On był niewzruszony.

Obrońca wniósł o zmianę środka zapobiegawczego. Sąd po naradzie na miejscu, bez wychodzenia z sali, uchylił areszt. Wbrew wnioskowi prokuratora nie orzeczono zakazu opuszczania miejsca zamieszkania.

Wyszliśmy na korytarz, gdzie trudno było poruszać się, taki panował tłok. Po jakiejś pół godzinie Wańkowicz wyszedł. Ludzie stłoczyli się koło niego stadem. Jakieś dzieci podobno podały Mu kwiaty, całowały go. Cała kupa literatów: Andrzejewski, Kott, Żuławski, Mycielski, Jan Józef Lipski (który przez wszystkie te dni przychodził o 8 rano, aby „ukłonić się panu Melchiorowi” prowadzonemu przez milicję), my obaj z Hertzem i już nie pamiętam, kto jeszcze. Korespondenci prasy zachodniej zaraz stłoczyli się koło Wańkowicza i coś tam do niego bełkotali. Jeden samym nachalnym obrazom trzymał pod pachą sakwojaż z magnetofonem. Aż w pewnej chwili

pani Wańkowiczowa powiedziała do mnie, żebym i ja tam poszedł, bo sami cudzoziemcy koło Mela.

Taki sam, a raczej ten sam tłum odprowadził państwa Wańkowiczów aż na chodnik, gdzie wsiedli do czyjegoś auta i pojechali. A wtedy jeden z kolegów powiedział do mnie: teraz, zgodnie z tradycją, powinna na nas wyjechać sotnia Kozaków.

No więc widzisz jak rzeczy się miały, naturalnie w wielkim skrócie. Byłem u Wańkowicza wczoraj. Dobrze się stary trzyma, zastanawia się czy apelować. Ja go do tego namawiałem, ale On jeszcze się waha. Z obrońców niezbyt jest zadowolony. Wolałby mniej taktyki, lecz za to obronę merytorycznego stanowiska klienta, to znaczy jego. Rozważa co jeszcze należało powiedzieć. Nie jest rad, że poszło o taki błahy przypadkowy raczej tekst, a nie o poważną wypowiedź.

Przy okazji wspomniał i Ciebie, jak Cię woził mercedesem.

To koniec sprawozdania z procesu. Jak wiadomo „Mel” dopytywał się, kiedy go wreszcie posadzą, żeby przed ewentualnym „zejściem” mógł odsiedzieć. Ale jakoś do tego nie doszło i zszedł, nie odbywszy kary.

Zachował mi się jeszcze jeden list taty w tej sprawie. Niestety niedatowany, więc nie bardzo mogę go umiejscowić w czasie. Domyślam się jednak, że pisany był już po procesie, a dotyczy rozmowy z Gomułką, która odbyła się 8 stycznia 1965 roku.

Nowin specjalnie żadnych nie ma, ta tylko, że pan Melchior widział się z Gomułką. Gadali dwie i pół godziny i chyba zgodnie, skoro G. pożyczył M. pewną wydaną zagranicą książkę. Z panem Melchiorem się widziałem, ale nic szczególnego nie mówił, zresztą dyskrecja. Tylko to, że G. niczego nie żądał, a On do niczego się nie zobowiązał.

I dalej: *Oprócz tego ta nowina, że Miller będzie miał jednak sprawę w sądzie, w każdym razie śledztwo się toczy. Sam mi o tym mówił w zeszłym tygodniu, że go wzywał prokurator. Wiesz, ta sprawa o drukowanie artykułów w „Wiadomościach” londyńskich. Prasa o tym pisała.*

Tocząc w dzisiejszych czasach „bój o wolne media”, chyba warto pamiętać, do czego może dojść.

---

* W jednej sławojce w Bieszczadach, chyba w Dołżycy, widniał napis „za stawanie na wsiadacz karany będzie grzywną”.

BEZ MAMY

Pogrzeb mamy, kondolencje od Wańkowicza

29 marca 1965 roku dotarła do mnie do Soliny depesza o takiej treści: „Ewuniu, mama ciężko chora. Przyjeżdżaj natychmiast. Ojciec”.

Kiedy dotarłam do Warszawy, tata poinformował mnie, że mama nie żyje, a treść telegramu dlatego była taka, żebym w miarę w dobrym stanie dotarła do domu. Rano tegoż dnia mama zaczęła się dusić nie wiadomo z jakiego powodu. Ciotka wezwała pogotowie, które zabrało chorą do szpitala. Tam stwierdzono konieczność operacji – tracheotomii. Po podaniu środka znieczulającego okazało się, że mama jest na niego uczulona i nastąpił zgon. Ojciec na sekcję zwłok się nie zgodził, więc szczegóły nie są znane. Poprzedniego dnia tata był w Krakowie na jubileuszu „Tygodnika”, wracał nocnym pociągiem. Ponieważ było bardzo wcześnie rano, przyszedł do domu z Warszawy Głównej na piechotę, żeby nikogo nie budzić. A mama już nie żyła. Ojcu świat się zawalił, mnie również.

Kiedy przeglądam pozostałe po rodzicach papiery, pośród całego pliku kondolencji znajduję wyróżniające się szczere i serdeczne listy od wielu przyjaciół z „Tygodnika Powszechnego”. W każdym są niekonwencjonalne słowa otuchy i pocieszenia. Czuje się, że ojciec miał w „Tygodniku” oddanych przyjaciół. Ksiądz Bardecki odprawił mszę za duszę mamy, a później serdecznie odpowiedział ojcu na podziękowania.

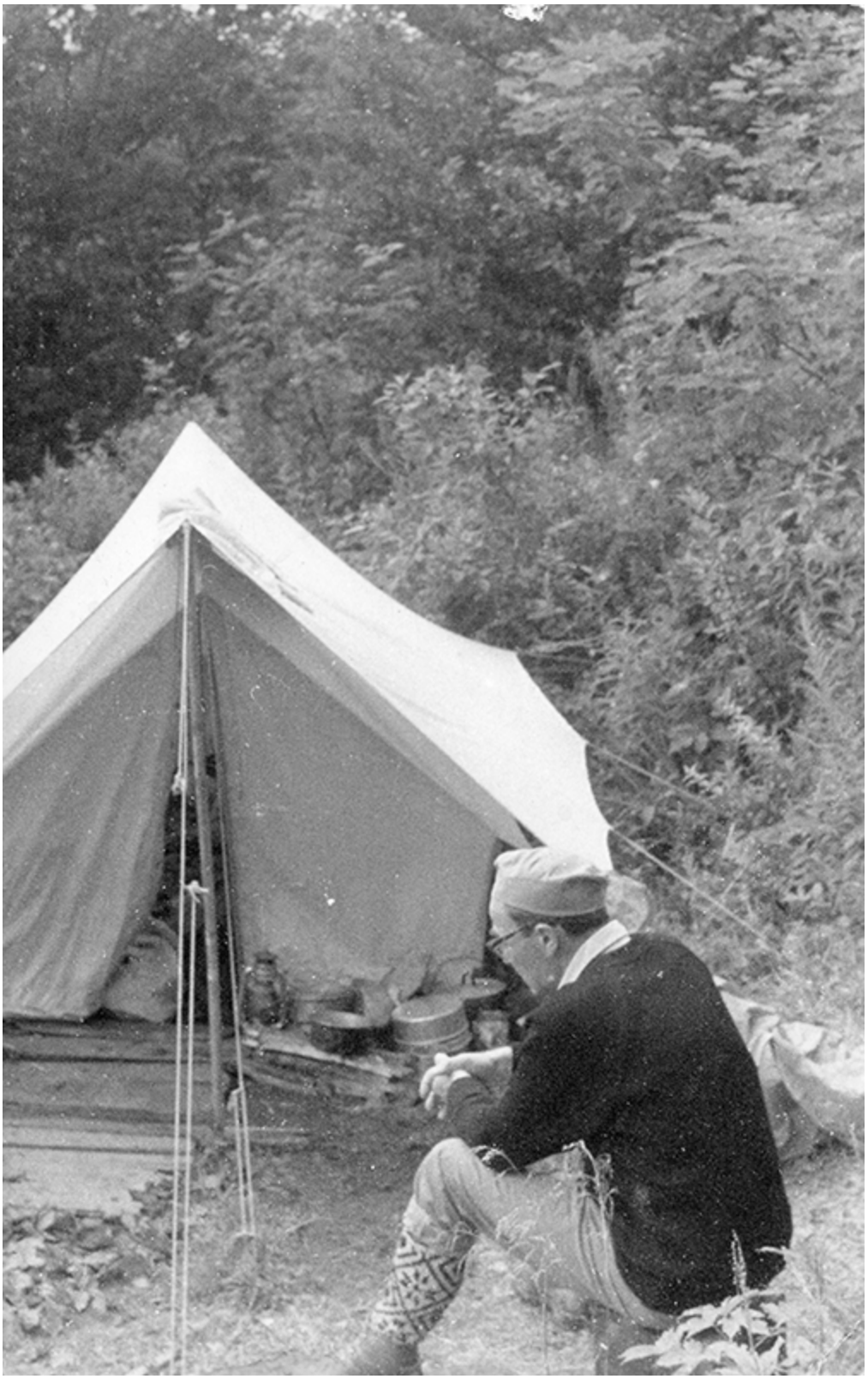

Dyżurka GOPR pod Wielką Rawką

Po pogrzebie pojechaliśmy razem do Soliny. Akurat była Wielkanoc, której nie świętowaliśmy wcale. Włóczyliśmy się trochę po górach, odwiedzaliśmy na krótko znajomych. Trzeba się było przyzwyczaić do nowej sytuacji i żyć dalej. Spotykaliśmy się z wielką serdecznością ze strony wszystkich bliższych i dalszych znajomych, co pomagało jakoś żyć.

Oboje z Oldkiem, moim przyszłym mężem, byliśmy ratownikami w Grupie Bieszczadzkiej GOPR. Wiązało się to z koniecznością pełnienia dyżurów w terenie. Akurat w tym czasie zarząd naszej grupy postanowił utworzyć sezonową dyżurkę namiotową pod szczytem Wielkiej Rawki. Zgłosiliśmy się na dyżur i niezbyt legalnie zabraliśmy też tatę. Mieszkaliśmy w małym namiocie chyba przez tydzień i przez ten tydzień cały czas padało. Turystów ani śladu. Chyba zanudzilibyśmy się okropnie, gdyby nie myszki, które upodobały sobie nasze towarzystwo i przychodziły na drewniany podest, na którym stał namiot, w celu pożywienia się i zabawiania nas.

Wreszcie tata wrócił do Warszawy. Nadal mieszkał z ciotką, która usiłowała jakoś prowadzić nasz dom. Wzruszające jest to, jak uczyła się gotować najprostsze potrawy, o czym świadczą zachowane przepisy pobierane od znajomych, na przykład rosół z kury. Ja zresztą też zaczęłam się w tym czasie interesować prozą życia, kiedy musiałam tatę w Solinie wyżywić. Dalsza korespondencja z tatą odnosi się do projektowanego nagrobka i wspomnień o mamie. Są to właściwie reportaże z pobytu na Powązkach, nie będę ich tu przytaczać, nie sądzę, aby ojciec sobie tego życzył.

W tym czasie ukazała się wydana przez Wydawnictwo Czytelnik *Ostatnia z rodu* o Annie Jagiellonce. Tę postać historyczną ojciec darzył wielką sympatią. *Już dostałem pierwszy egzemplarz „Ostatniej z rodu”. Ładnie wygląda, grafik dobrze zrobił. Ale jakoś mnie wcale nie cieszy.*

Wbrew dotychczasowym zwyczajom, a nawet obowiązkowi, nie przeczytałem od deski do deski, tylko przejrzałem z pewną niechęcią. Na pierwszym egzemplarzu napisałem parę słów i postawiłem na półce, gdzie Mama trzymała moje książki. Trzeba będzie zastrzec, żeby ich Sylka nie pożyczała nikomu. One należą do Mamy.

24 maja 1965 roku tata pisze: *Zmarła Maria Dąbrowska. Odszedł jeden z ostatnich wielkich autorytetów moralnych. A społeczeństwo bez nich jest kalekie. Nowe się nie pokazują i nic tego nie zapowiada. Napisała w testamencie, że chce być pochowana w wierze swych ojców. Pogrzeb miała religijny, leży na katolickich Powązkach, w alei Zasłużonych* – a w nieco dalszym akapicie tego samego listu: *Dziś dostałem nowy tom encyklopedii na literę J. O mnie tylko życiorys literacki, ani słowa o osobistym. To dobrze. Dobrze również, że napisano o atakach historyków za personalistyczne traktowanie historii.*

Tak się złożyło, że akurat w 1965 roku zaczęło nam się poprawiać pod względem materialnym. Mama tego nie doczekała. Ojciec zastanawiał się nad kupnem samochodu. Nie znał się na tym zupełnie, nie mówiąc już o posiadaniu prawa jazdy. Nie miał żadnych predyspozycji do takich rzeczy. No, ale ja już dawno jeździłam motorem, coraz bliższy mi tata polubił wspólne podróże, chociaż mawiał: wolałbym, żebyś jeździła na czterech kółkach. Nawet mnie cenił jako kierowcę, choć zarazem nie miał innego wyjścia. Początkowo łudził się, że dostanie „przydział”, czyli talon na kupno automobilu po cenie sprzedaży sklepowej. Donosił mi o konsultacjach, jakie prowadził z różnymi „fachowcami” na temat marki (jednym z doradców był młody Gieysztor). Pytał nas o zdanie, nas, czyli mnie i mojego przyszłego męża Oldka Czeczotta.

Z listu pisanego 18 września 1965 roku dowiedziałam się, że ojciec nabył z drugiej ręki wartburga i trwa załatwianie formalności. Auto miało

zostać dostarczone do Opatowa, a stamtąd mieliśmy je zabrać osobiście. Z uwagi na źródło dochodu taty zostało nazwane Samochodem Jagiellońskim. W tym samym liście: *Ja ostatnio byłem mężem zaufania w procesie J.N. Millera, którego sądzili za pisywanie artykułów do Wiadomości londyńskich. Dostał trzy lata, półtora zdjęto na mocy amnestii, reszta zawieszona na dwa lata. Trzymał się stary (75 lat) wspaniale. Co za paradoksy: Miller to najbardziej autentyczny lewicowiec polski, jakiego tylko sobie można wyobrazić. Jego działalność zaczęła się 60 lat temu i zawsze szła po linii skrajnej lewicy.*

Mamy auto

Auto rzeczywiście się pojawiło, z Opatowa do Soliny dojechaliśmy bez kłopotów (z WFM-ką w bagażniku). Dołączyłam do grona posiadaczy czterech kółek na budowie, co wtedy nie było zjawiskiem powszechnym. Część kadry inżynierskiej drogą naprawdę wielkich wyrzeczeń zakupywała

przydziałowe samochody. Bezpartyjni raczej nie dostawali talonów. Powstała nowa tradycja. Na pierwszomajowe pochody w Lesku – mieście powiatowym – niektórzy jeździli własnymi automobilami, tworząc osobną kolumnę. Siłą rzeczy jechało się jedynką na półsprzęgle. Nie wszystkie cuda ówczesnej techniki motoryzacyjnej to wytrzymywały i pewnego majowego poranka przed trybuną doszło do karambolu. Ale to nic w porównaniu z innym incydentem, jaki się zdarzył podczas tego święta. W związku z defraudacją części materiałów przeznaczonych na budowę trybuny nastąpiło jej zawalenie się podczas odbierania defilady. Podobno niezapomniany widok stanowili nasi przywódcy, a szczególnie przywódczynie, do góry nogami wśród desek spowitych czerwoną materią. Opisał to barwnie Orłoś, ale na podstawie opowieści zasłyszanej. Stanowiliśmy bowiem nieliczną grupę bojkotujących patriotyczny i internacjonalistyczny obowiązek uczestniczenia w pochodzie. Natomiast niektóre lojalne panie szyły sobie wytworne kreacje i obcierały pięty w nowych butach dla uczczenia tego święta. Od chwili zawalenia się trybuny Orłoś dobrowolnie chodził na pochody z nadzieją, że będzie świadkiem jakiegoś ciekawego wydarzenia. Kiedyś nawet zasłabł i musiał spocząć na noszach, które akurat delegacja PCK prezentowała przed trybuną. Nas natomiast któregoś roku spotkała kara, nie wiem, czy boska, za udanie się tegoż dnia w przeciwnym niż miejsce pochodu kierunku. Po raz pierwszy nawalił nam samochód.

Budowniczowie zapory w Bieszczadach, a przy okazji socjalizmu, mogli szybciej dorobić się samochodów niż ich koledzy inżynierowie z innych stron. Mieliśmy „dodatek bieszczadzki”, czyli 20% dodatkowo do pensji, a i same pensje trochę średnią krajową przekraczały, co stwierdziłam, wypełniając emeryckie formularze. Jeden z projektantów zapory, przyjechawszy do nas z Warszawy na delegację, smętnie wspomniał

przy jakiejś okazji, że nie stać go na samochód. Na to mój kolega pyta: „a w jakiej instytucji pan pracuje?”. On, że w Energoprojekcie, a kolega: „no tak, na tusz nie będzie chodził”.

Nad całą budową na masywnej podstawie dźwigu linowego widniał robotnik za kołem sterowym (przerysowany ze znanego afisza gloryfikującego partię), a pod nim napis: *Wysiłkiem klasy robotniczej zamienimy siłę wody Sanu w energię elektryczną*. Zamieniano ją tak przez osiem lat, co na ówczesne warunki i tak było tempem ekspresowym. Opóźnienia w stosunku do pierwotnych założeń były niewielkie, kilka razy wymieniano dyrekcję głównego wykonawcy, tak że ostateczne laury mogli zebrać ci, którzy pierwszych trudności pokonywać nie musieli. Oczywiście dotyczyło nas terminowe oddawanie poszczególnych odcinków robót dla uczczenia świąt państwowych, niezależnie od pogody i innych obiektywnych uwarunkowań.

Ja pracowałam w nadzorze inwestorskim. Jako inspektor zmianowy pilnowałam prawidłowego wykonywania robót i ich zgodności z projektem. Dzień w dzień na trzy zmiany szła budowa i w każdym tygodniu o innej porze należało na tej budowie być i tych spraw doglądać. Byłam jedyną osobą płci pięknej zatrudnioną w ten sposób. Nie mogę narzekać na jakąś dyskryminację czy też nierówne traktowanie. Jak praca jest ciężka, to panowie chętnie się nią z paniami dzielą, nawet mając świadomość, że zarobki też są jednakowe. Dyskryminowane były raczej osoby bezpartyjne. W dobrym tonie była też przynależność do Polskiego Związku Wędkarskiego (również nie należałam). Jego prezesem był nasz dyrektor. Wspólne połowy i nawet zawody wędkarskie miały integrować zespół. W ramach tejże integracji świętowano u nas Dzień Energetyka i Dzień Kobiet. Nawet nikt się nie domyślał, że są to prapoczątki tak ostatnio modnego *team buildingu*. W zawodach wędkarskich uczestniczyłam raz

w charakterze sędziego, jednego z wielu. Na każdych dwu zawodników przypadał jeden arbiter, a do jego obowiązków należało uważne przypatrywanie się, czy do wiaderka ze złowionymi rybami nie dorzuca się czegoś pojmanego wcześniej oraz czy przypadkiem nie zwiększa się wagi urobku, umieszczając kamień wewnątrz trofeum.

Szefową Ligii Kobiet była dla odmiany pani dyrektorowa. Dodatkowe jej zajęcie polegało na strzeżeniu moralności i poczucia obowiązku pracowników (godziny pracy, obecność na osiedlu).

Solinę odwiedzali przedstawiciele najwyższych władz państwowych (osobiście nie miałam zaszczytu ściskać im prawicy). A jak już się było w Bieszczadach, no to się i w polowanku uczestniczyło, specjalnie dla towarzyszy organizowanym. Zimą 1966 roku odwiedził nas Piotr Jaroszewicz. Po części oficjalnej towarzystwo pojechało do wsi Polana, gdzie pod specjalnie skonstruowaną amboną już od kilku dni wykładano smakowitą padlinkę, celem zanęcenia grubego zwierza. Feralnego dla siebie dnia zjawił się pod amboną miś, a na ambonie towarzysz Piotr. W dyskretnej odległości – miejscowi myśliwi. Rzecz działa się wieczorem, teren nieco podświetlono. Główny myśliwy złożył się, wycelował, wypalił i… spudłował. Zwierz, zamiast paść raniony, zrobił w tył zwrot i przepadł w lesie. Wśród miejscowych posiadaczy strzelb myśliwskich nocą zarządzono alarm i wyruszyła obława. Wreszcie gdzieś misia dopadnięto i ustrzelono. Opowiadał nam o tym uczestnik tej obławy, nasz nieżyjący już przyjaciel Kazio Hartman, leśniczy i kierownik schroniska w Ustrzykach Górnych. Najwyraźniej doniosłam o tym ojcu, gdyż w liście z 4 kwietnia 1966 roku pisze on: *Sensacje o misiu frapujące, zwłaszcza, że na drugi dzień była w Życiu Warszawy notatka o zamierzonej obławie na szkodliwego niedźwiedzia bieszczadzkiego. A nic nie wspomniano, że był on już w ogniu i na tak dostojną osobę d…ę wypiął. Jakaż niedokładność*

w informowaniu obywateli. W tym samym liście jest wzmianka, że ukończona pierwsza część *Rzeczpospolitej Obojga Narodów* została przez PIW przesłana do cenzury i zalega tam już dwa tygodnie, co uniemożliwia tacie podróż do mnie, bo każdego dnia spodziewa się zaproszenia do pertraktacji z cenzurą.

Wbrew opiniom głoszonym przez Partię Zielonych uważam budowę zapory w Solinie za sensowną. Wzniesiono ją w celu produkcji energii elektrycznej, którą wytwarza się w godzinach szczytu, czyli największego poboru mocy. Poza tym powstały zbiornik bardzo wzbogacił walory turystyczne okolicy. Pomysł budowy powstał zresztą przed wojną.

Końca realizacji inwestycji jakoś nie doczekałam. Przestałam tam pracować w 1967 roku, po wyjściu za mąż. Ślub cywilny wzięliśmy w Sanoku. Obecni byli tylko świadkowie Ewa i Wacek Doboszowie, przyjaciele z Soliny, oraz oczywiście tata. Potem w Warszawie wzięliśmy ślub kościelny i po dwu dniach wróciliśmy w Bieszczady, by udać się w bardzo atrakcyjną podróż poślubną, czyli zimowe szkolenie ratowników GOPR, polegające na kilkudniowym przemarszu na nartach przez najwyższe partie Bieszczadów, z noclegami w namiotach.

Po powrocie zamieszkaliśmy z mężem u taty na Dąbrowskiego, oczywiście razem z ciotką, w ten sposób wydarzenia marcowe zastały mnie w warunkach raczej komfortowych. Z Soliny na pewno wypadałoby mnie z hukiem wyrzucić. No, ale w związku z faktem wspólnego mieszkania przestaliśmy do siebie z ojcem pisywać i wiele zapewne istotnych wydarzeń ulotniło się z mojej pamięci.

W styczniu 1966 roku tata zameldował jeszcze listownie, że dostał tysiąc dolarów z Nowego Jorku jako nagrodę za literacką twórczość. A zaraz po tym: *Ta nagroda sprawia pewną satysfakcję, połączoną z głębokim żalem i smutkiem. Mamie byłoby przyjemnie. Ona tego po sobie*

zbytnio nie pokazywała, ale ja wiedziałem, że cieszyła się z moich tak zwanych sukcesów. Cóż, taki los.

Była to nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego, przyznana 12 stycznia 1966 roku również Krzysztofowi Pendereckiemu, Tadeuszowi Różewiczowi, Józefowi Czapskiemu, Zdzisławowi Czermińskiemu, Romanowi Ingardenowi, Kazimierzowi Michałowskiemu, Antoniemu Słonimskiemu i Józefowi Wittlinowi.

Od stycznia 1966 zaczyna się korespondencja dotycząca wyjazdu taty do Francji celem spożytkowania otrzymanego tysiąca dolarów. W tym przedsięwzięciu uczestniczyłam czynnie. Kiedy w roku 1962 pojechałam do Francji na winobranie, a przy okazji, by zwiedzać, zaproszenie skombinowała mi moja, już nieżyjąca, koleżanka ze studiów Dorota Cholewa, której udało się wyjechać wcześniej i zakotwiczyć w Paryżu. Zresztą z naszych roczników wiele osób wyjechało do pracy nad Sekwanę, niektórzy mieszkają tam do dziś. W tamtym czasie Algierczycy mieszkający i zatrudnieni we Francji masowo przenosili się do własnego kraju i było dużo wolnych miejsc pracy, zwłaszcza dla inżynierów.

Po powrocie zwróciłam przepisowo paszport i pojechałam do Soliny. A w Warszawie nastąpił incydent dość dobrze charakteryzujący zasady, jakimi kierował się ojciec. Otóż odebrał on telefon z Pałacu Mostowskich, z biura paszportowego. Ktoś pytał o mnie. Tata uprzejmie wyjaśnił, gdzie się obecnie znajduję i kiedy będę w Warszawie. Zanotował skrupulatnie proponowany termin mojego przybycia do tegoż pałacu, a na dodatek dopilnował, abym się tam stawiła. Nie miałam wyjścia i poszłam. Wypytywano mnie o osoby, z którymi się rzekomo widziałam. Na szczęście imputowano mi pobyt w Londynie, gdzie w życiu nie byłam, więc udało mi się rzucić złośliwie, że do tego miasta bez wizy się nie da dostać, a mają mój paszport w tym samym lokalu i mogą sprawdzić, że możliwości

znalezienia się nad Tamizą nie miałam. Paryskie znajomości na szczęście nikogo nie interesowały. Tą metodą być może uniknęłam szansy trafienia na popularną listę, która „wyparowała” z IPN. A może chodziło o coś zupełnie innego, a tylko mnie się wydawało, że pouczyłam bezpiekę.

W Paryżu poznałam, przez Dorotę oczywiście, państwa Halinę i Jerzego Jasnorzewskich. On przebywał tam służbowo i oficjalnie jako pracownik Państwowego Instytutu Miar i Wag. Szalenie mili państwo stworzyli w swoim domu bazę dla różnych przyjezdnych z kraju. Wiek i zawód nie były tu istotne. Doświadczyłam i ja ich serdecznej gościnności.

W tym czasie podjęliśmy się prób i podchodów, znów zainicjowanych przez Dorotę (która zawsze pomagała każdemu, komu mogła), aby namówić tatę do wyjazdu. Zachował się dokument z tamtej epoki, który przytaczam, gdyż świadczy najlepiej o autorze.

Szanowny Panie! Idąc z duchem czasu, w którym dzieci rządzą i decydują za starszych, Pani Ewa postanowiła za naszym poduszczeniem, że przyjedzie Pan do Paryża i będzie Pan naszym gościem, z tym tylko, że formalności (tzn. wysłanie zaproszenia) załatwi Panna Dorota. Rozumiem, że Pan może mieć pewne obiekcje, że jesteśmy ludźmi bliżej Panu nieznanymi itd. Ale żeby uprzedzić te skrupuły kilka uwag:

1. Nie jesteśmy sobie tak bardzo obcy, bo znamy Panią Ewę. Żona bardzo ją lubi, a mnie ona wprost oczarowała swoją „rozmową” z Katanami (zdarzyło mi się parę razy dać po ryju zbyt natarczywym ulicznym adoratorom).

2. Zna Pan mojego szwagra, który się o Panu wyraża bardzo ciepło – wcale nie mniej niż Pan o nim (prof. Jażdżewski).

3. Żona jest pół krwi Wilnianką, a Pan też z Wilna.

Jako gospodarze jesteśmy niekrępujący, a że nam nie wystarczają krótkie pobyty w Warszawie, więc szczególnie cenimy gości z Polski. Poza

tym wydajemy się sobie dosyć sympatyczni… Jeżeli ta bezczelna autoreklama skłoni Pana do posłuszeństwa wobec Pani Ewy, będę całkowicie usprawiedliwiony, że sobie na nią pozwoliłem…

18 lutego 1966 roku zmarł Stanisław Cat-Mackiewicz (zresztą wuj Orłosia). Ojciec do ostatnich dni bardzo się z nim przyjaźnił. Pisywał do mnie dość dużo na temat ich spotkań, których potwierdzenia zawierają także ubeckie dokumenty. Na pogrzebie ojciec wygłosił przemówienie również w tychże dokumentach szeroko skomentowane. Odpis oczywiście trafił do Soliny i tu chyba w całości należy go przytoczyć: *Stanisław Cat-Mackiewicz umarł jak żył w konflikcie i w walce.*

Nie wolno zapomnieć, że oddajemy ostatnią posługę wielkiemu pisarzowi, który złożył kiedyś znamienne wyznanie. Było to więcej niż przed trzema dziesiątkami lat. W wileńskim dzienniku „Słowo”, w prowincjonalnej gazecie postawionej na europejskim poziomie ukazał się artykuł naczelnego redaktora Stanisława Mackiewicza. Mowa tam była, że komuś na nagrobku napisano „nie miał wrogów”. I padły słowa, które wryły się w pamięć, jakby diamentem na szkle zapisał:

„Nie miał wrogów? To ma być pochwała? To zniewaga! Ja bym chciał, żeby mi na mogile napisano: miał samych wrogów!”

Hiperbola? Pewnie. Ale najbardziej przesadnia literacka celowo wyolbrzymia tylko zjawisko prawdziwe, nie tworzy fikcji.

Ten człowiek nigdy nie wzbudzał uczuć letnich i wzbudzać ich nie chciał. Ma się w uszach pogłos naszych zebrań literackich, podczas których jego wspaniałym oracjom odpowiadały fale oklasków, lecz i okrzyki protestu, potępienia i wrogości. Tak jest dobrze i tak być powinno.

Życzenia Stanisława Mackiewicza zostały wysłuchane. Żył w konflikcie. Autor „Myśli w obcęgach” pozostał wierny sobie. Walczył o wolność myśli

i słowa. Ostatnie lata, czas od chwili podpisania „Listu Trzydziestu Czterech” spędził w nieustannym zatargu.

Jeszcze jednej łaski doznał Mackiewicz. Łaski wielkiej, lecz bardzo okrutnej. Odszedł w pełni sił twórczych. Nie doczekał rzeczy dla pisarza najstraszniejszej: nie przeżył własnego talentu. Książki jego ludzie będą kochać lub nienawidzić, nikt się nad nimi z politowaniem nie uśmiechnie. Nikt nie powie, że to już marne echa wielkości. Stanisław Mackiewicz nie poszedł na pisarską emeryturę.

Żył w walce i płacił za to. On, premier rządu emigracyjnego, który przyjechał do nas w roku 1956, aby wesprzeć front tych, co walczyli o wolność. Kraj zna te jego książki, które zostały napisane w przeciągu lat ostatnich. „Londyniszcze”, „Stanisław August”, „Dostojewski”, „Muchy chodzą po mózgu”, „Zielone oczy”, „Był bal”,” Herezje i prawdy” i ostatnią „Europa in flagranti”. No i jeszcze jedna książka: „Polityka Becka”. Cenzura zatwierdziła ją, lecz nie znalazł się wydawca. W kraju…

Innych jego książek ogół krajowy nie zna. Nawet w antykwariatach nie widać wcale „Myśli w obcęgach” ani „Książki moich rozczarowań”. Na emigracji samych broszur napisał Stanisław Mackiewicz czterdzieści.

Broszura… niełądne słowo. Ale to przecież były rozprawy publicystyczne, napisane z ogniem i talentem! Dokumenty walki.

Kraj ich nie zna. Ale nie przepadną. Drogę na księżyc już wynaleziono, nikt nie wynalazł i nigdy nie wynajdzie sposobu uśmiercenia słowa drukowanego.

Los płata czasem dziwne niespodzianki, urządza zasadzki. Dosłownie w ostatnich dniach krakowskie „Wydawnictwo Literackie” rzuciło na rynek dwutomowy wybór publicystyki Ksawerego Pruszyńskiego, który był przyjacielem Stanisława Mackiewicza. Pod artykułami widnieją informacje

o dacie i miejscu pierwodruku. W pierwszym tomie co chwila niemal czytamy „Słowo”. „Słowo” w Wilnie???

Otwórzmy pierwszy tom na artykule „Kraków nowych ludzi”. Czytajmy słowa świadczące o radości autora, że w Krakowie przestają dominować „stare hrabiny i wykwintni ludzie”, że coraz bardziej tam przeważają „synowie przedwczorajszych chłopów a nie przedwczorajszych ziemian”.

I któż takie rzeczy drukował? Redaktor naczelny „Słowa” Stanisław Cat-Mackiewicz, główny polski konserwatysta i monarchista.

Świat jest o wiele bardziej skomplikowany niż się wydaje amatorom panoram czarno-białych.

Praca i talent gustują w swym towarzystwie, lubią chadzać razem. Stanisław Mackiewicz pracował do końca. Zmarł 18 lutego. 12 lutego, w sobotę wieczorem gościł u siebie przyjaciela z ławy szkolnej i z wojska, pana Wacława Pac-Pomarnackiego, oraz jednego z literatów. Opowiadał o książce, którą zamierzał napisać. Miała to być rzecz o Zofii Tołstoj, żonie Lwa. Zdobył materiały, zgłębiał je. Mówił pasjonująco, z przejęciem, polotem. I dziwna rzecz, tak jak się zazwyczaj mówi o sprawach ojczystych. Nie było w jego wywodach ani cienia poczucia obcości, wrogości.

Tak mówił o rzeczach rosyjskich człowiek, który w „Zielonych oczach” opowiedział jak młody kawalerzysta, partyzant – po raz pierwszy w życiu usłyszał obok głowy świst kuli. A był to pocisk wystrzelony z karabinu rosyjskiego.

Kim był ten człowiek?

Stanisław Cat-Mackiewicz – pisarz polski. Pisarz polski… i coś więcej. On sam przecież siebie określił słowami, które wymówić trudno, tak bardzo wzruszają.

„Urodziłem się jako Polak, szlachcic litewski i miłości Wilna nikt nie wyrwie z mego serca”.

To był moralny pogrobowiec – spadkobierca Wielkiego Księstwa Litewskiego, Rzeczpospolitej Obojga Narodów, pierwszego w dziejach państwa dla wielu narodowości. Jego ukochane Wilno w roku 1655, w chwili swej wielkości i katastrofy, liczyło 23 kościoły katolickie, dziewięć cerkwi unickich, dwie prawosławne, świątynie ewangelickie – luterańską i kalwińską – bożnice Starego Zakonu, meczet tatarski. Już wtedy w XVII wieku mawiano, że nigdzie na świecie nie czci się Boga w sposób tak rozmaity, jak w Wilnie.

Prawdziwi dziedzice tych tradycji są odporni na ksenofobię, na odruchy wrogości wobec narodów, z którymi sąsiadować nam przyszło o miedzę lub na kontynencie.

Wielkie Księstwo Litewskie, Rzeczpospolita Obojga Narodów. Nie istnieją w polityce, nie ma ich na żadnej mapie. Żyją w innym wymiarze – w literaturze polskiej. Żyją w utworach Stanisława Mackiewicza, Cata.

Zakończyć wypadnie cytatem z dzieła Słowackiego, ucznia uniwersytetu wileńskiego. Dwaj bohaterowie dramatu gawędzą o pewnym wiekowym zamczysku:

„Stary dom.

Jeszcze potrwa.

Dłużej niż nas wielu!”

Po przytoczeniu przemówienia Jasienicy nad grobem Cata-Mackiewicza zajrzałam do sprawozdania z tego pogrzebu napisanego piórem jakiejś pani (płeć donosiciela poznaję po zaimkach). Otóż w opisie tym oprócz streszczenia wskazującego na dobrą pamięć i orientację w temacie autorka przedstawia uwagi, których nie mogła słyszeć, gdyż nie zostały wypowiedziane. Na przykład że Związek Dziennikarzy wyrządził Mackiewiczowi niezasłużoną krzywdę, usuwając go ze swoich szeregów.

Polska ma jeszcze długo odczuwać brak dobrego pióra publicysty, którego nie zastąpi nawet kilku dziennikarzy z tych najbardziej przez związek chwalonych i nagradzanych. Donosi też, że przemówienia wysłuchano z nabożeństwem i wśród śmiertelnej ciszy. Dodaje oczywiście spis rozpoznanych osobistości obecnych na pogrzebie – liczna reprezentacja arystokracji.

Inni „sprawozdawcy” z tej ceremonii podają znane sobie zestawy uczestników (literaci, opozycja, kombatanci).

19 grudnia 1966 roku tata został jednym z dwu wiceprezesów PEN Clubu. Drugim był Jerzy Zawieyski, a prezesem – Jan Parandowski.

Jesienią 1966 roku wraz z niedoszłym jeszcze mężem wybraliśmy się w podróż samochodem, z samym szefem i jego żoną jako pasażerami, w Pireneje w ramach wyprawy Klubu Wysokogórskiego. Nie nadszarpywaliśmy tych tysiąca dolarów taty, tylko mieliśmy własne przydziałowe 40 (tak, słownie: czterdzieści), jedzenie na miesiąc i sprzęt biwakowy w bagażniku i na dachu. Kupowaliśmy tylko benzynę, no i wino. Trochę nas wspomogli koledzy ze szwajcarskiego klubu w Lozannie, w Paryżu niezawodni państwo Jasnorzewscy, w Pirenejach na campingu wzbudziliśmy sympatię jakiejś zabłąkanej tam księżnej i powróciliśmy bez problemów do kraju.

Ojciec wyjechał do Francji dopiero 21 kwietnia 1967 roku. Zamieszkał u państwa Jasnorzewskich, zwiedził, co się dało, co bardzo ułatwiła mu Dorota, wożąc go samochodem.

Zachowało się kilka pocztówek z podróży, z których wynika, że najpierw zwiedzał Marsylię, Tulon, St. Maxime. Następnie 29 maja w towarzystwie Andrzeja Kelusa, naukowca poznanego podczas pisania książki o prof. Hirszfeldzie *Opowieści o żywej materii*, pofrunął do Londynu. Po powrocie do Paryża Dorota zapakowała państwa

Jasnorzewskich i tatę do samochodu i wszyscy udali się nad Atlantyk. Trasa: Orlean, Tours, Poitiers, Partnay, Croix de Vix, Fromantin, Nantes, Augers, St. Malo. Po tej podróży powstały później *Rozważania o wojnie domowej*. W jednym z zachowanych w archiwum Turowicza listów ojca do Anny Turowiczowej znalazłam takie podsumowanie wyprawy: (…) *ogromny katzenjamer, który przeżywam po powrocie z Francji i który ma niebezpieczne tendencje do pogłębiania się. Takie oto bywają skutki, kiedy się znajdzie Barbarzyńca w ogrodzie. Autora zaś wzmiankowanego dzieła spotkałem tamże. 21 maja w kościele Montmorency, podczas dorocznej uroczystości emigracyjnej, pamiętającej czasy J. Ursyna Niemcewicza, ktoś podchodzi do mnie po nabożeństwie, kiedy przy drzwiach formował się już pochód na cmentarz. Spojrzą aż to „paet Gierbert" we własnej osobie. Byliśmy potem w kawiarni Cluny i w knajpie chińskiej na bardzo ciekawej wystawie „parvis de Notce Dame". Wykopaliska, które sięgnęły w rzymską Lutecję. Najstarszy ślad chrześcijaństwa w Paryżu, IV wiek, szkiełko z tym samym znakiem, który był na chorągwiach Konstantyna Wielkiego. Tylko tyle. Och, Anno, gdziem nie był, czegom nie widział. Dzięki przyjaciółce Ewy tam stale mieszkającej i posiadającej auto, zrobiłem po Francji 6 tys. kilometrów. I to ciągle z podchmieloną babką przy kierownicy, bo czerwone wino pijaliśmy systematycznie podczas dejener na trawie, a wieczorami przeważnie calvados. Cztery duże rajzy: nad Morze Śródziemne, nad Atlantyk (Wandea tamtejsza kontrrewolucja 1793 zaczyna mnie niebezpiecznie interesować, oczywiście literacko), nad La Manche do Normandii i Bretanii, no i na wschód do Lotaryngii… (…) Byłem również w Gravelotte, w miejscu przewag Bartka Zwycięzcy. Byłem również tam, gdzie polscy publicyści powinni odbywać pielgrzymki, czyli Cerizay… Przypomnij sobie Gaszona de Cerizay, któremu się zmarło 18 II 1966, kiedy*

ja bawiłem w Krakowie. To Cerizay leży w dobranym regionie Francji w Wandei.

Z podróży tata przywiózł parę ładnych reprodukcji, trochę wina, a dla mnie wtedy najbardziej modną sukienkę i płaszczyk. Z jakichś lepszych sklepów, nie żadne „monoprixy". Tata nigdy nie dusił grosza, czy go było dużo, czy mało. Sprawiało mu przyjemność zakupienie czegoś w dobrym gatunku i obdarowanie najbliższych. Do dziś mam parę sztuk naprawdę ze smakiem dobranej srebrnej biżuterii podarowanej mi przez niego i często słyszę pochlebne uwagi, gdy ją zakładam. Pomagał również finansowo, nie afiszując się z tym wcale, bliższym i dalszym krewnym.

Po powrocie taty do kraju miało miejsce w naszym domu wydarzenie, do którego ostatnio często powracam pamięcią. Nasze mieszkanie na Dąbrowskiego wymagało od dawna remontu. Korzystając z nieobecności ojca, postanowiliśmy nieco je odświeżyć. Odmalowaliśmy ściany, coś pozmienialiśmy, poprzestawiali. Wyglądało znacznie lepiej. W tym samym czasie staliśmy się właścicielami magnetofonu. Kiedy tata miał powrócić, postanowiliśmy nagrać jego wypowiedzi na widok odnowionego wnętrza. Magnetofon ukryliśmy. Rzeczywiście padły słowa zachwytu i uznania. Po pewnym czasie odtworzyliśmy je. Taty mało nie trafił przysłowiowy szlag. Zrugał nas okropnie od podłych podsłuchiwaczy. Krzyczał, że w żadnym wypadku takich rzeczy potajemnie robić nie można i nic nie usprawiedliwia tego rodzaju postępków. Nawet perspektywa niewinnej zabawy. Nie wiedział, że od dawna jest znacznie poważniej nagrywany. Ciekawe, jak skomentowałby sam fakt i jego konsekwencje podsłuchiwania uczt u „Sowy i Przyjaciół".

Dzięki skrupulatnym raportom, jakie spływały do Inspektora Wydziału III Dep. III MSW wiem, co jeszcze działo się podczas wyjazdu do Francji. Z okresu pobytu w Paryżu tajny wywiadowca uznał za interesujące

z *politycznego punktu widzenia tylko trzy momenty: spotkanie z polskim historykiem, żyjącym na emigracji Pawłem Zarębą, pobyt u Geodroycia w domu, gdzie mieści się całe towarzystwo prowadzące „Kulturę" paryską oraz wieczór autorski w prywatnym klubie zakonnika z Polski Benedyktyna z Tyńca ks. Placyda Galińskiego.* Klub ten według TW miał być finansowany przez kardynała Wyszyńskiego. W Londynie, jak się okazuje, tata był w Klubie Polskim, *wpisał się do księgi gości, ale mimo to nikt nie wykazał nim zainteresowania.* (TW to osoba o pełnej świadomości współpracy, najwyższa kategoria współpracownika służb specjalnych PRL, dziś sygnalizator).

W uzupełnieniu raportu dodano, że tata powrócił 4 lipca samolotem, którym leciał premier Cyrankiewicz i w związku z tym nie było dokładnej odprawy celnej, a nabyte przez niego trzy książki wydane przez „Kulturę" paryską Jasienica przesłał do kraju na adres ZLP, ale dwie z nich zginęły. Z innych donosów wiadomo było, że tym kanałem przesyłano zakazane książki wielu literatom, a bibliotekarka zamieszana w proceder była od dawna obserwowana (miała na imię Krystyna i lat około 50).

Nie jest moim zamiarem przepisywanie elaboratów z teczek. Może nie zgrzeszę tu nadmiernym zarozumialstwem, twierdząc, że na to nie zasługują. Ale niekiedy cytuję ciekawostki, na przykład to, że dokładniejsze wiadomości z pobytu P.J. za granicą TW zdobędzie podczas wspólnego wyjazdu do *Wilgi nad Pilicą**. Zastanawiałam się długo, czy w ogóle należy podpierać się tą w sumie szmatławą literaturą, pisząc o czymkolwiek. Ale zaczęłam jeszcze raz czytać *Dwie drogi*. I tam poniekąd znalazłam odpowiedź, że tak robić można i nawet trzeba. Bowiem wiele szczegółów dotyczących powstania styczniowego poznajemy dzięki lekturze zeznań pisanych przez uczestników oraz sprawozdań i statystyk więziennych.

We wrześniu 1967 roku spodziewano się w Polsce odwiedzin generała de Gaulle’a. Na towarzyskim spotkanku u Wańkowicza Jasienica podzielił się z obecnymi wiadomością zasłyszaną od Pawła Hertza o projekcie spotkania generała nie tylko z prymasem Wyszyńskim, ale też z pisarzami. Projekt tego drugiego spotkania upadł, gdyż sprzeciwił mu się ostro Putrament, twierdząc: *nasze środowisko literackie jest na tyle nieodpowiedzialne w swych wypowiedziach, ażeby można było dopuścić do tego rodzaju spotkania. Skutki mogłyby być nieprzewidziane i wręcz przykre.*

De Gaulle przyjechał, z literatami się nie widział, Gomułka poinformował go o całkowitej zależności Polski od Związku Radzieckiego, dając tym samym odpór propozycji partnerstwa dla pokoju wysuniętej przez generała. A knujący literaci uznali za konieczne zwołanie Zjazdu Oddziału Warszawskiego ZLP celem omówienia nabrzmiewającego problemu, jaki pojawił się po czerwcowym konflikcie zbrojnym Izraela z trzema państwami arabskimi, a mianowicie wzięcia w obronę szykanowanych pisarzy pochodzenia żydowskiego.

2 października 1967 roku rozpoczął się proces Niny Karsov. Na prośbę jednego z jej obrońców Władysława Siły-Nowickiego mężami zaufania zostali mój tata i Maria Ossowska. Drugim obrońcą był Jan Olszewski. Przestępstwo polegało na znalezieniu u pozwanej podczas kontroli na granicy wrogich Polsce materiałów, to jest nagranej opery Szpotańskiego, jakiegoś prywatnego dziennika tej pani (300 stron) oraz artykułu rzekomo Leszka Kołakowskiego pod tytułem *Co to jest socjalizm*, który to tekst w wielu egzemplarzach krążył wśród studentów UW.

Proces komentowało Radio Wolna Europa, a sędziną była zasłużona podczas tajnych stalinowskich procesów pani Białowąs. Tata podczas całego procesu zachowywał się okropnie lojalnie, unikając szczegółowych

komentarzy. Ograniczył również spotkania z zamieszanymi w sprawę ludźmi dla uniknięcia ewentualnych podejrzeń. Wyrok opiewał na trzy lata.

Jeszcze nie zakończył się proces Niny Karsov, a już planowano przykładne ukaranie Janusza Szpotańskiego, który wsławił się wieloma utworami rymowanymi, nie całkiem pochlebnymi dla partyjnych przywódców. Szczególnie dużo strof poświęcił towarzyszowi pierwszemu sekretarzowi, który był bohaterem opery *Cisi i Gęgacze, czyli Bal u Prezydenta*. Gomułka występował tam jako „Gnom", a opera zaczynała się od słów: *Gnomie coś Polskę przez tak długie lata wpędził skutecznie w bez wyjścia kabałę* i tak dalej. Dzieło to raczej literackie nie było, choć w miarę dowcipne, odtwarzane na różnych imprezach, a do dobrego konspiracyjnego tonu należało cytowanie jego fragmentów. Niektóre pamiętam do dziś. Tata też niekiedy to podśpiewywał. Tu muszę wtrącić, że wokal miał słaby. Z głosem nawet jako tako, ale słuch raczej w zaniku. Zresztą w ogóle tata miał kłopoty ze słyszeniem. Nie odziedziczył żadnego talentu po swoim ojcu, który oprócz tego, że był agronomem, to ukończył jeszcze konserwatorium muzyczne w Paryżu i po wojnie zarabiał jako nauczyciel muzyki. Mam i ja ten antytalent muzyczny po tacie.

Wracając do szykującego się procesu, chodziły wieści, że znów Jasienica byłby mile widziany jako mąż zaufania pozwanego, któremu groziło 5-6 lat więzienia. Jednak tym razem ojciec nie wyrażał chęci, twierdząc, że to już przesada, niech ktoś go zastąpi. Z przemówienia towarzysza Wiesława dowiedziałam się, że zrobił to Kisiel.

Sprawą interesowało się wiele osób, wśród nich tak znakomite postaci, jak: Wańkowicz, Lipski, Słonimski. Ostatecznie 19 lutego 1968 roku wydano wyrok: trzy lata i opera zmieniła tytuł. Od tej pory była *Operą za trzy lata*.

* Wilga nie leży nad Pilicą, ale cytuję za autorką donosu.

AKTA PĘCZNIEJĄ

W PZPR nabrzmiewały coraz bardziej antyżydowskie nastroje, a w Teatrze Narodowym wystawiano *Dziady* w reżyserii Dejmka. Publiczność dopatrzyła się (nie bez powodu) antyrosyjskich fragmentów, które jakoś kojarzyły się z aktualną sytuacją w kraju. Aplauz widowni w odpowiednich momentach był jednoznaczny. Taki stan rzeczy nie mógł trwać długo i na polecenie partyjne od 30 stycznia 1968 roku zakazano dalszych przedstawień. Wywołało to natychmiastową reakcję młodzieży. Odbyło się manifestacyjne przejście pod pomnik Mickiewicza, żądanie dalszych przedstawień, w konsekwencji grzywny i kary dyscyplinarne dla najaktywniejszych, wywodzących się ze środowiska tak zwanych komandosów, młodzieży kontestującej aktualną rzeczywistość. Byli to przeważnie studenci UW, rodzice niektórych zajmowali ważne stanowiska partyjne. Część z nich, jak to mówi się obecnie w pewnej rozgłośni i niektórych mediach, była polskojęzyczna.

Nie jestem pewna, czy przytoczony poniżej utwór poetycki to dzieło Szpotańskiego. Jednak trafnie oddaje paranoję tamtego okresu:

Gdy jechał Łupaszko ze swoim szwadronem
Wydawał rozkazy żydowskim żargonem
Ujawnić czas wreszcie, choć wielki to wstyd:
Łupaszko po prostu parszywy był Żyd
Na niecne rozboje morderczą wiódł szajkę,
Doradcę miał Żyda, kochankę miał Czajkę.
I rzekł do Nowiny Łupaszko: „serdeńko,
At, trzeba nam spalić tę wioskę maleńką!”

Gdy zdrady nikczemnej opuścił manowce
Przebiegły „Nowina” przedzierzgnął się w owcę

Pod nocy osłoną, pod wieszcza pomnikiem
Spotykał się Dajan z niejakim Michnikiem
I plując na Polskę krzyczeli: „Aj – waj,
Czas stworzyć nareszcie syjonistom tu raj!”

Gdy partię kochaną tak rozbić nam pragną,
Na szczęście wnet wkracza generał nasz Bagno!

Knujący literaci szykowali się do wyrażenia swojego stanowiska w sprawach *Dziadów* i antysemickich nastrojów na najbliższym nadzwyczajnym zebraniu Oddziału Warszawskiego ZLP zaplanowanym na 29 lutego 1968 roku. To, co się wtedy działo i jakie miało konsekwencje, opisały osoby bardziej kompetentne ode mnie, a i wraca się do tych wydarzeń każdego roku w marcu, przytoczę więc tylko to, co ojciec w tym dniu zanotował:

Poranek 29 lutego 1968 roku, który to dzień przeszedł do historii jako data protestacyjnego zebrania literatów warszawskich, poranek ten spędziłem na Cmentarzu Powązkowskim, samotnie. Było to zaiste najbardziej właściwe miejsce do rozmyślań o tym, co miało odbyć się wieczorem. Nie łudziłem się ani przez chwilę, nie wierzyłem w doraźny skutek protestu. Co razem wzięte wcale nie zwalniało od dotkliwie odczuwanego obowiązku. Z własnej inicjatywy nie naradzając się z nikim, postanowiłem poprzednio, że wystąpię, złożę wniosek o tajne głosowanie, a w przemówieniu podniosę między innymi sprawę antysemityzmu. Nic to nie pomoże, niczemu nie zapobiegnie, lecz zgodne będzie z tą najprostszą i najbardziej słuszną filozofią życiową, która nakazuje przestrzegać przyzwoitości.

Stosunek taty do osób wyznania mojżeszowego, jak zwykł mawiać, był niekiedy żartobliwy. Potrafił pokpiwać z ich niezbyt wygórowanej odwagi,

nie stronił też od opowiadania żydowskich dowcipów. Nie traktował problemu jako tabu, którego nie wypada tykać. Sam był zaprzyjaźniony z wieloma osobami takiego pochodzenia, jak na przykład z państwem Golde. Bardzo mu się podobało, że i wśród moich przyjaciółek są liczne przedstawicielki narodu wybranego. Doceniał ich inteligencję i poczucie humoru. W sprawach zasadniczych był zdecydowany występować przeciwko wszelkim objawom antysemityzmu, chamskim odzywkom czy wręcz represjom, do jakich coraz częściej w kraju dochodziło.

I temu też dał wyraz w swoim wystąpieniu, wypowiadając zresztą prorocze słowa. Obecnie mamy tego najlepszy dowód, kiedy musimy prostować wyrażenie: „polskie obozy zagłady", co nie do końca dobrze nam wychodzi. I na dodatek usiłujemy zdumionemu światu wmówić, że to także ofiary były sprawcami swego losu. Każdemu, kto chce publicznie wypowiadać się w sprawie Holocaustu, polecałabym przeczytanie książki Anny Bikont o działalności Ireny Sendlerowej.

Przemówienia według stenogramu zawartego w ubeckiej teczce założonej dla sprawy operacyjnej o kryptonimie „Kołodziej" zamieszczam w całości poniżej. Zebraniu przewodniczyła Wanda Żółkiewska.

Najpierw Jasienica złożył dwa wnioski, które zasadniczo wpłynęły na cały przebieg zebrania. Pierwszy dotyczył umieszczenia jako dodatkowego punktu, przed wolnymi wnioskami, omówienia projektu rezolucji (już przygotowanej), a dotyczącej ostatnich wydarzeń. Drugi to wniosek o tajne głosowanie nad przyjęciem tejże rezolucji. Oba te wnioski zostały przyjęte.

Jasienica był kolejnym mówcą i oto co powiedział:

Proszę Państwa, w przemówieniu kol. dyrektora Balickiego padło parę pytań, o ile dobrze sobie zapisałem i jedno z nich brzmiało: kto został tu bardziej dotknięty decyzją zdjęcia „Dziadów": autor czy inscenizator? Wydaje mi się, że ktoś trzeci – naród (oklaski.)

Z „Dziadami” Mickiewicza, całą twórczością jest trochę tak jak z katedrą wawelską – każdy prywatnie może uważać za kicz architektoniczny, ale nikt nie jest władny ruszyć ani jednego kamienia.

Wysłuchawszy przemówienia dyrektora Balickiego zadaję sobie pytanie, jak mogło dojść w Polsce, jak było w sprawie „Dziadów”, a co nie było do przewidzenia, że tak gorąco zareagowało społeczeństwo, jak można było podjąć taką decyzję? Bo wiemy, że pomnik Mickiewicza na Krakowskim Przedmieściu stoi, ale wtedy, kiedy go stawiano, nie wolno było wygłosić ani jednego przemówienia.

Jeżeli ktoś choruje na alergię, to nie dlatego, że jest niegrzeczny, czy jakiś inny, ale dlatego, że istnieją po temu jakieś konkretne powody.

Przypomnę, zacytuję znowu fragment w postaci słów przemówienia dotyczącego tego, że demonstracje chyba nie były na wszystkich przedstawieniach, bo słyszałem od osób, które były na takich spektaklach „Dziadów”, gdzie nie było ani żadnych oklasków, ani żadnych uwag rzuconych. A było powiedziane, że organizowały je jednostki i że te jednostki kilkakrotnie wracały.

O ile mi wiadomo, to od początku, do pierwszej dekady lutego bieżącego roku, kiedy zdjęto „Dziady”, to w rozgłośniach europejskich i amerykańskich ukazało się 70 audycji poświęconych „Dziadom”. Zabierały głos poważne dzienniki światowe. Nie chorujmy na zaściankowość. Nie zwracajmy uwagi na to. Że „Wolna Europa” mówiła tak dużo, bo ważniejszy na świecie jest „New York Times”, aniżeli „Wolna Europa”. I teraz proszę porównać niewspółmierność zjawisk. Czy rzeczywiście te pojedyncze zdarzenia wskazują na wagę tego, że ma być podniesiony krzyk na cały świat. Jak mogło dojść do tego, żeby uważać za tak niewspółmiernie wielkie zło tamte demonstracje. Moim zdaniem to jest rzecz nie zasługująca politycznie na uwagę, a z drugiej strony na rozgłos

światowy, bo taki rozgłos ma sprawa zdjęcia utworu Mickiewicza, ale jak mogło dojść do tego rodzaju decyzji?

Mnie się zdaje, że to jest logiczne. To są logiczne skutki rządzenia nie tylko bez kontroli, bez odpowiedzialności, ale bez jakiejkolwiek konfrontacji z opinią publiczną.

Szanowni Koledzy, nie miejcie mi za złe, że nie będę zbytnio rozszerzał płaszczyzny dyskusji, chociaż pokusy są tutaj niemałe. Postaram się być w miarę możliwości powściągliwy i nie będę w miarę możliwości nadużywał wielkich słów.

Jestem jednym z tych, którzy podpisali żądanie zwołania dzisiejszego naszego zebrania.

Opinię publiczną ma wyrażać prasa. To jest jej zadanie. Niestety prasa nasza pisze wyłącznie to, co się czynnikom rządowym podoba, powodując wiele zła, brak wyczucia tego o co chodzi w społeczeństwie, jak społeczeństwo myśli, reaguje na kwestię „Dziadów" Mickiewicza, zdjęcie tego przedstawienia. Nie wolno zapominać, że nie jesteśmy sami. Niedawno sejm otrzymał krótki, zaledwie 2-3 zdania protest studentów warszawskich. Ten protest podpisało 3140 ludzi (oklaski).

Nie jesteśmy sami, ale proszę państwa, ten ruch, ten ruch wśród młodzieży wywołał zarówno komentarze, jak stał się katalizatorem pewnych rzeczy. Według mnie ta młodzież, która demonstrowała przeciw decyzji zdjęcia „Dziadów" jest młodzieżą dobrą, tą, która dowodzi, że obchodzi ich coś więcej poza własną karierą (oklaski). Że ktoś tak czy inaczej podczas demonstracji się zachowywał, byłoby źle, gdyby ludzie mający lat 20 zachowywali się nadto rozsądnie. Wtedy jest zupełnie źle. Wtedy zbyt wielki tryumf świeci nasza mała stabilizacja, mówiąc po staremu – mieszczańskie karierowiczostwo (oklaski).

Ten ruch stał się pewnym katalizatorem pewnych zjawisk wśród studentów. Ja państwu coś przeczytam, pewien wiersz, który był kolportowany na Uniwersytecie Warszawskim:

„Wieszcz narodu zszedł na dziady.*

Ty studencie piwko ciągnij, czekaj na oklaski."

(Głosy: to jest hańba, co to za prowokacja)

Może ja skończę. Rzeczywiście hańba, panowie mają rację, tylko komu?

Proszę państwa. Miło mi zawiadomić zebranych, że wczoraj na Uniwersytecie Warszawskim na wydziale historii odbyło się zebranie pracowników naukowych tego wydziału, poświęcone protestom przeciw ulotkom antysemickim na uniwersytecie (oklaski).

Gdyby tego rodzaju ulotki (przedwczoraj jedna prowokacyjna zalała Uniwersytet), gdyby tego rodzaju ulotki nie kursowały po Uniwersytecie, to pracownicy naukowi nie mieliby powodu się zbierać. Że się zebrali – najlepszy dowód, że nie wymyślam. Protestuję przeciwko hańbie, bo to niewątpliwie jest hańba.

Nie ma co ukrywać, że sprawa Mickiewicza, sprawa zdjęcia „Dziadów" wyciągnęła na wierzch antysemityzm (głosy: co to za bzdura? Co to za problem?).

Ja mówię o tym, apelując przede wszystkim do zjawisk natury moralnej, do uczuć moralnych, ale proszę państwa, istnieje jeszcze problematyka polityczna, że dzisiaj jakikolwiek akcent antysemityzmu, tego rodzaju wystąpienia, czy coś co może być o to podejrzane w naszym położeniu jest wiązaniem sobie kamienia młyńskiego na szyi, niczym więcej. Bo wystarczy rozejrzeć się po świecie, żeby się zorientować, że odbywa się wielki proces zdejmowania odpowiedzialności za zbrodnie hitlerowskie i przerzucania na nas. O tym pisze prasa na świecie, co do nas nie dochodzi. Te wszystkie rzeczy temu procesowi tylko pomagają, dostarczają argumentów.

Sądzę, że mało było wypadków równie szkodliwych dla nas politycznie w Europie, na świecie, jak atmosfera w jakiej toczył się proces. Jeżeli tak umiarkowane pismo jak „Monde" mógł przytoczyć tego rodzaju słowa: „Sale Juif" padające rzekomo w Polsce, nad tym się trzeba zastanowić. Nie mówię o tym, żeby kogoś drażnić, ale wiecie państwo, od 40 lat zajmując się historią polityczną, jakiej takiej biegłości w myśleniu politycznym nabrałem.

Przypominają mi się pisma Woltera, dotyczące spraw polskich, dotyczące mniej więcej rządów Stanisława Augusta. On na całą Europę wyciągnął zupełne drobiazgi, świadczące o polskim braku tolerancji. Trzeba zdać sobie sprawę, że taką opinię mamy i robić co jest możliwe, żeby tej opinii zapobiec.

Ale tego rodzaju ulotki kursujące na Uniwersytecie (kol. Putrament: protestuje Partia, to jest prowokacja).

Może ja skończę, wtedy panowie będą mieli okazję mówić (kol. Międzyrzecki: Proszę nie przerywać mówcy).

(Głos: Przecież tego nie napisał Jasienica).

Kończę przemówienie. Muszę ustosunkować się do deklaracji. Uważam – trafia mi do przekonania deklaracja kolegi Kijowskiego, napisana rzeczowo, spokojnie, a sądzę, że trzeba przemawiać rzeczowo i mocno.

Konsekwencją tego zebrania, gdzie oprócz mowy taty ze swoją słynną dyktaturą ciemniaków wychylił się Kisiel, było przemówienie Gomółki na zjeździe PZPR 19 marca. Ale zanim doszło do zjazdu, trwały na Uniwersytecie Warszawskim kolejne protesty w związku z relegowaniem z uczelni Adama Michnika i Henryka Szlajfera, którzy nie dość że bardzo czynnie uczestniczyli 30 stycznia w demonstracji, to jeszcze opowiedzieli o niej korespondentowi „Le Monde".

Słowa o szkodliwości dla naszego państwa wszelkich antysemickich wystąpień wygłoszone dokładnie 50 lat temu, w 1968 roku, pasują całkowicie do obecnej sytuacji w roku 2018. Tak jak w tamtym okresie pracujemy pilnie nad utrzymywaniem opinii o Polsce jako kraju słynącym z nietolerancji i współodpowiedzialnym za Holokaust. Poszerzyliśmy dodatkowo spis niemile widzianych ludzi o tych różniących się od nas kolorem skóry. Wielu rodakom to się coraz bardziej podoba. Jak głosił Młynarski: *Ludzie to lubią, ludzie to kupią, byle na chama, byle głośno, byle głupio*. A dobra zmiana w edukacji młodych jakoś na ten temat milczy. Odnosi się wrażenie, że duch Gomułki czuwa.

4 marca TW sprawnie i szybko donosi, że Lipski namówił Jasienicę do napisania petycji do rektora Uniwersytetu w obronie represjonowanych studentów. Gdy petycja była gotowa, zabrał ją celem zebrania podpisów. Jednocześnie informuje o planowanej na środę 8 marca manifestacji młodzieży na uniwersytecie.

Manifestacja rzeczywiście się odbyła i przeszła do historii jako „Pała dla Ewy”. (Dzień Kobiet był w PRL obchodzony pod hasłem „Kwiatek dla Ewy”. Byłyśmy obdarowywane słynnymi goździkami i niekiedy – za pokwitowaniem – parą rajstop. Co bogatsze firmy wypłacały nagrody pieniężne, które na ogół stanowiły bazę materialną bankietów wydawanych dla kolegów z firmy dla uświetnienia tego święta).

Natomiast rektor otrzymał pismo następującej treści:

Nadawca: Paweł Jasienica, zam. J. Dąbrowskiego 75 b
Adresat: Do Jego Magnificencji
Pana Rektora Uniwersytetu Warszawskiego
Prof. Dr. Stanisław Turski
Warszawa, Krakowskie Przedmieście 26

Warszawa, 3 marca 1968

WPan Profesor Doktor Stanisław Turski

Rektor Uniwersytetu Warszawskiego

Magnificencjo!

Fakt zakazu przedstawień „Dziadów" mickiewiczowskich inscenizacji Kazimierza Dejmka głęboko dotknął i rozgoryczył tę część społeczeństwa, której losy kultury narodowej nie są obojętne. Deklaracja, uchwalona przez nadzwyczajne walne zebranie Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich w dniu 29 lutego br. określiła to rozgoryczenie jako słuszne.

Młodzież akademicka pierwsza zaprotestowała przeciwko zakazowi, składając przez to dowód postawy obywatelskiej. Jesteśmy przekonani, że ten jej postępek w piękny sposób wzbogaci historię wyższych szkół warszawskich.

Dowiadujemy się obecnie, że kilku spośród tych studentów wytoczono sprawy dyscyplinarne.

Apelujemy do Jego Magnificencji, by mocą swej władzy rektorskiej zechciał umorzyć postępowanie dyscyplinarne przeciwko młodym ludziom, którzy – naruszając, być może, przepisy porządkowe – okazali się wiernymi kulturze narodowej i ogólnoludzkiej.

Prosimy o przyjęcie wyrazów naszego szacunku.

Podpisali: Paweł Jasienica, Tadeusz Konwicki, Mieczysław Jastrun, Antoni Słonimski, Jerzy Andrzejewski, Adam Ważyk, Jacek Bocheński, Melchior Wańkowicz.

W tym samym dniu, 3 marca, list ten jako materiał tajny specjalnego znaczenia został przedstawiony przez oficera prowadzącego stosownym władzom do wykorzystania.

Popełniliśmy nieświadomie z mężem wielki błąd, wtajemniczając ojca, że zostanie dziadkiem gdzieś na przełomie września i października. Bardzo się ucieszył, pogratulował nam, po czym my pojechaliśmy w Bieszczady. Po kilku dniach dotarła do nas wiadomość, że tata domaga się naszego powrotu. Wróciliśmy i zdążyliśmy jeszcze wysłuchać przemówienia Gomułki. W odniesieniu do ojca padły oskarżenia dotyczące jego udziału w powojennych walkach w „bandzie «Łupaszki»”. Gomułka zarzucił ojcu udział w napadzie na wieś Narewka (gdzie rozbrojono kilku milicjantów i zrabowano broń, zamordowano czterech członków PPR i obrabowano spółdzielnię), kierowanie akcją wykonania wyroku śmierci, kierowanie akcją napadu na dwudziestoosobową grupę członków Związku Walki Młodych, napad na posterunek MO w Boćkach, podczas którego zamordowano kilku funkcjonariuszy, uczestnictwo w spaleniu wioski zamieszkałej przez ludność białoruską, uczestnictwo w napadzie na spółdzielnię w Siemiatyczach i dwóch napadach na oddziały WP i Armii Czerwonej.

Parę dni przed ogłoszeniem tych rewelacji tata oznajmił, że na pewien czas znika z domu na Dąbrowskiego, gdyż lepiej, żeby nikt nie wiedział, co teraz robi i gdzie jest. Więc zostaliśmy z ciotką Stanisławą, mężem i młodą osobą w moim brzuchu. Został też niewyłączony telefon. Wtedy wyrazy poparcia i przyjacielskie odruchy przekazywane po drutach zaczęły się mieszać z pogróżkami ze strony aktywu partyjnego głównie z zakładów pracy niewiele mających wspólnego z literaturą. Dzwonili też rzekomi mieszkańcy podlaskich wsi, których w swoim czasie niepokoiła „banda «Łupaszki»”. Prasa codzienna prześcigała się w opisywaniu bezeceństw, jakich się dopuszczał Jasienica po wojnie. Nie zapominano i o pozostałych uczestnikach słynnego zebrania. Kontakt telefoniczny mieliśmy też z ojcem, który zamieszkał u swojej, jak twierdził, znajomej, u której miał

zapewniony spokój i czuł się bezpiecznie. Znajomą tę poznałam już wcześniej. Niedługo przed opisanymi wyżej zdarzeniami przyszła do mnie do pracy zaanonsowana uprzednio przez ojca. Opowiedziała trochę o sobie. Mówiła, że była uczestniczką powstania warszawskiego, później wywiezioną do oflagu, gdzie poznała swego przyszłego męża, Irlandczyka. Pobrali się, urodził się im syn. Niestety szybko nastąpił rozwód. Ta pani po powrocie do kraju studiowała dziennikarstwo, ale z powodów politycznych została relegowana. Pochodzi z bardzo dobrej ziemiańskiej rodziny z okolic Opatowa. Jest wielką wielbicielką talentu Jasienicy, którego poznała na jednym z jego odczytów. Bardzo się przyjaźnią i dlatego zaproponowała mu schronienie w swoim mieszkaniu na Wilczej. Wiedziała o moim błogosławionym stanie i radziła, abym starała się nie denerwować. Zrobiła na mnie dobre wrażenie. Zgrabna, ubrana ze skromną elegancją, niezbyt piękna, ale efektowna. Tak około czterdziestki, zadbana. Zaakceptowałam sytuację.

Z gazet i telefonu wiało trochę grozą. Z bramy uniwersytetu pozdejmowano już szkalujące ustrój hasła, z których jedno brzmiało: *Czytaj „Świerszczyka”, on jeden nie kłamie.*

Wielki przyjaciel ojca – pułkownik Jan Rzepecki – też chyba uznał sytuację za nieco niebezpieczną, gdyż codziennie rano przychodził do naszego domu, by odprowadzić mnie do pracy. Nie bardzo wiem, jak mógłby zapobiec ewentualnym spontanicznym odruchom oburzonego ludu chcącego mnie skrzywdzić, ale do dziś myślę z wdzięcznością o tym jego poświęceniu. Nikt z naszych znajomych w tym czasie nie udawał, że nas nie zna. Wyrazy solidarności i sympatii dochodziły do mnie zewsząd. Najbardziej rozczulająca była propozycja uruchomienia jeszcze istniejącej kryjówki, w której podczas okupacji przebywali Żydzi. Tata jakoś nie chciał skorzystać.

Teczka pozwala odświeżyć mi pamięć, że dzwonili do nas: Stomma, Golde, Kisielewski, Żuławski, Grochowiak, Krzysztoń, Siła-Nowicki, płk Zieleniewski, a Wańkowicz przysłał kwiaty. Przychodziło też dużo listów, między innymi ten od naukowców z Bydgoszczy, pod którym widniało 130 podpisów, wyrażający ubolewanie z powodu nagonki na Jasienicę i wyrazy uznania dla jego twórczości.

W tym czasie pracowałam w Instytucie Techniki Budowlanej i nie doznałam nawet najmniejszych przykrości ze strony partyjnych towarzyszy. Choć tak naprawdę to żadnych sobie w tej firmie nie przypominam. Dlatego ze zdziwieniem przeczytałam teraz w teczce, że ITB „odcina się" i potępia wichrzycieli w postaci tych okropnych literatów. Był to zresztą jedyny naukowy instytut, który się do tej akcji potępiania i odcinania przyłączył. Chyba naprawdę nie miał wyjścia. Z zachowanego donosu z dn. 20 kwietnia 1968 dowiaduję się, że pod ITB zaobserwowano samochód – tu podano numer rejestracyjny naszego wartburga, na którego tylnym siedzeniu siedział Jasienica oraz kobieta, a z przodu dwóch mężczyzn. A dalej, że w dniu 19 kwietnia w powyższym instytucie odbyło się zebranie POP, na którym wykluczono z szeregów PZPR dyrektora instytutu pochodzenia żydowskiego.

Czołowym autorem informującym na łamach prasy złaknionych tych wieści czytelników był Ryszard Gontarz, którego Dariusz Fikus nazywa trafnie „gangsterem pióra". Nie będę cytować dosłownie wypowiedzi Gontarza z obawy przed ewentualnym procesem o naruszenie praw autorskich tego niezwykle cenionego (przez mocodawców) publicysty. No, ale trochę spróbuję opisać własnymi słowami.

Po pierwsze teza: Jasienica, Kijowski, Słonimski, Kisielewski, Grzędziński, Andrzejewski, Kołakowski to grupa, z której inicjatywy

zwołano zebranie OW ZLP celem sprowokowania młodzieży akademickiej do manifestacji.

Realizacja: na zebraniu padły ostre i demagogiczne słowa skierowane przeciwko władzy ludowej i socjalizmowi. Po zebraniu Jasienica przekazał prowodyrom zajść na uniwersytecie – Michnikowi i Grudzińskiej – materiały z zebrania, co stało się przyczyną dalszych ekscesów. Logiczna konsekwencja tych nieodpowiedzialnych poczynań: należy z pełną bezstronnością przedstawić zaciekawionemu społeczeństwu sylwetki zarówno prowokatorów, jak również opisać glebę, na którą padło zasiane przez nich ziarno rewizjonizmu.

Tak to na pierwszy ogień poszła bandycka działalność Jasienicy. Reporterzy wysłani na Podlasie donoszą o czynach „bandy «Łupaszki»”, całe ich zło przypisując Jasienicy. Czyny te potępiają nie tylko poszczególni ludzie, ale też młodzież robotnicza, studencka i uczniowska Białostocczyzny zebrana na wiecu 13 marca 1968 roku. Potępia i domaga się usunięcia wichrzycieli z szeregów ZLP ze szczególnym uwzględnieniem wyżej wymienionego.

No, ale Jasienica to nie jedyna czarna owca w tym doborowym towarzystwie. Teraz czas pokazać, kim jest syjonista Słonimski, odszczepieniec, zasiadający przy kawiarnianym stoliku w PIW, rzucający kalumnie na polski naród. Po odbyciu narad politycznych z Kisielewskim, zwolennikiem porozumienia z NRF na gruncie haniebnego „przebaczamy i prosimy o przebaczenie”, uczy politykierskiej gry młode potomstwo byłych, a niekiedy i obecnych prominentów na ogół niedobrego pochodzenia, które spotykało się w Klubie Babel i Klubie Raczkujących Rewizjonistów i nad którym opiekę roztoczyli w swoim czasie Bauman, Brus i Kołakowski.

Gazety ukazujące się w końcu marca i jeszcze w kwietniu postulowały – w ślad za informacją PAP – *Wniosek o usunięcie z szeregów związku. Uchwała literatów – członków PZPR i ZSL w sprawie J. Grzędzińskiego, P. Jasienicy i S. Kisielewskiego* – powtarzała ciągle te same zarzuty w odniesieniu do Jasienicy, a Kisielowi zarzucała wykorzystywanie od dawna forum literackiego do ataków na politykę kulturalną państwa i partii, którą nazywał „dyktaturą ciemniaków". Co do Grzędzińskiego, został on uznany za współpracującego z ośrodkiem dywersji ideologicznej i politycznej, czyli z paryską „Kulturą", poza tym przyznano, że na feralnym zebraniu 29 lutego obraził Polskę Ludową. W ślad za kolegami stołecznymi pośpieszyli literaci i dziennikarze bydgoscy, którzy uchwalili na plenarnym zebraniu oddziału ZLP stosowną rezolucję popierającą politykę kulturalną państwa, natomiast na zebraniu POP PZPR przy redakcji „Nadodrze" w Zielonej Górze wystosowano list do towarzysza Wiesława, w którym całe środowisko odcięło się od reakcyjnych poczynań i solidaryzowało z polityką partii reprezentowaną przez adresata listu. W Lublinie dziennikarze ze wszystkich redakcji spotkali się z kierownictwem KW PZPR i podjęli uchwałę, zobowiązując się do wzmożenia walki z wszelkimi antypartyjnymi i antypolskimi postawami.

Nie mogło też zabraknąć głosu Rady Uczelnianej Politechniki Warszawskiej potępiającego tych, którzy nadużyli zaufania młodzieży. Polskie Towarzystwo Ekonomiczne również postanowiło zwalczać na własnym terenie obce wpływy ideologiczne w naukach ekonomicznych i w środowisku ekonomicznym. Skutki tego – niestety dotrzymanego zobowiązania – odczuwamy w kraju po dzień dzisiejszy.

Problem inspiracji i tendencyjnej, niepełnej oraz zakłamanej informacji o marcowych wydarzeniach Radia Wolna Europa poruszył Klaudiusz Hrabyk w „Życiu Warszawy" w artykule *Współudział monachijskiej*

agentury (6 kwietnia 1968). Agentura ta nie informuje o falach propagandy syjonistycznej w różnych krajach zachodniej Europy wymierzonych w Polskę, natomiast tendencyjnie wyolbrzymia skalę wydarzeń w Polsce. Wniosek – należy tę agenturę zwalczać.

Wiesław Myślik w „Trybunie Ludu" (*Koryfeusze nauki czy protektorzy wichrzycieli* (26 marca 68) demaskuje niektórych naukowców z UW jako protektorów i inspiratorów ostatnich ekscesów. Dokłada niepokornym profesorom, wytykając niektórym rozchodzenie się z partią, pokrętną drogę do osiągnięcia tytułów. Pada też zarzut zatrudniania na UW ludzi wychowywanych „w klimacie politycznej negacji", integrujących się w ekskluzywnych drużynach harcerskich i różnych kółkach (z Klubem Babel przy TKŻ włącznie), pobierających nauki tylko w wybranych liceach. Te ponure refleksje kończy akcent optymistyczny, mianowicie część młodzieży dojrzała politycznie wskutek obserwacji zjawisk, których była świadkiem. Nauczyła się wartościowania spraw, idei i haseł. Studenci zaczęli licznie wstępować do ZMS, a kilkudziesięciu studentów UW spontanicznie złożyło pisemną prośbę o przyjęcie w szeregi partii.

W tymże numerze „Trybuny" w artykule *Pisarze – polityka – kultura* Jan Ruszczyca przedstawia przebieg zebrania w Związku Literatów. *Sprawa* Dziadów *to pretekst i – jak powiedział Słonimski – nie może być rozpatrywana w oderwaniu od życia i spraw kulturowych. Motyw ten podchwycili Kołakowski i Kisielewski, który szafował zwrotami: „wandalizm duchowy" i „dyktatura ciemniaków". Perfidnym zarzutem antysemityzmu usiłował zasłonić swe rzeczywiste intencje Paweł Jasienica. Grzędziński, wspierający piórem zagraniczne ośrodki imperialistycznej propagandy, oświadczył, że mając pełną swobodę wyboru między ministrem Motyką a carskim satrapą Nowosilcowem, opowiada się za tym drugim. Kołakowski w najostrzejszych słowach odmalował kryzys kultury polskiej,*

degrengoladę teatru, obezwładnienie filmu i dewastację życia duchowego. Zaatakował po to, by zakwestionować ingerencję kierownictwa politycznego kraju w sprawy rozwoju kultury narodowej. Mniej więcej podobnie brzmiało wystąpienie Andrzejewskiego, który wspomniał o wyjałowieniu i niszczeniu polskiej myśli i kultury. Międzyrzecki również przyłączył się do ataku, mówiąc o niepodzielności kultury, która jest organiczną całością ze swoimi wszystkimi ogromnymi osiągnięciami i ze wszystkimi jej zarówno wielkimi przedstawicielami, jak i pomniejszymi pisarzami. Ta błędna teza nie uwzględnia potrzeby wyboru i wartościowania, stawiając znak równości między pisarzami postępowymi a głosicielami idei wstecznych czy zgoła faszystowskich. Większość przemawiających pisarzy miała przygotowane teksty i je odczytywała.

W dyskusji nad porządkiem dziennym Jasienica powiedział, że zostanie zgłoszona rezolucja, która jest już gotowa. Do nieodpowiedzialnych i pełnych fałszu głosów przyłączył się Zygmunt Mycielski – muzykolog, redaktor „Ruchu Muzycznego" – w liście solidarnościowym dotyczącym ograniczania wolności twórczej.

Po tym wprowadzeniu obrazującym wszelkie bez pokrycia zarzuty, jakie padły z ust nietolerancyjnych i zaślepionych wichrzycieli, autor przystąpił do rzeczowego udowadniania, jak planowa polityka partii, będąca dorobkiem popaździernikowego okresu, sprawdzała się pozytywnie w szczególności w sferze twórczości teatralnej. Sceny były otwarte dla całej dramaturgii światowej. Również na produkcje muzyczne partia przeznaczała niemałe środki, nie nakładając ograniczeń nawet na modernistyczne kierunki. Niektórzy twórcy sprzedawali jednak swoją twórczość firmom nie polskim, a zachodnioniemieckim. Dalej następowało krytyczne spojrzenie na cele nadzwyczajnego zebrania – politycznej demonstracji, napędzania wiatru w żagle siłom antysocjalistycznym –

i padało stwierdzenie, że było ono istotnie niezwykłą gratką dla wrogów PRL. No i na koniec pojawiało się trochę obowiązkowego optymizmu: uznanie dla tych pisarzy (niestety w mniejszości), którzy zdobyli się na aktywny sprzeciw, oraz przekonanie, że ten sprzeciw znajdzie poparcie wśród odpowiedzialnych ludzi pióra.

Oczywiście nie przedstawiłam tu wszystkich „dzieł”, które zrodziły się z inspiracji duchowych przywódców partii, wybitnych znawców kultury. Są zresztą dość podobne do siebie nawzajem i żadne z pism nie polemizuje z konkurencyjnym. Prym wiedzie „Trybuna Ludu”, nadając innym właściwy kierunek. Jakże łatwo było wtedy stać się czołowym dziennikarzem i jakże teraz trzeba się tego wstydzić! W moim niekompletnym domowym archiwum znajdują się już nieco pożółkłe wycinki z gazet, kilka „utworów” z 1968 roku, a przede wszystkim list ojca, który w żaden inny sposób nie mógł odpowiedzieć na zarzuty, które padły pod jego adresem. List ten rozesłał do redakcji i prywatnych osób. Przepisuję egzemplarz, który dostaliśmy wraz z mężem.

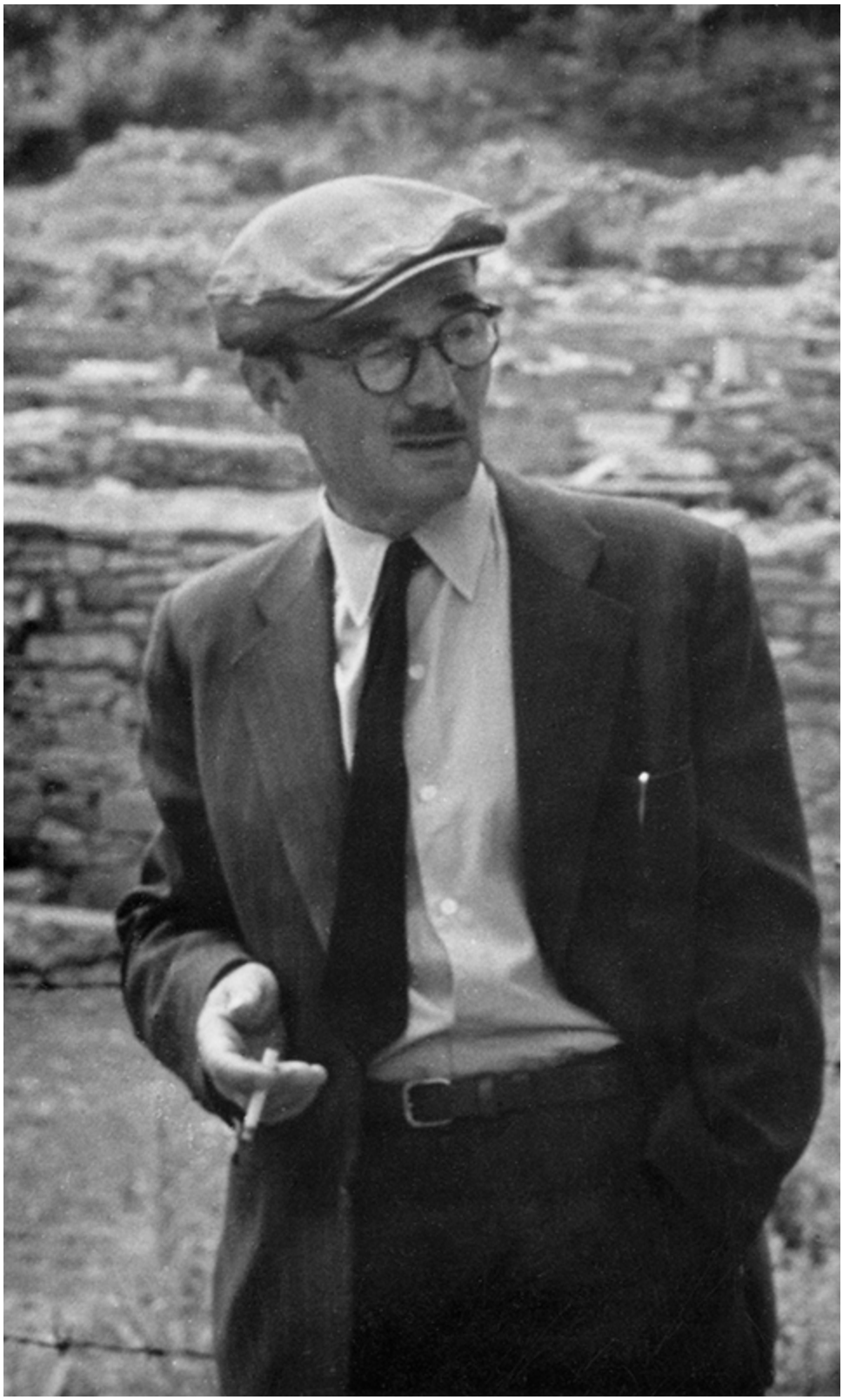

Dla Ewy, mojej córki i jej męża.

Warszawa, dnia 20.III.1968 r.

W celu poinformowania osób mi bliskich stwierdzam, co następuje, gotów zaprzysiąc prawdziwość poniższych danych:

1. Zygmunt Szyndzielarz, „Łupaszka”, d-ca b. V Brygady Wileńskiej A.K., b. oficer zawodowy 4 pułku ułanów, u którego służyłem do sierpnia 1945 r. został aresztowany przez U.B. w końcu czerwca 1948 r. Stało się to gdzieś na Poddtarzu (koło Obidowej?). Funkcjonariusze U.B. szli w tej akcji na „upatrzonego”, wiedzieli gdzie mieszka „Łupaszka”. Nastąpiła bowiem generalna dekonspiracja, „sypa” podziemnej organizacji wileńskiej, do której nie należałem.

Nie miałem nic wspólnego z działalnością „Łupaszki” wznowioną przezeń w 1946 r.

2. 30 czerwca, czy też 1 lipca 1948 r. został aresztowany w Krakowie podkomendny „Łupaszki”, Lucjan Minkiewicz „Wiktor”. Usiłowano go złapać już we Wrocławiu, gdzie mieszkał wraz z żoną i dzieckiem. Zdołał uciec do Krakowa i tu zatrzymano go w mieszkaniu jego siostry, osoby jak najdalszej od wszelkiej konspiracji.

3. 2 lipca 1948 r., około godziny 21, poszedłem do mieszkania wspomnianej siostry Minkiewicza (mojej koleżanki uniwersyteckiej) i tu wpadłem w tzw. „kocioł”, założony przez U.B.

Świadkami są poniekąd: poseł Stanisław Stomma i prof. KUL Czesław Zgorzelski, z którymi tego wieczoru byłem w „Jamie Michalikowej”, i pożegnałem się niczego nie przewidując. Rozstaliśmy się około godz. 20.

4. Z samej chronologii wypadków jasno wynika, że moje aresztowanie nie miało i nie mogło mieć wpływu na uwięzienie „Łupaszki” i „Wiktora”.

Zostałem aresztowany później, po ich aresztowaniu, o niczym nie wiedząc. Nie poszedłbym przecież do siostry „Wiktora”, gdybym wiedział, co się tam stało dzień czy dwa wcześniej.

5. Zostałem zwolniony 27 sierpnia 1948 roku przed południem przez Dyrektora Departamentu Politycznego Min. Bezpieczeństwa Publicznego. Nie spodziewałem się tego wcale. Powiedziano mi: „Wyjdzie pan na wolność, zobaczymy, czy to się ojczyźnie opłaci”.

Nie podpisałem absolutnie żadnego zobowiązania. Nie podpisałem nawet zobowiązania co do milczenia. Powiedziano mi: „Jest pan człowiekiem inteligentnym i sam wie, że nie wolno zdradzać tajemnic śledztwa”.

6. O moje uwolnienie zabiegał ze wszystkich sił Bolesław Piasecki, który zaręczył władzom, że nie należę do żadnej konspiracji. Dowiedziałem się o tym natychmiast po wyjściu na wolność, od mojej ś.p. Żony, z którą Piasecki rozmawiał poprzednio i informował ogólnikowo, że się stara.

O tej akcji Piaseckiego powiadomiłem niezwłocznie Kardynałów Hlonda i Sapiehę, który powiedział: „Bardzo przyjemnie to słyszeć”.

7. Tak więc od roku 1948 władze znały moją przeszłość na wylot. Nie zaprzeczałem faktowi mej służby u „Łupaszki”. Twardo obstawałem przy świętej prawdzie, a mianowicie, że tamta działalność nie miała absolutnie nic wspólnego z moją pracą w „Tygodniku Powszechnym” podjętą w roku 1946.

8. Wiedziały o wszystkim zarówno władze cywilne, jak wojskowe. W grudniu 1949 roku stawałem przed Weryfikacyjną Komisją Oficerską, potwierdzając oficjalnie całą moją przeszłość. Mój stopień oficerski nie został uznany, co uważam za zupełnie zrozumiałe.

9. 22 lipca 1956 roku zostałem odznaczony Kawalerskim Krzyżem Polski Odrodzonej (legitymacja nr A- 60375). 25.I.1967 Ministerstwo Obrony Narodowej bez żadnych zabiegów z mojej strony, zatwierdziło mój Krzyż Walecznych, nadany przez Okręg Wileński Armii Krajowej w roku 1944. (legitymacja MON nr. DK/06380/W).

10. *Pseudonim literacki musiałem przybrać, bo w 1946 roku rozpoczynając pracę publicystyczną, wiedziałem, że Żona pozostaje w Wilnie, zarejestrowana jako wdowa. Moi znajomi i bliscy w Wilnie byli przekonani, że nie żyję, że zginąłem tam, gdzie płk. Kotwicz.*

Obawiałem się, że wskutek mego nagłego „zmartwychwstania" w Krakowie Żona może powędrować z Wilna śladami moich Rodziców i siostry wywiezionych w początkach roku 1940 do Kazachstanu.

Stąd wziął się w literaturze polskiej „Paweł Jasienica". Lech Beynar figuruje we wszystkich mych dokumentach osobistych, w obu polskich encyklopediach powojennych, w „Słowniku Pisarzy Polskich", no i we wszystkich spisach Związku Literatów oraz P.E.N. Clubu.

Lech Beynar

(Paweł Jasienica)

Istnieje jeszcze jedna wersja – późniejsza – tego listu, może nieco bardziej rozszerzona. Poniżej przytaczam jej fragment:

Nie będę się wdawał w opisywanie tragicznych losów wojny domowej. Muszę jednak podkreślić, że fakt aresztowania „szesnastu" w Pruszkowie (marzec 1945) utwierdził nas w przekonaniu, iż nie ma dla nas innego miejsca na ziemi niż w lesie.

Prasa dość dowolnie traktuje obecnie moją osobistą rolę: nie dowodziłem akcją w Narewce, w Boćkach i w Siemiatyczach nie byłem

nigdy w życiu, nie spaliłem żadnej wioski białoruskiej ani innej. Szkolenia ideologicznego oddział wcale nie potrzebował. Zastępowały je… wspomnienia. Każda wojna domowa ma to do siebie, że z biegiem czasu staje się coraz bardziej okrutna. Historia nie zna wyjątku od tej reguły.

Nie wierzyłem ani przez chwilę w wybuch wojny amerykańsko-rosyjskiej. Do wiary w absurdy nie jestem skłonny. Sądziłem, że stanowimy atut w ręku „polskiego Londynu", który za cenę rozwiązania naszych oddziałów wytarguje lepsze warunki w nieuchronnym kompromisie. W lipcu 1945 r. dowiedzieliśmy się, że mocarstwa przestały uznawać „polski Londyn". Coś w rodzaju kompromisu osiągnięto, za tym my pozostaliśmy w lesie…, bez żadnych wskazówek.

(Paweł Jasienica)

W różnych źródłach nazwisko „Łupaszki" jest pisane Szendzielarz, natomiast ojciec pisze Szyndzielarz. Na prośbę taty jedną z kopii listu dostarczyliśmy z mężem osobiście Wańkowiczowi, który przyjął to ze zrozumieniem, a nam w zamian podarował nabój z gazem, nie wiem, czy łzawiącym, czy może od razu powalającym. Mieliśmy go zastosować w razie niebezpieczeństwa. Jakoś nigdy nie doszło do praktycznego użycia, ale ładunek i wdzięczność zachowaliśmy.

Inna kopia, nie całkiem zgodnie z życzeniem autora, dotarła również na biurko oficera prowadzącego, może nawet nieco wcześniej niż do właściwych adresatów, a TW zobowiązano do przedstawienia nazwisk osób, do których list został lub miał być wysłany.

Tata dalej przebywał na Wilczej, gdzie odwiedzali go niektórzy znajomi: państwo Wańkowiczowie, Marta Miklaszewska z Janem Olszewskim, Jan Konopka (kolega po fachu Olszewskiego), Jan Rzepecki, no i my. Wypijało się trochę, bez mojego udziału z uwagi na coraz

poważniejszy stan. Byłam cennym gościem, który potem bezpiecznie odwoził biesiadników pod wskazane adresy. Rozmowy krążyły wokół spodziewanego posiedzenia sądu koleżeńskiego mającego uczynić zadość żądaniom obywateli i usunąć na zawsze z szeregów ZLP nieprawomyślnych: Jasienicę, Kisiela i Grzędzińskiego. Listy – wyjaśnienia ojca – zostały rozesłane, a spis odbiorców był sukcesywnie dostarczany do inspektora Wydziału III lub też zastępcy naczelnika Wydziału III Departamentu III MSW. Z końcem maja tata powrócił do domu i zabrał się do pisania *Rzeczpospolitej*. Nadchodził termin, w którym powinien ją złożyć w wydawnictwie.

Ojciec alergicznie podchodził do jeszcze jednej sprawy. Był uczulony, a nawet przeczulony w kwestii punktualności. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek się spóźnił. Zawsze na umówione spotkania wychodził wcześniej, niż powinien, co powodowało, że niejednokrotnie spacerował z bukietem przez kilkanaście minut pod domem, do którego udawał się z wizytą. Przed wspólnymi wyjściami poganiał nas wszystkich, ostentacyjnie przy tym patrząc na zegarek. Punktualność dotyczyła też dotrzymywania wszelkich terminów, zarówno umów wydawniczych, jak też płatności. Podobnie nie znosił, kiedy spóźniali się umówieni z nim ludzie, ale jako człowiek dobrze wychowany nie zawsze to komunikował.

W tym czasie w domu znów rozdzwoniły się telefony od nieznajomych. Niekiedy były to głuche telefony, czasem jakieś pogróżki. Wytrącało to tatę z równowagi. Aparat stał na jego biurku i trudno było nam go wyprzedzić w podniesieniu słuchawki. Z bibliotek wycofywano książki „wichrzycieli”, a sąd koleżeński jakoś nie mógł się zebrać. Radca prawny ZLP twierdził, że obowiązujący statut związku uniemożliwia wyrzucenie kogokolwiek, gdyż naganne słowa padły na zebraniu zamkniętym, gdzie statut przewiduje wolność wypowiedzi. Szczególnie trudno postawić zarzuty Jasienicy, gdyż

jego polityczna przeszłość przypada na okres, kiedy nie był pisarzem i nie należał do ZLP. A twórczość Jasienicy jest pozytywna, zwłaszcza *Polska Piastów* potwierdzająca polskość ziem zachodnich.

Latem 1968 roku (konkretnie od 15 czerwca do 1 lipca, jak podaje ubeckie źródło) wyjechaliśmy z tatą w Bieszczady. Wraz z nami pojechał jeszcze Bogdan Cywiński ze swoim przyjacielem Markiem Koprowskim. Bogdana tata poznał w Paryżu, u ojca Placyda. Panowie bardzo się zaprzyjaźnili pomimo znaczącej różnicy wieku. (Bogdan jest moim rówieśnikiem). Przyjaźń przeniosła się również na nas. Towarzyszyliśmy Bogdanowi podczas pisania jego *Rodowodów niepokornych*, spotykaliśmy się często. Byliśmy na jego ślubie z Małgosią Łoskot. Dzięki Bogdanowi zaprzyjaźniliśmy się z towarzystwem z Klubu Inteligencji Katolickiej, a nawet zasilili szeregi tej organizacji. To automatycznie spowodowało, że nasze dzieci później zostały członkami „Czarnych Stóp”, czyli młodzieżowej organizacji KIK, gdzie dla odmiany jako kadra w grupie naszego syna występował najstarszy syn Cywińskich – Piotr (później prezes KIK, a w momencie, kiedy piszę te słowa, hejtowany Dyrektor Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau), z którym nasz Paweł do dziś jest zaprzyjaźniony. I jak tu nie pojmować dziejów personalistycznie.

Ale wracając do wyprawy w Bieszczady… Wyjazd zorganizowaliśmy w celu wyrwania taty z Warszawy i przetrzymania go z dala od wszystkich znajomych. Nawet w Bieszczadach nie chcieliśmy widzieć zbyt wielu osób, gdyż tata niedobrze znosił wszelkie rozmowy z obcymi. Rozbiliśmy więc namioty koło Sokolego, nad właśnie napełnianym wodą zalewem Solińskim. Mieliśmy przywiezioną na dachu składaną żaglówkę. W Sokolem do czasu powstania zalewu znajdował się pałacyk, niezbyt piękny, ale urokliwie położony, po wojnie mieściła się tam stacja turystyczna, prowadzona przez oryginała i samotnika Henryka

Viktoriniego. Byliśmy z nim zaprzyjaźnieni. W 1968 roku pałacyk rozbierano, gdyż znajdował się na linii zalewu. Cegły z rozbiórki Henio miał zamiar użyć do budowy domu w położonej niedaleko miejscowości Teleśnica Oszwarowa. Więc zamieszkaliśmy na terenie działalności Viktoriniego. Zmontowaliśmy żaglówkę i pływaliśmy nią po jeziorze powstałym na terenach byłych wsi. Pamiętam, jakie upiorne wrażenie robiły na nas cmentarne krzyże wystające z wody w miejscach, gdzie kiedyś chowano zmarłych ze wsi Chrewt. Znajdowaliśmy się nad grobami. Nie wiem, jak to się stało, że nie przeprowadzono ekshumacji. Większość wsi bieszczadzkich była spalona w czasie powojennych pacyfikacji w ramach akcji „Wisła”. Pozostały cmentarze, fragmenty cerkiewek, murowane piwnice, kominy samotnie sterczące wśród sadów, kwitnących i owocujących jabłoni, porzeczek. Pięknie kwitły i rozprzestrzeniały się rudbekie. Te przetrwały do dziś. Chałup niezniszczonych było niewiele. Wieś Solina, położona najbliżej zapory, należała do nielicznych ocalałych. Po obu stronach Sanu stały chałupy. Na prawym brzegu rzeki mieściła się szkoła, a na lewym zbudowana tuż przed wojną cerkiew. Mostu nie było i wodę pokonywano za pomocą szczudeł. Pod każdym domem stało ich kilka par, używanych w miarę potrzeby. Niezapomniany to był widok, kiedy dzieci szły do szkoły i na środku Sanu zaczynały się bić. Nigdy nie widziałam, żeby któreś się przewróciło. Przy wyższych stanach wody pływało się łódką, z której korzystaliśmy również i my – pracujący na budowie. Bardzo było mi żal patrzeć, jak rozbiera się cerkiew, a chałupy burzy. Z pól przylegających do wsi wydobywano kruszywo dla potrzeb budowy zapory. Powstał tam zakład przeróbki wstępnej żwiru, za chałupami stały wielkie płuczki, sortowniki, transportery. Niełatwo było mieszkańcom współżyć z budową, ale kto chciał, mógł trochę przy niej zarobić. Przed spiętrzeniem wody mieszkańcy Soliny i innych wsi

położonych nad Sanem i Solinką w obrębie przyszłego jeziora zostali przesiedleni do specjalnie dla nich zbudowanych domów w pobliskich miejscowościach. Mogli też dostać gotówkę na samodzielną budowę. Bardzo jednak niechętnie przystawali na przeprowadzkę, i nie ma co się dziwić. Żeglowaliśmy nad tą wsią, wspominając, jak wyglądała parę lat wcześniej.

Wieczorami odwiedzał nas Henryk, czasem przybywał konno. Zaproponował kiedyś tacie przejażdżkę. Ze zdziwieniem patrzeliśmy, jak ojciec wskoczył na konia i pogalopował, nawet się nie oglądając. Nie ten człowiek. Wielką to sprawiało przyjemność i tacie, i nam.

Bieszczady jak zwykle dobrze mu zrobiły, no, ale trzeba było wracać do roboty, a w naszym przypadku zabrać się za wicie nowego gniazda. Wciąż mieszkaliśmy razem z tatą i ciotką w dwupokojowym mieszkaniu, powiększenie się rodziny nakazywało zmienić tę sytuację. Zapisani już byliśmy do spółdzielni mieszkaniowej. Dzięki pomocy finansowej ostatnio nieźle prosperującego taty mogliśmy być członkami tak zwanej własnościowej, gdzie krócej się czekało na wymarzony lokal. Tata przepisał na moje nazwisko swoją książeczkę mieszkaniową. Tak o tym pisze: *Podanie o przepisanie mojego wkładu na Ciebie już złożyłem w kancelarii Saciłła. (prezesa). Kiedy z nim i wiceprezesem rozmawiałem, on powiedział „To już dał pan córce wiano”. Nic, Ewa, nie przejmuj się. Licz jeszcze na spadek w postaci praw autorskich, no i może coś jeszcze do tego momentu.*

Do nowego mieszkania udało nam się wprowadzić jeszcze przed narodzinami Kasi, która zresztą na ten świat się nie śpieszyła i pojawiła się nieco po terminie.

Tata oszalał z zachwytu. Do szpitala przysłał mi oszołamiający bukiet róż wstawionych we własną nagrodę, czyli kryształowy wazon otrzymany od „Kuriera Polskiego”. W towarzystwie różnych tatusiów wystawał pod

oknem, w którym szczęśliwe mamy pokazywały swoje tobołki z noworodkami w środku. Był to szpital przy Madalińskiego, gdzie ordynatorem oddziału noworodków była rodzona siostra mojego taty – Irena Brzozowska. Pomimo takich koneksji nie było mowy, aby któryś z panów mógł mnie odwiedzić. Ciotka sama bardzo stanowczo twierdziła, że zakaz jest słuszny, bo można przywlec na oddział jakieś choroby. Wobec tego mamy przepychały się przy otwartym oknie, informując stojących dwa piętra niżej swoich bliskich o niewątpliwej urodzie i wyjątkowości potomka, co skutkowało często przeziębieniami rodzicielek.

Ciotka Irena to osobny rozdział w rodzinnych historiach. Po skończeniu studiów i uzyskaniu dyplomu lekarza w Wilnie zdążyła wyjść za mąż, urodzić syna Julka, a po wkroczeniu Armii Czerwonej na Wileńszczyznę wraz z rodzicami i dzieckiem została wywieziona do Kazachstanu. Tam dzięki fachowi ciotki i manualnym zdolnościom babci jakoś udało się rodzinie nie umrzeć z głodu. Ciotka jak mogła, bez lekarstw, leczyła miejscowych, a babcia wyspecjalizowała się w wykonywaniu na drutach swetrów z waty. Tak przynajmniej głosiła legenda rodzinna, tylko nie wiem, skąd brała tę watę. Pamiętam opowieść babci, która wspominała cudowne ozdrowienie jakiejś kobiety wskutek włożenia jej termometru pod pachę. Kiedy powstawała armia Andersa, ciotka postarała się do niej dołączyć jako lekarz, babci załatwiła posadę kucharki wojskowej, a dziadkowi przydział do orkiestry. Tym sposobem rodzina opuściła gościnny Związek Radziecki i przez Iran dotarła do Afryki, konkretnie do Tanganiki, potem do Polski. Początkowo wszyscy zatrzymali się w Warszawie u wujostwa Maliszewskich. Mieszkali tam przez pół roku, ciotka w tym czasie szukała pracy. Niestety na powracających z Zachodu podwładnych Andersa w stolicy nie czekały posady. Miejscem ich przeznaczenia miały być ziemie odzyskane. Część rodziny mieszkała w Giżycku, więc ciotka i dziadkowie

osiedli w niedalekich Bartoszycach, na północno-wschodnim krańcu Polski. Tam ciotka zatrudniła się w miejscowym szpitalu. Była fachowcem od wszystkiego i dobrym organizatorem. Słynna jest opowieść rodzinna, jak do szpitala przywieziono moją stryjeczną siostrę Halinę z zapaleniem wyrostka (u nas choroba rodzinna). Ciotka przystąpiła do operacji i okazało się, że wyrostek gdzieś nietypowo schował się pod wątrobą. Od tej pory ciotka postanowiła już więcej rodziny nie leczyć. W tymże szpitalu w 1954 roku zmarł wskutek choroby nowotworowej jej brat Janusz, który w czasie wojny został wywieziony do Rosji, aż na półwysep Kola, gdzie budował lotnisko (szczęśliwie transport ominął Katyń). Następnie również znalazł się w armii Andersa i przez Irak, Judeę, Jerozolimę dotarł do Włoch, gdzie walczył i był ranny pod Monte Casino. Potem znalazł się w Anglii, a tam przez Czerwony Krzyż odszukała go żona, która wraz z córeczkami Haliną i Martą przybyła jako repatriantka z Wileńszczyzny do Polski w 1945 roku. Janusz dotarł do kraju wiosną 1947 i osiadł w Giżycku.

Dziadek z Kasią

Nie wiem, kiedy, a przede wszystkim dlaczego ciotka wstąpiła do partii i stała się jej bardzo aktywną działaczką. W połowie lat pięćdziesiątych została służbowo przeniesiona do Warszawy i powołana na stanowisko wiceprzewodniczącej Związku Zawodowego Pracowników Służby Zdrowia. Kilka lat później została przewodniczącą. W międzyczasie owdowiała. Bardzo skutecznie przyczyniła się do likwidacji prywatnych praktyk lekarskich. Nie przysporzyło jej to popularności wśród kolegów po fachu. Z kolei jako lekarz wyspecjalizowała się w ratowaniu wcześniaków i miała na tym polu duże osiągnięcia. Niejedno dziecko przeżyło dzięki jej staraniom i umiejętnie wypracowanym metodom rehabilitacji. Poznałam wiele osób z ogromnym przejęciem mówiących o tym, że zawdzięczają ciotce życie swoich dzieci.

Jednak w 1968 roku zaczęto jej wypominać, że jest z domu Beynar, i sugerować, że ma się „odciąć” od działalności brata. Ciotka uznała, że woli odciąć się od partii i zwróciła legitymację. Z pracy jednak jej nie wyrzucono i jeszcze zdążyłam urodzić na Madalińskiego drugie dziecko – Małgosię – jako jej protegowana. A nawet jak rodziłam trzecie, czyli Natalię, tym razem na Żelaznej (Madalińskiego było akurat w remoncie), sława ciotki sięgała i tutaj, co wyraźnie odczuwałam. Na sali dla nieprotegowanych na Madalińskiego znalazłam się dopiero po urodzeniu Pawełka, ale i wtedy niektóre pracownice skojarzyły mnie i dobrze wspominały ciotkę Irenę.

W dniu, kiedy urodziła się Kasia, tata porzucił czarny krawat, który nosił od śmierci mamy.

Jako młoda matka przez około dziesięć miesięcy nie pracowałam. Zajmowałam się Kasią, często przychodził tata. Przyprowadzał swoich znajomych, aby mogli podziwiać wnuczkę. Wydawaliśmy więc przyjątka dla znakomitych gości. Pamiętam, jak Stomma, bawiąc się z Kasią,

wchodził pod stół i szczekał, udając pieska. Bezdzietni Rzepeccy nie bardzo wiedzieli, jak podejść do tak młodego stworzenia, z którym nie da się pogadać o polityce. Było sympatycznie, a tata coraz rzadziej wspominał Gomułkę. Spotykał się dość często ze swoją nową znajomą, dzwonili do siebie, ona wchodziła w krąg jego, a nawet naszych znajomych. Szybko się zaprzyjaźniała, przechodziła na „ty".

Sąd koleżeński za nic nie mógł się zebrać i na liście członków ZLP nadal figurowały niedobre nazwiska. Trwały dyskusje, czy nie ułatwić sprawy i nie zwrócić legitymacji. Ale skończyło się tylko na dyskusjach. Tak samo nie zrzekł się tata funkcji wiceprezesa Zarządu PEN Clubu.

Gdzieś w styczniu 1969 roku doszły tatę słuchy o smutnym losie księdza Falkowskiego.

Ksiądz ten, po przebytym zawale w wieku pięćdziesięciu lat, jako emeryt został skierowany przez kurię do miejscowości Łyse na Kurpiach. Tamtejszy proboszcz odsunął go od jakichkolwiek zajęć, nie zezwolił na nauczanie dzieci, a nawet doszło do zakazu odprawiania mszy św. w miejscowym kościele. Te rygory były skutkiem dotychczasowego bezkompromisowego postępowania księdza Stanisława. Jak pisze: *uważano mnie za heretyka i buntownika*. W obronie księdza stanęli ludzie, którym pomógł, a więc Józef Kutrzeba, który jako 14-letni chłopak narodowości żydowskiej – uciekinier z pociągu śmierci jadącego do Treblinki – został ukryty i przechowywany przez księdza Stanisława w Piekutach Nowych, no i mój tata, przechowywany w Jasienicy. Obaj napisali listy do kardynała Wyszyńskiego. Oto urywek listu ojca z 9 stycznia 1969 roku:

(…) byłem akowskim niedobitkiem, nie wyleczonym jeszcze z rany postrzałowej, pozbawiony dachu nad głową i płaszcza na zimę.

Ksiądz Falkowski przygarnął mnie wówczas, utrzymywał przez kilka miesięcy, umożliwił mi nie tylko przeżycie, lecz i wejście na zupełnie nową

drogę literacką. Upamiętnia to mój literacki pseudonim Pawła Jasienicy.

Jeżeli w ciągu minionych lat dwudziestu trzech zdołałem coś wartościowego zrobić dla literatury polskiej – o czym naturalnie nie mnie sądzić, wielka, podstawowa w tym zasługa księdza Falkowskiego. Trzeba było w ogóle przeżyć, żeby móc zabrać się do pisania.

Dziś, kiedy mój dawny opiekun natrafił na trudności, jest moim świętym obowiązkiem zaświadczyć o powyższym.

Przyglądałem się pracy księdza Falkowskiego w Jasienicy. Cechuje go szczególnie wysokie pojęcie o godności stanu kapłańskiego, zmysł społeczny, bezinteresowność i nieprzeparte zamiłowanie do mówienia ludziom prawdy w oczy. Ostatnią właściwość przypłacił zresztą ks. Falkowski w „minionym okresie" dwuletnim przeszło więzieniem… (…) Byłbym szczęśliwy, gdyby w związku z tym Eminencja znalazł dla mnie chwilę czasu, abym mógł sprawę wyjaśnić. Byłaby to dla mnie okazja wyrażenia osobiście czci Prymasowi Polski, czego od dawna pragnę.

Ksiądz prymas znalazł chwilę czasu. Sprawę zaopiniował pozytywnie i przekazał do wykonania w kurii łomżyńskiej. Ale minęło jeszcze pół roku, zanim księdzu Stanisławowi przydzielono probostwo w Klukowie. Podczas audiencji prymas miał się wyrazić o Liście 34, że *utwierdza go w przekonaniu o tym, że nie jest samotny w swej walce*.

Ciekawostkę historyczną znalazłam w teczce ojca. Otóż 12 listopada 1969 roku u Jasienicy zjawił się Jan Józef Lipski z propozycją przepisania – celem dalszego kolportażu – książki o Wandei, którą ojciec właśnie ukończył i wypożyczył Lipskiemu do przeczytania.

Oznajmił przy tym, że *Motory i hamulce socjalizmu* już w tej formie krążą po ludziach, a ich autor Władysław Bieńkowski został usunięty z partii. Dodał, że Jerzy Andrzejewski też zgodził się, aby coś swojego w ten sposób opublikować. Tak zapewne rodził się „drugi obieg". TW

dostarczył, gdzie trzeba, tekst *Motorów i hamulców*, a prowadzący oficer przesłał go dalej celem dokonania badań kryminalistycznych dla ustalenia maszyny, na której został przepisany.

Wakacje 1969 roku spędziliśmy z mężem i Kasią w Bieszczadach u naszych wspominanych już przyjaciół Hartmanów. Przestali wcześniej prowadzić schronisko w Ustrzykach Górnych i przenieśli się do wsi Dwerniczek nad Sanem do leśniczówki. Tam przyjmowali gości, a Marysia gotowała przepyszne obiady. Przez pewien czas był z nami tata ze swoją znajomą. Trochę chodziliśmy po górach. Kasia zaczęła stawiać pierwsze kroczki. Tata uspokoił się, tym bardziej że żadne wieści z Warszawy tam nie docierały. Na szczęście nie wynaleziono jeszcze wtedy komórek.

7 października 1969 roku zmarła ciotka Stanisława. Coraz bardziej dokuczało jej serce, aż w końcu przestało pracować. Ciotka nierozerwalnie związana była z naszą rodziną. Praktycznie przez cały okres małżeństwa rodziców mieszkała z nimi. Podczas wojny i po niej mocno wspierała nas finansowo, co wydawało jej się całkiem naturalne. Miała własne zasady moralne wpojone jej w liceum nauczycielskim. Zawsze starała się stanowić wzorzec dobrej nauczycielki, skromnie ubranej (obowiązkowe kolory to granatowy i szary), w berecie. Włosy uczesane „w koszyczek”, buty na płaskim obcasie. Popołudnia spędzała na poprawianiu klasówek, przygotowywaniu się do lekcji. W zasadzie nie miała żadnych potrzeb. Na zajęciach typowo domowych nie znała się zupełnie. W większym towarzystwie milczała, chyba że ktoś pytał ją o zdanie. Bardzo dbała o moje poprawne wychowanie, musiałam mieć zawsze odrobione lekcje (sprawdzano to), ubierać się przyzwoicie i zadawać z odpowiednimi, grzecznymi koleżankami. Pochodzenie nie grało tu żadnej roli. Pilnowała, abym do szkoły, czy później na zajęcia na politechnice, wychodziła o stosownej porze i odpowiednio (znaczy ciepło) ubrana. Z perspektywy

czasu – jako mężatka – widzę, jakie musiało to być niekiedy, a właściwie przez cały czas, uciążliwe dla rodziców. Zawdzięczali ciotce wiele, ale przebywanie z ideałem pod jednym dachem w dwu pokojach graniczyło z bohaterstwem. Nigdy nie słyszałam, aby któreś z nich narzekało. Ale też nie musiałam słyszeć wszystkiego. Ojciec przezywał ciotkę „Ropuszys”, co po litewsku oznacza „nauczyciel”. Kiedy tata owdowiał, ciotka starała się jak mogła prowadzić dom. Bardzo to było nieudolne, ale zawsze coś, gdyż sam radziłby sobie jeszcze gorzej.

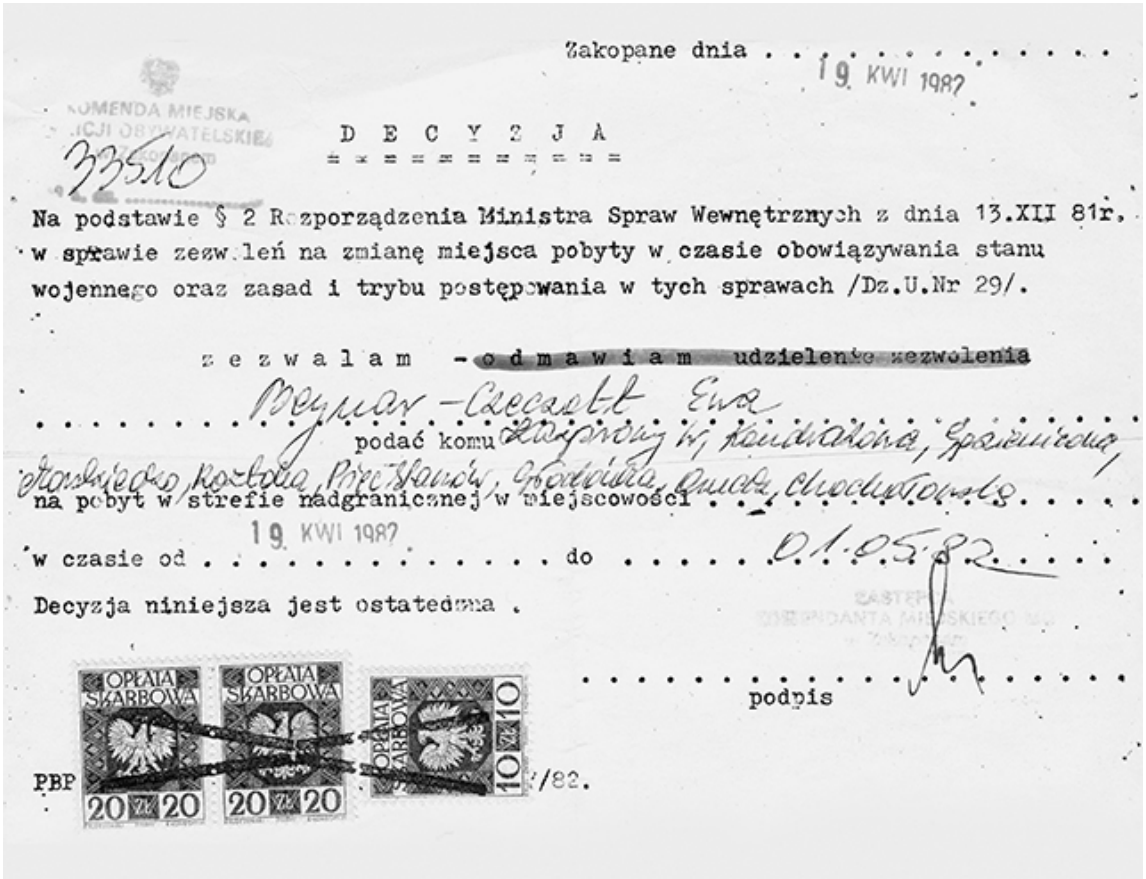

Zakopane dnia . . . . . 19 KWI 1982

KOMENDA MIEJSKA ... CJI OBYWATELSKIEJ

33510

D E C Y Z J A

Na podstawie § 2 Rozporządzenia Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 13.XII 81r. w sprawie zezwoleń na zmianę miejsca pobyty w czasie obowiązywania stanu wojennego oraz zasad i trybu postępowania w tych sprawach /Dz.U.Nr 29/.

z e z w a l a m - o d m a w i a m udzielenie zezwolenia

Weynar-Czechowska Ewa

podać komu zamężnej, kandydatce, [illegible]

na pobyt w strefie nadgranicznej w miejscowości [illegible]

w czasie od 19 KWI 1982 do 01.05.82

Decyzja niniejsza jest ostateczna .

podpis

OPŁATA SKARBOWA 20 zł 20 OPŁATA SKARBOWA 20 zł 20 OPŁATA SKARBOWA 10 zł 10

PBP [illegible]/82.

Zezwolenie na wyjazd w stanie wojennym

Ja po powrocie z urlopu macierzyńskiego musiałam dojeżdżać do roboty na Żerań Wschodni, gdzie zgodnie z aktualną tendencją „zdeglomerowano” nasz Zakład Betonów Hydrotechnicznych z ITB. Kasia

poszła do żłobka, odprowadzał ją mąż. Oczywiście często chorowała. Na Żeraniu wcielono nas do naukowej jednostki wspierającej tamtejszą Fabrykę Elementów Betonowych. Tu zajmowaliśmy się udoskonalaniem technologii wytwarzania elementów wielkopłytowych. Tak to fachowo przedstawiam, a po prostu chodziło o to, by wykonawstwo domów takich jak te na osiedlu Za Żelazną Bramą w Warszawie, budowanych z tychże elementów, było jeszcze tańsze. Nie bardzo zdawałam sobie sprawę z tego, że to niemal kryminalne zajęcie. Jeszcze nie były znane efekty tej importowanej ze wschodu technologii. Osobiście bezskutecznie zajmowałam się pomysłem, czy nie dałoby się wewnątrz mieszkania nanieść powłoki, zastępującej tynk i malowanie, bezpośrednio na betonową płytę tworzącą ścianę. Ale nie miałam serca do tej roboty. I jeszcze obłędna dyscyplina pracy. Towarzystwo, na ogół to samo co w ITB, było bardzo sympatyczne i wesołe. Chyba miałam szczęście do wpadania w dobre koleżeńskie układy w każdym miejscu. Mówię tu o poziomie zwykłych pracowników, nie tych z dyrektorskich pięter. Pomimo to za obopólną zgodą i z obopólną ulgą dość szybko rozstałam się z tym miejscem zatrudnienia i przeniosłam do bardziej przyjaznej placówki, która – jak twierdzi mój mąż – ma stuprocentową trafność w przewidywaniu imienin, a znacznie gorszą w prognozowaniu pogody.

Był to typowy zakład socjalistyczny. Dyrekcja udawała, że nam płaci, a my udawaliśmy, że pracujemy. Średnia wieku osób tam pracujących przekroczyła pięćdziesiątkę (za naszych czasów mówiło się: wiek trolejbusowy, gdyż właśnie te pojazdy w Warszawie miały numerację zaczynającą się od 50). Bardzo dobrze czułam się tam jako matka coraz większej liczby dzieci, a co za tym idzie, również dysponentka kartek żywnościowych. W porywach miałam ich do zrealizowania osiem (doszła teściowa i pani Zosia, która zajmowała się Pawełkiem). Samopomoc

koleżeńska była zorganizowana na najwyższym poziomie. Któraś koleżanka zajmowała kolejkę, idąc do pracy, ktoś za kogoś postał, ktoś kogoś wpuścił do kolejki lub podpisał się na liście społecznej, sporządzanej, aby zapewnić sprawiedliwy podział we właściwej kolejności rzuconego do sklepu „dobra", którego nigdy nie starczało dla tych figurujących na odległych pozycjach tejże listy. Dokument ten był sporządzany w godzinach porannych, grubo przed otwarciem sklepu, i starannie przechowywany przez osoby zapisane na początkowych miejscach. Raz się zdarzyło, że pan, który przyszedł za późno, udając, że się chce dopisać do listy, zjadł ją na oczach oniemiałej kolejki. My, Matki Polki, stanowiłyśmy dobraną szajkę i przez parę najgorszych lat nasze lodówki były w miarę dobrze zaopatrzone, dzieci miały zapewniony wyrób czekoladopodobny, a mężowie przynależne pół litra na miesiąc (z możliwością zamiany na czekoladę). W przerwach na stanie w kolejce pracowałyśmy ofiarnie. Szefostwo patrzało na to przez palce i miało z tego niekiedy pożytek w postaci wystanego „wołciela" lub nawet czegoś bardziej szlachetnego (wołciel było to przydziałowe mięso wołowe lub cielęce z kością, raczej pogardzany gatunek; przydział kartkowy obejmował chyba 0,5 kg na osobę miesięcznie). W stanie wojennym instytut został zmilitaryzowany, dyrekcja przywdziała mundury wojskowe, wyrzucono z roboty pięćdziesiąt dwie osoby za „Solidarność", niektóre zakłady, w tym mój, zostały zwolnione z obowiązku świadczenia pracy. Wykorzystałam to natychmiast, wyjeżdżając na narty na zmianę z Kasią i Małgosią, dla „niezbędnego leczenia klimatycznego", jak głosiło pozwolenie, bez którego nie wolno było opuszczać miejsca zamieszkania. Doświadczyłyśmy wagi tego papieru, kiedy na Kasprowym przy wysiadaniu z wagonika kolejki ponurzy panowie kazali okazywać stosowne dokumenty. Część pasażerów padła na podłogę, po czym zjechała w dół, a my dumnie wysiadłyśmy.

Trzeba przyznać, że w tamtych głupich czasach łatwiej było łączyć obowiązki pracownika i rodzica. Z roboty wyrzucano za poglądy, a nie za zwolnienia lekarskie. Narastający niepokój i wydarzenia w kraju wzmacniały solidarność między ludźmi. Ale wybiegłam w przyszłość. Tata nie doczekał epoki kartek. W latach sześćdziesiątych jeszcze nie było takiej klęski w zaopatrzeniu.

W sprawach gospodarczych często kontaktowałam się i konsultowałam z babcią, która w tym zakresie była prawdziwą mistrzynią. Całe życie zajmowała się domem, którego zasobność rozmaicie się przedstawiała. Częste przeprowadzki, zmiany pracy przez dziadka wymagały od faktycznej głowy domu, jaką niewątpliwie przez całe życie była babcia, wielu umiejętności strategicznych. Dziadek do spraw i prac domowych specjalnie się nie przykładał. Babcia była dość apodyktyczna, sama podejmowała decyzje dotyczące domu i najbliższych, rodzinnych spotkań, więc dziadek spokojnie mógł usuwać się na drugi plan i w wolnych chwilach muzykować.

Wojenne koleje doprowadziły do wywózki rodziny do Kazachstanu, o czym już wspominałam. Po zamieszkaniu w Bartoszycach babcia zajęła się domem, a dziadek nauczaniem muzyki. Ciotce Irenie urodził się drugi syn Zygmunt, a obowiązki wychowawcze przejęła oczywiście babcia. Po ich przeprowadzce do Warszawy miałam okazję podziwiać, jak kierowała wnukami. Julek nie był entuzjastą nauki, ale skończył najpierw szkołę felczerską, a potem medycynę. Niestety już nie żyje, zginął w Szwecji w wypadku samochodowym. Zygmuś odziedziczył po stryjku antytalent do matematyki i babcia złożyła mi propozycję nie do odrzucenia, abym jakoś temu zaradziła. Niestety nie sprostałam zadaniu, ale znalazłam kompetentnego kolegę i braciszek maturę zdał. Potem skończył socjologię i w nowej rzeczywistości świetnie sobie radził.

W Warszawie babcia była faktycznym ośrodkiem życia rodzinnego. Organizowała uroczystości świąteczne, wigilię, Wielkanoc. Jej potrawy były niezapomniane, wszystkie wnuczki, to znaczy córki Janusza, Halina i Marta oraz ja często korzystałyśmy z przepisów babci. Mam też wzory koronek robionych przez nią na szydełku. Po każdej rodzinnej uroczystości następowało nieuchronne mycie garów. I tu niestety oczekiwano, że moje pokolenie zakasze rękawy. Rodzice z respektu dla babci bardzo dbali, żebym się nie obijała przy tej czynności. Domyślam się, że sprawność była komentowana. Babcia niestety okazywała ogromne przywiązanie do starych naczyń i garnków, wcale też nie była zwolenniczką modernizacji kuchni. Nie myślę o czymś tak awangardowym jak zmywarka, ale nie dopuszczała nawet myśli o suszarce na talerze i wszystko trzeba było wycierać. Dziadek dość długo pracował poza Warszawą w Kętrzynie, gdzie uczył muzyki i prowadził orkiestrę. Po przejściu na emeryturę udzielał w domu lekcji gry na wiolonczeli. Zmarł 27 grudnia 1962 roku na chorobę nowotworową. Babcia przeżyła dziadka o szesnaście lat, zmarła 12 czerwca 1978. Z biegiem lat rozumiałyśmy się coraz lepiej. Cieszyła się prawnuczkami, interesowała moimi problemami, starała doradzić. Złagodniała.

Po śmierci ciotki Stanisławy ojciec powiedział nam, że postanowili się ze swoją przyjaciółką pobrać i zamieszkać razem. Przyjęliśmy to do wiadomości, reszta rodziny, z którą wybranka zdołała się zaprzyjaźnić, również nie wniosła sprzeciwu.

10 grudnia 1969 roku w Urzędzie Stanu Cywilnego Mokotów odbył się skromny ślub, a wieczorem tego samego dnia przyjęcie w Klubie Lekarza. Wybrano akurat ten lokal, bo kierowniczką klubu była pani Pronaszkowa, żona Jana Rzepeckiego. Lista gości weselnych oczywiście została w załączeniu przedstawiona przez stosowne służby. Myślę, że jest

kompletna, a w każdym razie ja nie muszę się wysilać, aby sobie przypomnieć, kto został zaproszony. Niestety listy ofiarowanych prezentów nie sporządzono, więc tyle tylko wiem, że od nas państwo młodzi dostali bardzo piękny stary zegar z kukułką, wynaleziony w jakiejś podsanockiej wsi. Podróży poślubnej nie zaplanowano.

Nie niepokoiliśmy zbytnio młodej pary w okresie poślubnym. Nie bardzo pamiętam, jak wyglądała wigilia w 1969 roku na ulicy Wareckiej przygotowywana jak zwykle przez babcię. Tata odwiedzał nas dość często, łącząc dwie przyjemności. Oprócz tego, że spędzał czas z Kasią, której był wielkim wielbicielem, to wpadał jeszcze po drodze do państwa Bartoszewskich, bowiem ci mieszkali niedaleko. Moja praca na Żeraniu nie sprzyjała kontaktom towarzyskim. Tym bardziej że skwapliwie zatrudniałam się w godzinach nadliczbowych, licząc na odebranie należnego za nie „wolnego” w okresie wakacji, które należało spędzić z Kasią, aby mogła nabrać sił i uodpornić się na różne choróbska przed następnym żłobkowym rokiem. Ale niekiedy spędzaliśmy razem z tatą niedziele na wyjazdach gdzieś nad rzekę czy do lasu. W czasie jednego z takich wyjazdów na ogromnych łąkach nad Bugiem ojciec postanowił zasiąść pierwszy i jedyny raz w życiu za kierownicą własnego pojazdu. Instruowany z siedzenia dla pasażera nawet parę pierwszych metrów przejechał prawidłowo. Ale potem nastąpiła próba wykonania zakrętu. Na polu był jeden jedyny dołek. I w tenże dołek tata precyzyjnie wycelował, zanim zdążyliśmy się zorientować. Udało się nam jakoś wydobyć samochód z tej pułapki i tak zakończyła się kariera Pawła Jasienicy jako kierowcy.

W tym okresie krążyły pogłoski, co potwierdza zawartość teczki, jakoby Jasienica dostał od Jerzego Giedroycia propozycję objęcia stanowiska kierownika Biblioteki Polskiej w Paryżu. Zastanawiał się nad

tym, aż wreszcie zdecydowanie odmówił. Zwolenniczką wyjazdu była żona. Nie wydaje mi się, że ojciec mógłby mnie o tym nie poinformować. W teczce figurują jakieś mętne donosy pochodzące niby od członków rodziny na ten temat, kto ten pomysł popiera, a kto nie. Jest to dla mnie sprawa zupełnie niejasna. Ojciec w żadnym wypadku nie nadawał się do pełnienia takiej funkcji, jak zarządzanie placówką tej rangi i ktoś, kto miałby mu takie stanowisko proponować, powinien sobie z tego zdawać sprawę. Nie przypominam sobie, aby ten problem był w rodzinie omawiany. Podejrzewam raczej jakąś prowokację, ale za nic nie mogę się domyśleć, o co chodziło. Tym niemniej jest faktem, że w tym czasie poszukiwano rzeczywiście kandydata na to stanowisko. Przyszły kierownik musiałby zdecydować się na opuszczenia kraju na zawsze. Nie wydaje mi się, żeby ojciec mógł to zrobić. O ewentualnych planach emigracyjnych rozmawialiśmy parokrotnie przy okazji moich wyjazdów. Odrzuciłam kiedyś konkretną propozycję pozostania na Zachodzie przy naprawdę prestiżowej budowie zapory wodnej w Szwajcarii, a tata uważał, że dobrze zrobiłam.

---

* Stenogram ubecki nie zamieszcza całości wierszyka, który brzmi następująco: *Wieszcz narodu zszedł na dziady / Czy już o tym wiecie / Gdy go Michnik i Szlajfery / Okrzykują w świecie / Dalej, bracia, karabele / Każdy w dłonie chwyta / Żyda w pysk i za morze / Radość znakomita.*

OSTATNIE DNI

Jakoś wiosną 1970 roku coś niedobrego zaczęło dziać się z tatą. Coraz ciężej szło mu się do nas na piechotę, dokuczał mu brak apetytu i ogólne osłabienie. Na szyi pojawił się spuchnięty gruczoł. Lekarze zalecili liczne badania, także prześwietlenie. Wynik wskazywał, że w płucach nie wszystko jest w porządku. Tata wylądował w szpitalu na Chocimskiej, gdzie przeleżał około miesiąca. Rokowania nie były dobre. Z Chocimskiej wożono go do onkologicznego szpitala na Wawelską na naświetlania. Personel oczywiście wiedział, z kim ma do czynienia, i odnosił się do pacjenta z niezwykłą serdecznością i oddaniem, ale niewiele mógł zdziałać. Najbliższa rodzina nie była wprost informowana o rzeczywistym stanie zdrowia pacjenta, ale też nikt z lekarzy nie twierdził, że choroba minie.

Po którejś wizycie u taty, wychodząc ze szpitala, natknęłam się na myjącego swój samochód jednego z opiekujących się nim lekarzy. Poprosiłam go o ocenę sytuacji, a on bez specjalnych zahamowań powiedział, że nie daje tacie więcej niż pół roku życia. Tą wiadomością nie podzieliłam się z nikim. W czerwcu tatę wypisano i wrócił do domu. Był słaby, bardzo wychudzony, ale wyglądało na to, że czuje się lepiej. Żona dbała o niego, gotowała to, na co miał ochotę, zdobywała przepisane lekarstwa, w czym zresztą pomagała ciotka Irena i jeszcze jedna ciotka lekarka Zosia Szawdynowa.

Ja wyjechałam z Kasią do Murzasichla, umawiając się z resztą rodziny, że gdyby sytuacja się pogorszyła, należy mnie natychmiast wezwać. Zdawałam sobie sprawę z tego, że w przypadku, gdybym została wezwana, ojciec od razu domyśli się, że jest z nim bardzo źle. W Murzasichlu przebywało też parę innych zaprzyjaźnionych koleżanek z małymi dziećmi, tak że wiedziałam, iż w razie czego Kasię będę mogła zostawić przy nich. Przez cały lipiec nie nadchodziły złe wieści. Pisaliśmy do siebie kartki, tatę ciągle interesowały poczynania Kasi, o których donosiłam, aby go nieco

rozweselić. Pisał, kto go odwiedza, o czym rozmawiają. W sierpniu przyjechał do nas mój mąż. Mówił, że widział tatę w Warszawie, ale zmian na gorsze nie stwierdził, chociaż o poprawie też trudno było mówić.

19 sierpnia, kiedy poszliśmy na obiad do pobliskiego domu, koleżanka przyniosła mi dwa telegramy. W jednym było napisane, że stan ojca bardzo się pogorszył, w drugim, że już nie żyje. Natychmiast wróciłam do Warszawy. Zadzwoniłam na Dąbrowskiego, ale żona taty prosiła, żebym przyszła dopiero nazajutrz rano. Uszanowałam jej prośbę. Poszłam do siebie, ale nie bardzo mogłam się pozbierać. I wtedy przyszły do mnie, wiedzące już o wszystkim, dwie moje przyjaciółki. Nieżyjąca już Janka i Miśka. Bardzo mi ta wizyta pomogła i myślę o niej do dziś z wielką wdzięcznością.

Przy śmierci ojca oprócz żony były jeszcze ciotka Irena i ciotka Zosia Szawdynowa. W ostatnich godzinach bardzo się męczył, dusił. Podawano mu tlen. Odszedł tak jak Cat-Mackiewicz – w pełni sił twórczych. Został niedokończony *Pamiętnik*. Miały być jeszcze dalsze dzieje Polski. Swoje zamiary ojciec tak określił:

Ponieważ jestem i będę uczciwy w spojrzeniu na historię, a moja uczciwość sięga tylko do czasów powstania Proletariatu. Dalej nawarstwiają się sprawy, których nie będę mógł skomentować właściwie. Ponieważ nie należę do ludzi, którzy w historii mogą z powodów koniunkturalnych pomijać pewne fakty, wobec tego rezygnuję definitywnie z pisania o końcu XVIII i całym XIX wieku.

Nazajutrz zaczęły się przygotowania do pogrzebu, nie ma co o tym wspominać. Były jakieś rozmowy, kondolencje, niewiele do mnie docierało. Pamiętam tylko moje ogromne współczucie dla babci, która już męża i dwu synów przeżyła. Podziwiałam ją, że w takiej sytuacji potrafiła myśleć o sprawach tak dla mnie nieistotnych jak ta, żeby rodzina, która

zjedzie na pogrzeb, miała co jeść i gdzie nocować. Poruszała też sprawę konieczności zabezpieczenia pozostałego majątku. Teraz rozumiem, że takie przyziemne sprawy pozwalają żyć dalej, bo człowiek wie, że ma coś do zrobienia i musi się zmobilizować. Przyjechał Oldek, zostawiając Kasię w Murzasichlu.

Kapela Krakowska 21.8.1970

Ś. † P.

Lech Leon Beynar

PAWEŁ JASIENICA

ukochany syn, brat i wuj zmarł dnia 19.VIII.1970 r. po ciężkich cierpieniach.

Pogrzeb odbędzie się dnia 22.VIII.1970 r. godz. 11 na cmentarzu powązkowskim. O czym zawiadamiają

matka, siostra i rodzina

A-14687-1

Ś. † P.

Lech Beynar

PAWEŁ JASIENICA

ukochany Ojciec i Dziadek zmarł dnia 19.VIII. 1970 r. po ciężkich cierpieniach. Pogrzeb odbędzie się dnia 22.VIII.1970 r. o godz. 11 na cmentarzu powązkowskim. O czym zawiadamiają

córka, zięć i wnuczka

A-14688-1

Ś. † P.

Lech Beynar

PAWEŁ JASIENICA

Pisarz, publicysta, historyk zmarł 19.VIII.1970 r. po ciężkich cierpieniach przeżywszy lat 60.

Msza święta za spokój Jego Duszy zostanie odprawiona w dniu 22.VIII.1970 r. o godz. 11 w kościele Karola Boromeusza na Powązkach, po której nastąpi wyprowadzenie do grobu rodzinnego, o czym zawiadamia

żona

A-14686-1

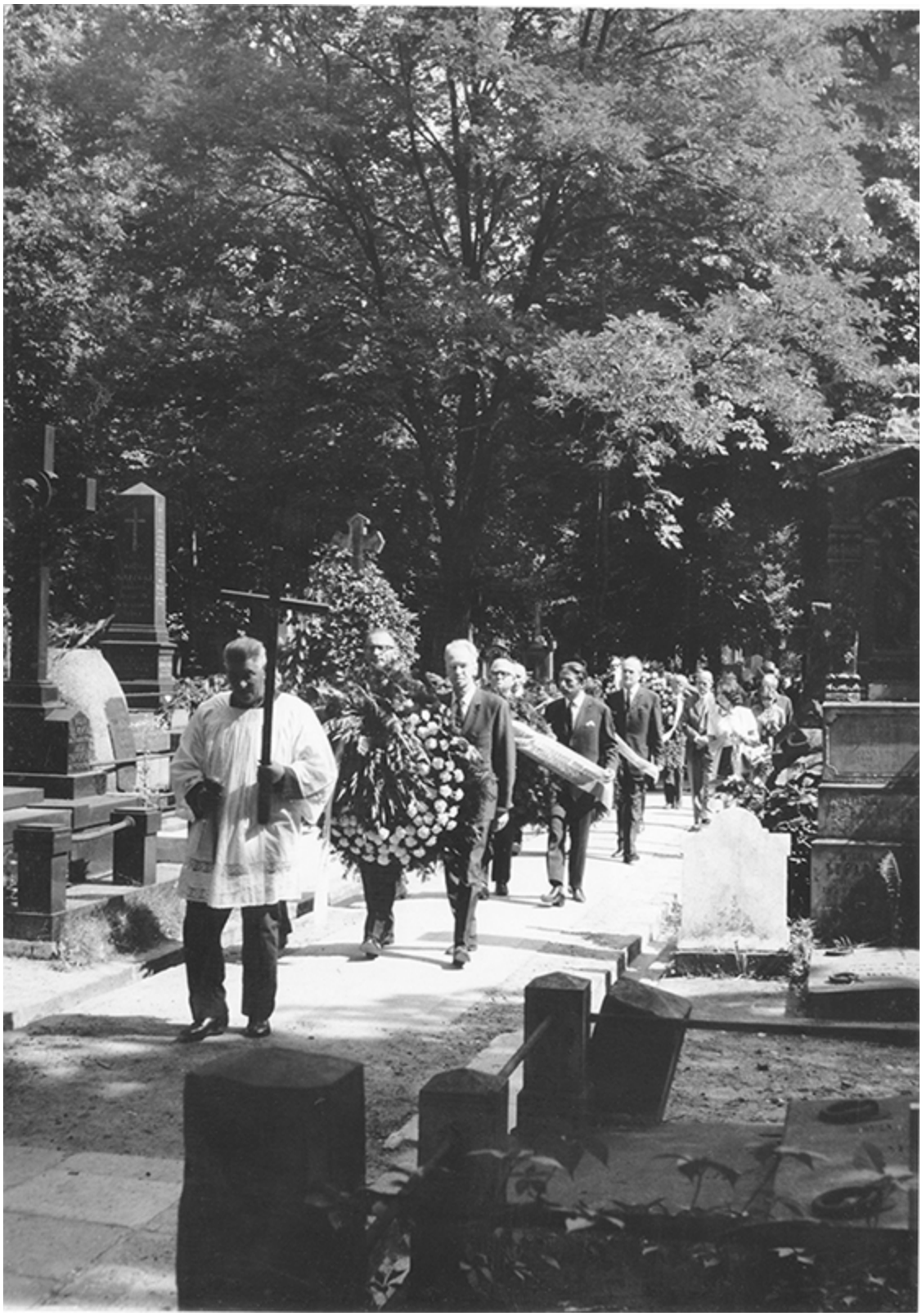

Pogrzeb. Wieniec niósł Władysław Bartoszewski i Jerzy Andrzejewski

Sam pogrzeb wydawał mi się też jakąś niesłychanie posępną formalnością do czasu, kiedy się odwróciłam i zobaczyłam ogromny tłum życzliwych, smutnych ludzi, z których niewielu znałam. Był to okres wakacji i wiele osób przerwało urlopy, aby uczestniczyć w tej ceremonii. Jedną z tych osób był Władysław Bartoszewski, właściwie organizator pogrzebu. Celebrowali biskup Miziołek i ksiądz Falkowski. Przemawiali nad grobem: Halina Auderska, Jan Parandowski, Stanisław Stomma, Jerzy Andrzejewski, Bogdan Cywiński odczytał list od Antoniego Gołubiewa, Jan Rzepecki, Władysław Siła-Nowicki i płk Zieleniecki. Na koniec odśpiewano hymn Polski. Parę dni po pogrzebie w katedrze wawelskiej mszę św. za ojca odprawił kardynał Karol Wojtyła. Ojciec został pochowany wraz z mamą w grobowcu na Powązkach cywilnych. Jednak po paru dniach Stomma z Bartoszewskim i wdową uznali, że właściwszym miejscem spoczynku będzie aleja zasłużonych na tymże cmentarzu. Kardynał Wyszyński zapytany o zgodę przez Stanisława Stommę nie wyraził sprzeciwu i przekazał sprawę biskupowi Modzelewskiemu. Ekshumacja i przeniesienie w aleję zasłużonych nastąpiły 24 października 1970 roku.

Dużo się czyta na temat przyczyn tak nagłej śmierci. Piszący wyrażają na ogół pogląd, że do śmierci ojca przyczyniły się zmartwienia wywołane nagonką w 1968 roku po wydarzeniach marcowych. Trudno się z tym nie zgodzić, że stres i zmartwienie wpłynęły na rozwój choroby. Nie wiadomo, kiedy się zaczęła, gdyż tata był na ogół zdrów i od lekarzy trzymał się z daleka, pomimo że miał ich w rodzinie kilku, w tym również rentgenologów. Toteż i prześwietlenia płuc nie robił od dawna. Ponadto wypalał duże ilości papierosów, co w tamtych czasach było nagminne i nie bardzo kojarzyło się z chorobą nowotworową. Osobiście nie przypisuję całej winy Gomułce.

HISTORII CIĄG DALSZY

To, co znajduje się w powyższych rozdziałach, napisałam na przełomie lat 2005/2006. Zostałam do tego namówiona przez wydawnictwo Prószyński i S-ka, które chciało wznowić dzieła Pawła Jasienicy, z tym że było jedno małe „ale”. I tu wracamy do problemu teczki.

Podanie o możliwość wglądu do akt złożyłam jako jedna z pierwszych w kraju, pragnąc zapoznać się z dokumentami dotyczącymi aresztowania i zwolnienia ojca z więzienia w 1948 roku. Nie wierzyłam oczywiście insynuacjom Gomułki, że ojciec mógł kogoś zdradzić lub zobowiązać się do rzeczy niegodnych. Chciałam jednak poznać kulisy całej tej historii. Pierwsze przedstawione mi materiały nie wyjaśniały sprawy. W teczkach były protokoły z przesłuchań w więzieniu, spis rzeczy oddanych do depozytu po aresztowaniu, wielokrotnie pisany życiorys i mnóstwo pisemek typu: przesyłam do wglądu, kwituję odbiór itp. Niestety wszystko to trzeba uważnie czytać, żeby poznać mechanizm krążenia papierów. Rzucają się w oczy wielki porządek i skrupulatność w ewidencjonowaniu tych dokumencików. Jest też pośród nich osobna kategoria: donosy z terenu. Na zapytanie centrali na ogół chcącej dowiedzieć się czegoś o trybie życia i prowadzeniu się „obiektu zainteresowań”, czyli „figuranta”, spływały odpowiedzi z różnych powiatowych urzędów (to się nazywało kompro-materiały). Tu panuje zupełna dowolność zarówno w faktografii, jak też w ortografii. Przeczytałam z zaciekawieniem między innymi, że moja mama ma willę w miejscowości Jasienica oraz że ja studiuję w Paryżu. Ale co do prowadzenia się nie było zarzutów. Zapytania dotyczyły członków rodziny.

Kiedy zaproszono mnie do IPN, przedstawiając mi kolejne znaleziska, natknęłam się wreszcie na interesujące mnie dokumenty. Prawdopodobnie przed słynnym przemówieniem Gomułka polecił zebranie wszystkich danych o Jasienicy, gdyż ktoś je zestawił. Obok życiorysu i całej

dokumentacji związanej z działalnością w AK, protokołów przesłuchań zarówno taty, jak też aresztowanych ludzi związanych z działalnością „Łupaszki” znajduje się odręczna notatka, właściwie nabazgrana kartka, na której ktoś napisał, że sprawą aresztowania Jasienicy interesował się Piasecki, który wykorzystał w tym celu swoje kontakty w MBP. Przeprowadził z Jasienicą kilka rozmów w więzieniu. Piasecki doceniał pozycję Jasienicy w kręgach katolickich i jego związki z hierarchią. Liczył na pozyskanie taty dla organizacyjnej współpracy z PAX-em. W sprawę zwolnienia Jasienicy zaangażowała się sama Brystygierowa, z którą bezpośrednio o zwolnieniach różnych osób rozmawiał Piasecki. Oficjalnie stwierdzono, że zachodziło podejrzenie, iż kontakt Beynara Leona Lecha z dowódcą bandy „Łupaszką” ma charakter organizacyjny i dlatego wszczęto śledztwo, w wyniku którego ustalono, że kontakty z „Łupaszką” po opuszczeniu oddziału przez Beynara miały charakter towarzyski – wtedy sprawę umorzono.

1385/103/1
121
187

Uzupełnienie do
informacji w sprawie Pawła Jasienicy

IPN BUAD Warszawa

Po aresztowaniu, [redacted] w/w zaintereso-
wał B. Piwecki, który wykorzystując swoje
kontakty z MBP spowodował po uzgod-
nieniu przeprowadzenie kilku rozmów
z P. Jasienicą w więzieniu, nakłonie-
go z orientu i umorzenie śledztwa.
W rezultacie Jasienica został zwolniony z
więzienia 16 maja 1949 i od tego czasu
do października 1956 współpracował z Pax
jako publicysta, będąc zatrudnionym w
„Tygodniku Powszechnym", nad którym
również Pax miał swój patronat.

IPN BUAD Warszawa

Wolny Kościół, że Piwecki dokonując
również pozyskał Jasienicę i środowisko
Katolickie oraz jego związki z hierarchią

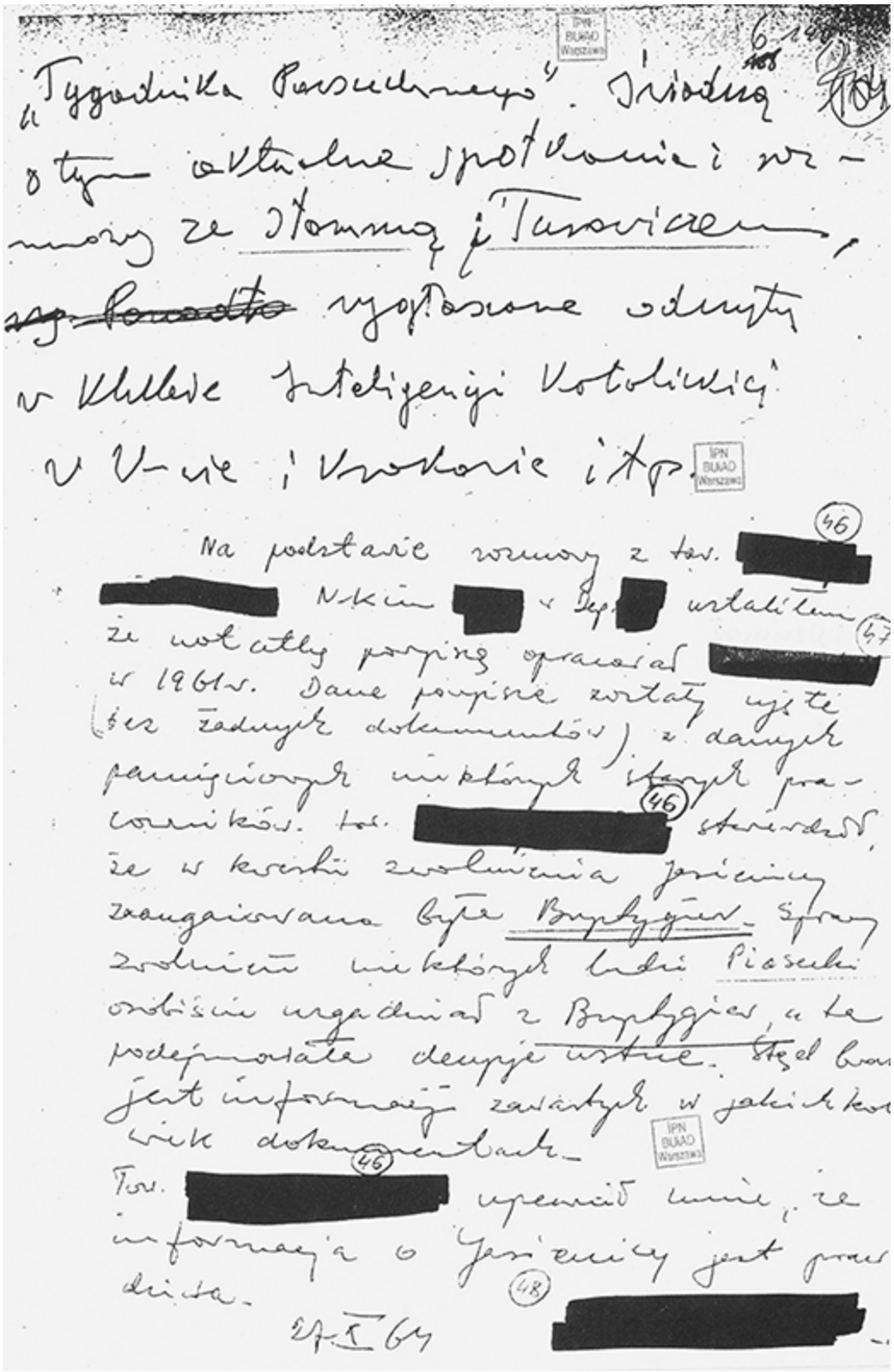

Na podstawie rozmowy z tow. [redacted] Nikiem [redacted] z Dep. [redacted] ustaliłem że wstępny poprzednio opracował [redacted] w 1961 r. Dane powyższe zostały ujęte (bez żadnych dokumentów) z danych pamięciowych niektórych ówczesnych pracowników tow. [redacted] stwierdził, że w kwestii zwolnienia Jasienicy zaangażowana była Bezpieka. Sprawę zwolnienia niektórych ludzi Piaseckiego osobiście uzgadniał z Bezpieką, a te podejmowała decyzje ustne. Stąd brak jest informacji zawartych w jakichkolwiek dokumentach.

Tow. [redacted] uprzedził mnie, że informacja o Jasienicy jest prawdziwa.

24-X-64 [redacted]

Odręczna notatka dotycząca zwolnienia Jasienicy

Dowiedziałam się w pewnych innych okolicznościach, a mianowicie kiedy Stanisław Ciosek opowiadał o kulisach porozumienia w Jałcie, że szkic tego porozumienia został zapisany na odwrocie jakiejś koperty i jest jego jedynym śladem pisemnym. Widnieją na tym świstku podpisy wszystkich sygnatariuszy. Od tej pory rozumiem, że i w sprawie nieporównywalnie mniejszej wagi zwyczajowo ostateczny werdykt zapisywano również bynajmniej nie w oficjalnych pismach.

Opisałam to wszystko i wysłałam do „Tygodnika Powszechnego" z prośbą o wydrukowanie. Wydawało mi się, że akurat tam, gdzie sprawa miała swój początek, powinno znaleźć się jej zakończenie. Redakcja bez sprzeciwów mój tekst wydrukowała.

Zainteresowanie MSW Jasienicą korelowało z jego aktywnością na forum publicznym. To znaczy wzmogło się w czasie, kiedy redagowano List 34, a od lutego 1968 roku trwało nieprzerwanie. Przez cały ten czas recenzowano odczyty i prelekcje. O ile w latach pięćdziesiątych są to sprawozdanka dość mizernej jakości, z biegiem czasu znać pióro fachowca. Bo też i niewątpliwie autorami niektórych recenzji są koledzy po piórze. Władze bardzo interesowały się wszystkim, o czym rozmawiano w domu, w kawiarni, w knajpie i na towarzyskich libacjach. W każdej takiej sytuacji znajdował się ktoś, kto umiał potem skwapliwie opowiedzieć, co szeptał Słonimski Jasienicy w kawiarni PIW, a o czym dla odmiany rozmawiali Hertz z Jasienicą w knajpie Budapeszt. W poleceniach kazano zwrócić uwagę na poglądy Miklaszewskiej w sprawie Szpotańskiego lub też rozpoznanie przygotowań ewentualnych posunięć politycznych Słonimskiego. Zwracano uwagę na nowe twarze pojawiające się w otoczeniu „figuranta", głównie młodzież. Najbardziej istotne było docieranie do kanałów przemycania literatury z Zachodu oraz sprawdzenie, jak sobie z przesyłaniem własnej twórczości radzą krajowi autorzy.

Intrygowały też pseudonimy tych, którzy drukowali na Zachodzie i trudno było zgadnąć, kto jest kim. Ważną wiadomością było doniesienie o planowanym zebraniu ZLP czy też PEN Clubu, ustalenie, kto chce zabrać głos i w jakiej sprawie. Donosiciele niekiedy dublowali się, co dawało możliwość sprawdzenia faktów w kilku źródłach. I dopiero tak sprawdzone wiadomości oficer prowadzący zamieszczał w notatce, którą przekazywał swoim zwierzchnikom. Nie wydaje mi się słusznym pogląd, aby na tym najniższym poziomie można było produkować fikcyjne raporty. To miałoby krótki żywot i sprawa szybko by się wydała. Poza tym władza chciała mieć rzeczywisty obraz sytuacji. Mogła go potem w dowolny sposób naginać do aktualnych potrzeb dla przedstawiania w sądzie czy publikacji w prasie albo tak jak Gomułka wykorzystywać w przemówieniach. Stosowną do sytuacji wersję można było stworzyć już w wyższej instancji. Odniosłam wrażenie, że jacyś uczeni opracowywali naukowe metody działania sieci donosicielskiej. Z jednej strony dobrze zorganizowany aparat administracyjny, z drugiej wiedza z pogranicza psychologii, jak podejść do „figuranta”, by sam nie wiedział, kiedy przekazuje interesujące TW fakty. Nie pogardzano szczególikami niebudzącymi żadnych podejrzeń. (Znalazłam w teczce informację o tym, jaką naleweczkę własnej produkcji podaje moja babcia lepszym gościom). TW nie powinien też pozwalać sobie na interpretację faktów. Miał przedstawić konkretny raport, od wyciągania wniosków byli specjaliści. Niesubordynacje w składaniu doniesień ostro napominano. Raporty przekazywano raczej ustnie w lokalu kontaktowym w umówionym terminie, oficer prowadzący spisywał je na maszynie w kilku kopiach. Na zakończenie wydawał zalecenie co do rozpoznania i zreferowania na następnym spotkaniu. Spóźnienia były piętnowane, a o niestawieniu się w ogóle nie mogło być mowy.

Są ślady prób załatwiania swoich spraw osobistych, kiedy TW uskarża się na osoby postronne, niebędące przedmiotem inwigilacji, ale dla TW niewygodne. Na przykład na pana, który śmie twierdzić, że mieszkanie zajmowane przez TW zostało pozyskane w sposób zupełnie niezgodny z prawem, a sąsiedzi są nieprawomyślni, bo słuchają Radia Wolna Europa.

W pierwszych latach działalności IPN czytanie dokumentów w teczkach utrudniał przepis o konieczności zaczerniania nazwisk. Nie dotyczyło to takich osób, jak Wańkowicz czy Słonimski. Ale niekiedy zaczerniającemu pracownikowi i to się myliło. Wcale się nawet nie dziwię. Zaczernione są również pseudonimy TW i dlatego nigdy nie wiadomo, czy to ta sama osoba donosiła dwa razy w podobnej sprawie. Raporty w części niedotyczącej bohatera teczki są dla odmiany wybielane, czyli nie ma ich wcale, więc w materiałach znajdują się jakieś niezrozumiałe fragmenty. Ktoś musiał wykonać ogromną pracę, aby czytający dostał do wiadomości galimatias, z którym sobie nie może poradzić. W niektórych donosach widać, że ich autor stara się nic złego nie powiedzieć. W innych wychodzi przed szereg i obiecuje: *dziś jeszcze tego nie wiem, ale już jutro na pewno będę wiedzieć. Na razie nie chcę wzbudzić podejrzeń nachalnymi pytaniami*. Jedynym wzorcowym przykładem odpowiedzi na pytania przesłuchujących, zaplątane chyba przypadkiem wśród donosów, są zeznania Karola Modzelewskiego. Po prostu na każde pytanie pada krótkie: *Odmawiam odpowiedzi*.

Tenże Karol Modzelewski w rozmowie z Andrzejem Werblanem zawartej w książce *Polska Ludowa* pytał, dlaczego Gomułka zachował się w ten sposób w stosunku do Jasienicy. Padła odpowiedź, że to sformułowanie może być efektem niezręczności. Gomułka wiedział, ze Jasienica agentem nie był, ale wyłamał się ze swoistej deklaracji lojalności

złożonej przed uwolnieniem. Chyba nikomu słuchającemu tego przemówienia taka interpretacja nie wpadła do głowy.

Ci, co donosili na tatę, niewątpliwie w większości już zeszli z tego świata. Byłam ciekawa, co nimi kierowało. Jak się potem czuli? Czy nie interesowało ich zrzucenie z siebie niewątpliwego ciężaru? A może nic nie dźwigali, tylko sami czuli się pokrzywdzonymi? Partyjni koledzy literaci wyszli gorzej na uprawianiu procederu, gdyż nie byli tajnymi współpracownikami, a stanowili „kontakt obywatelski". Tenże kontakt nie zawsze miał pseudo i niekiedy występował pod własnym nazwiskiem, lub też pokazane są jego inicjały, co w środowisku osób dość znanych nie sprawia specjalnych trudności z rozszyfrowaniem go. „Kontakt" nie pobierał wynagrodzenia, ale miał profity w postaci paszportu czy talonu na jakieś nieosiągalne dobro. Wszystkim zaszkodziła wiara w nierychły upadek ustroju.

Chciałam ich poznać przez ciekawość, nie z chęci „podziękowania". Na zadawane mi pytanie o przebaczenie cytuję słowa wielkiego przyjaciela mojego taty Władysława Bartoszewskiego: *Nikt mnie o przebaczenie nie prosił*. Uważam je za jedyną odpowiedź na to pytanie. Nie noszę w sercu żadnych złych uczuć w stosunku do tych ludzi, którzy niestety dość dotkliwie, pośrednio zaważyli na mojej przyszłości. Mój stosunek do nich znajduje się na pograniczu litości i ubolewania, że tak nikczemne utwory przyszło im płodzić.

I dobrze rozumiem, dlaczego ustawa o IPN rodziła się z wielkimi trudnościami. Wiele osób musiało być zainteresowanych tym, żeby była ona jak najbardziej pokrętna i uniemożliwiała dotarcie do prawdy. Przecież każde środowisko było penetrowane przez „życzliwych", którzy stanowili niemały procent społeczeństwa. W *Ostatniej z rodu*, wspominając ukręcenie łba śledztwu dotyczącemu rozkradzenia skarbów Zygmunta Augusta przez

Annę Jagiellonkę, Paweł Jasienica napisał: *Ciemna przeszłość i wspólne grzechy to niezły cement na tym padole.*

Stanowiska TW nie proponowano byle komu. Osoba taka musiała być w miarę sprytna i inteligentna, a dopiero w drugiej kolejności starano się mieć na nią jakiegoś haka. Takie typy potrafiły znaleźć się w nowej rzeczywistości i zadbać o zatarcie śladów.

Tu dochodzę do prawdy najbardziej dla mnie bolesnej, której ojciec – mam tę nadzieję – nigdy nie poznał. Otóż od roku 1965, czyli zaraz po śmierci mamy, do inwigilacji Pawła Jasienicy została oddelegowana Zofia Kazimiera Nena Obretenny z domu Darowska. Jedna z lepszych agentek w historii PRL. Nie spodziewałam się natknąć na nią w tym miejscu. Zdobyła sympatię i zaufanie ojca, a donosy pisała w niektórych okresach codziennie. Informowała o jego poglądach i zamierzeniach, spotkaniach z przyjaciółmi, planowanych wystąpieniach na forum Związku Literatów czy PEN Clubu. Wypowiedź ojca dotycząca ograniczenia się w pisaniu do pierwszej połowy XVIII wieku też pochodzi z jej raportu. Rozmawiał o swoich planach z jakimś innym historykiem (nazwisko zaczernione). Donosiła przy okazji na całe literackie towarzystwo i osoby z nim związane. Niekiedy z własnej inicjatywy informowała o postępkach osób całkowicie postronnych, ale w jakiś sposób dla niej niewygodnych. Przyjęła pseudonim „Ewa”, a po ślubie przemianowano ją na „Max”. Twierdziła, że jej nazwisko pisze się O’Bretenny, jako że była żoną Irlandczyka poznanego w czasie wojny. Miała z nim syna, ale ich małżeństwo trwało krótko.

Pamiętałam, że w swoich *Dziennikach* Kisiel ją gdzieś opisał. Nie mogłam jednak znaleźć tego fragmentu, chciałam już zrezygnować z cytatu, kiedy pomyślałam o niezawodnej teczce. I już wszystko było jasne. 30 kwietnia TW donosi: *W niedzielę 27.IV.69 P. Jasienica zatelefonował ode*

mnie z domu do S. Kisielewskiego, zapraszając go do siebie na wtorek 29.IV, na godzinę 18-tą po odbiór książek i na małą wódkę. Sięgam więc do *Dzienników* i pod datą 3 maja znajduję: *Zapomniałem napisać, że byłem u Jasienicy, postanowił bowiem przedstawić mi „swoją panią”. Jest to osoba wyszczekana, inteligentna, bywała, jeszcze „akówka”, ale coś mi za mądra.* Oczywiście sprawozdanie z tego spotkania zawarte jest w doniesieniu. Mamy tam głównie monolog Kisiela. Dowiadujemy się o chorobie Zawieyskiego, spotkaniach z Putramentem, jest też analiza wystąpień obu panów na lutowym zebraniu literatów. Omówiono sprawę podsłuchu i cieszono się, że Stefana Arskiego zdjęto z redakcji „Świata”. Omawiając zagadnienie podsłuchu, Kisiel opowiedział, jak kiedyś popiwszy z Hercem i Andrzejewskim, stwierdzili, że jest nudno i może by tak zabić Gomułkę. Po pewnym czasie Kliszko dał Kisielowi do zrozumienia, że słyszał o pomyśle zgładzenia towarzysza Wiesława. Cytuję tylko niewiele donosów tej pani, nie recenzuję jej, jakże bogatej twórczości. Tę czynność pozostawiłam badaczom akt IPN. Zdaję sobie sprawę z tego, że okres donoszenia na mojego ojca stanowi tylko niewielki wycinek jej bogatego donosicielskiego życiorysu.

Po zapoznaniu się z zawartością teczki długo zastanawiałam się, czy publicznie ujawniać jej treść w odniesieniu do głównej autorki donosów. Radził mi tego nie robić Władysław Bartoszewski. W *Dwu drogach* ojciec nie pochwala stanowiska autora pamiętnika, w którym przemilczano ważne fakty dotyczące śmierci w pojedynku Stefana Bobrowskiego z uwagi na to, że nie żyje osoba, która je ujawniła.

Nic chyba nie może wtrącić historyka w głębszą rozpacz niż tego rodzaju filozofia. Więc w chwili śmierci dramatis personarum *sprawy ich dotyczące mamy uważać za skończone, zamknięte… (…) Jakaś obłudna*

świętoszkowata mania przemilczania i zasłaniania podłości, jeśli tylko sprawcami ich byli „swoi”, rodacy.

Analogia jest tu dość naciągana, ale w miarę usprawiedliwia moją zgodę na publikację faktów, które i tak wytropili dziennikarze.

Ta „za mądra pani” doprowadziła do zawarcia małżeństwa na 8 miesięcy przed śmiercią taty. W ten sposób stała się współspadkobierczynią praw autorskich Pawła Jasienicy. A po jej śmierci prawo do dziedziczenia po moim tacie zachował jej syn z pierwszego małżeństwa.

Nasze mieszkanie wdowa zamieniła na inne i w nim przebywała do śmierci. Oprócz mieszkania z wyposażeniem, pamiątkami, z takim trudem przewiezionymi z Wilna, oraz cenną biblioteką syn odziedziczył też prawa autorskie (w 50%). Mniej rzeczy przepadło nam w Wilnie niż wskutek tego jakże krótkiego związku małżeńskiego.

Nie byłam w stanie zaakceptować tego, aby wspólnie z nim podpisywać umowy wydawnicze, gdyż o możliwości drukowania twórczości Pawła Jasienicy nie może decydować osoba, która nabyła swoje prawo od agenta służb bezpieczeństwa, które to służby za tę właśnie twórczość prześladowały autora. Tą metodą realizował się już w wolnej Polsce wydany w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia zapis na publikacje Pawła Jasienicy.

Uważałam, że decyzje o wydawaniu książek muszę podejmować sama, bez udziału osoby, z którą ani mnie, ani mojego ojca nic nie łączyło. Szukałam pomocy prawnej, wierząc, że racja jest po mojej stronie.

Pierwszy adwokat, do którego się zwróciłam, po przejrzeniu nielicznych akt powiedział, że sprawy się nie podejmie, bo jest nie do wygrania z uwagi na przedawnienie. A przecież prawda wyszła na jaw dopiero po odtajnieniu teczek, wcześniej nie mogłam się z nimi zapoznać.

Nie traciłam jednak nadziei. Rozmawiałam z kolejnymi mecenasami biegłymi w prawie autorskim, w tym z prawnikiem ZAIKS, jednak wszyscy twierdzili to samo.

Różni wydawcy proponowali mi wznowienie dzieł Jasienicy, które w międzyczasie zniknęły z półek w księgarniach, ale z oczywistych powodów nie mogłam podpisać takiej umowy. Niektórzy nawet skłonni byli pokryć koszty ewentualnej przegranej w sądzie po nieprawomocnym podpisaniu przeze mnie umowy wydawniczej. Zaczęłam tracić nadzieję na rozwiązanie tej trudnej sytuacji, czułam się bezradna w obliczu bezwzględnych przepisów.

Kiedyś podczas narciarskiego wyjazdu opowiedziałam o tym mojej przyjaciółce; ot takie gadanie, kiedy jedzie się wyciągiem. Po paru dniach zadzwoniła i mówi: *Wiesz, byłam na spotkaniu towarzyskim, w którym uczestniczył też mój znajomy Maciek Bednarkiewicz. Opowiedziałam mu o twoim problemie, a on zapytał, czy zgodziłabyś się, żeby zajął się tą sprawą*. Nie byłam pewna, czy nie śnię. Nazwisko Bednarkiewicz było znane od czasu słynnych komuszych procesów. A tu nagle ktoś taki chce się zająć moim problemem. Oczywiście byłam zachwycona i wdzięczna. Mecenas osobiście pojawiał się u mnie w domu, przeglądał akta sądowe, dokumenty z IPN. Podpisałam mu akt pełnomocnictwa do reprezentowania mnie w sprawie o „uznanie spadkobiercy za niegodnego dziedziczenia”. Złożył pozew w stosownym sądzie i pozostawaliśmy dobrej myśli.

Nasz optymizm trwał dość długo, gdyż druga strona jakoś nie paliła się do odwiedzenia sądu – czas płynął, terminy się odwlekały. Wreszcie rozprawa się odbyła, a nawet pozwany wnosił o wydanie orzeczenia zgodnie z żądaniem pozwu. Wydawałoby się, że na tym wszystko się zakończy, ale sąd uznał, iż powództwo zostało wniesione z uchybieniem terminu, który to termin mijał z dn. 19 sierpnia 1973 roku, czyli 3 lata po

śmierci ojca. Mój pełnomocnik oczywiście złożył apelację, która również została oddalona.

Różni znajomi prawnicy mówili, że to już koniec i nie ma sensu dalej walczyć, ale nie Maciej Bednarkiewicz. Po pierwsze, pouczył mnie, że wyroków sądu nigdy się nie krytykuje ani nie komentuje (to akurat już się chyba „przedawniło” i nie obowiązuje). Następnie zaczął rozmyślać nad zupełnie innym podejściem do sprawy. Pojechał z żoną do Rzymu i z wizyty u Ojca Świętego w Watykanie wrócił z nową koncepcją.

Wniósł pozew o podział majątku pozostawionego przez mojego tatę. Przedmiotem spadku miały być: księgozbiór pozostawiony przez ojca w mieszkaniu, które użytkował mój oponent, oraz prawa autorskie. Pozwany w międzyczasie przemyślał sprawę i zmienił zdanie. Już nie chciał rezygnować z praw autorskich, co przedłużało trwanie procesu. W ciągu pięciu lat wielokrotnie spotykaliśmy się w sądzie. Przez cały ten czas czułam ogromne wsparcie Macieja Bednarkiewicza. Przeprowadził mnie i moją rodzinę przez ten ponury dla nas czas. Wierzył, że musi doprowadzić proces do pozytywnego zakończenia. I rzeczywiście w grudniu 2006 roku zapadł wreszcie wyrok dla mnie korzystny. Dokonany został podział majątku, w wyniku którego przyznano mi 100% praw autorskich do książek Pawła Jasienicy. Obawiam się jednak, biorąc pod uwagę ostatnie wieści dotyczące reformy sadownictwa, że to może nie być koniec tej sprawy.

Muszę tu dodać, że swoje działania pan mecenas potraktował zupełnie bezinteresownie. Wielokrotnie wspominał, że uznaje za swój obowiązek występowanie w sprawach, które uważa w swoim sumieniu za słuszne. Zazwyczaj też odnosi wtedy sukces. Wydaje mi się, że miał w tym aspekcie specjalne porozumienie z Duchem Świętym.

Po 2007 roku ukazały się prawie wszystkie książki mojego ojca, a fakt, że rozeszły się w wielkich nakładach i w dalszym ciągu są poszukiwane, świadczy o tym, że walczyliśmy o dobrą sprawę.

Proces trwał długo i stawał się ciekawym tematem dla różnych mediów. Niektóre, co „rzetelniejsze", donosiły, że wykłócam się o majątek z własnym bratem. Na poszczególne rozprawy przychodzili reporterzy, zainteresował się tym także rzecznik praw obywatelskich. Zofia i Zbigniew Romaszewscy zgłosili kandydaturę Pawła Jasienicy do corocznie przyznawanego przez IPN tytułu: Kustosz Pamięci Narodowej. Tytuł ten został przyznany mojemu ojcu 19 czerwca 2007 roku – na Zamku Królewskim odbyła się podniosła uroczystość wręczenia statuetek i dyplomów.

Książki Jasienicy zaczęły się ukazywać jedna po drugiej w wydawnictwie Prószyński i S-ka. Wydano wszystkie pozycje historyczne oraz reportaż z podróży do Chin. Zrezygnowano natomiast z trzech pozycji: *Wisła pożegna zaścianek*, *Opowieści o żywej materii* i *Zakotwiczeni*. Jak zrozumiałam, wydawnictwo postrzegało je za nieco socrealistyczne. Zorganizowano akcję promocyjną pod hasłem: *Jasienica – powrót*. Odbyła się też uroczystość odsłonięcia pamiątkowej tablicy na domu, w którym mieszkaliśmy przy Dąbrowskiego. Prowadził ją młody Orłoś – Maciej. Gościem honorowym był profesor Władysław Bartoszewski wraz z małżonką. Stawili się też liczni znajomi i sąsiedzi. Była to niezwykle miła uroczystość. Później Rada Warszawy postanowiła nazwać którąś z ulic w stolicy nazwiskiem taty. Proponowano jedną z większych arterii w osiedlu Wilanów, ale moje dzieci wymyśliły, że odpowiedniej będzie nazwać tak rondo na skrzyżowaniu Dąbrowskiego i Łowickiej w pobliżu naszego byłego mieszkania i wiszącej tam tablicy. Na posiedzeniu rady nasza Kasia, jako przedstawicielka familii, powiedziała, że wielkości

pisarza nie mierzy się długością ulicy jego imienia. No i mamy rondo Pawła Jasienicy w miejscu, gdzie codziennie chodził. Przy ewentualnej kolejnej zmianie nie trzeba będzie przerabiać dokumentów, ponieważ rondo jest miejscem bezadresowym. Ulice jego imienia znajdują się teraz i w innych miastach.

Z inicjatywy wydawnictwa Prószyński i S-ka imię Pawła Jasienicy nadano II Społecznemu Liceum w Warszawie. Wielką uroczystość z tym związaną uświetnił swoim wystąpieniem niezawodny profesor Władysław Bartoszewski. Były przemowy dyrekcji, uczniów i również naszej Kasi w imieniu rodziny.

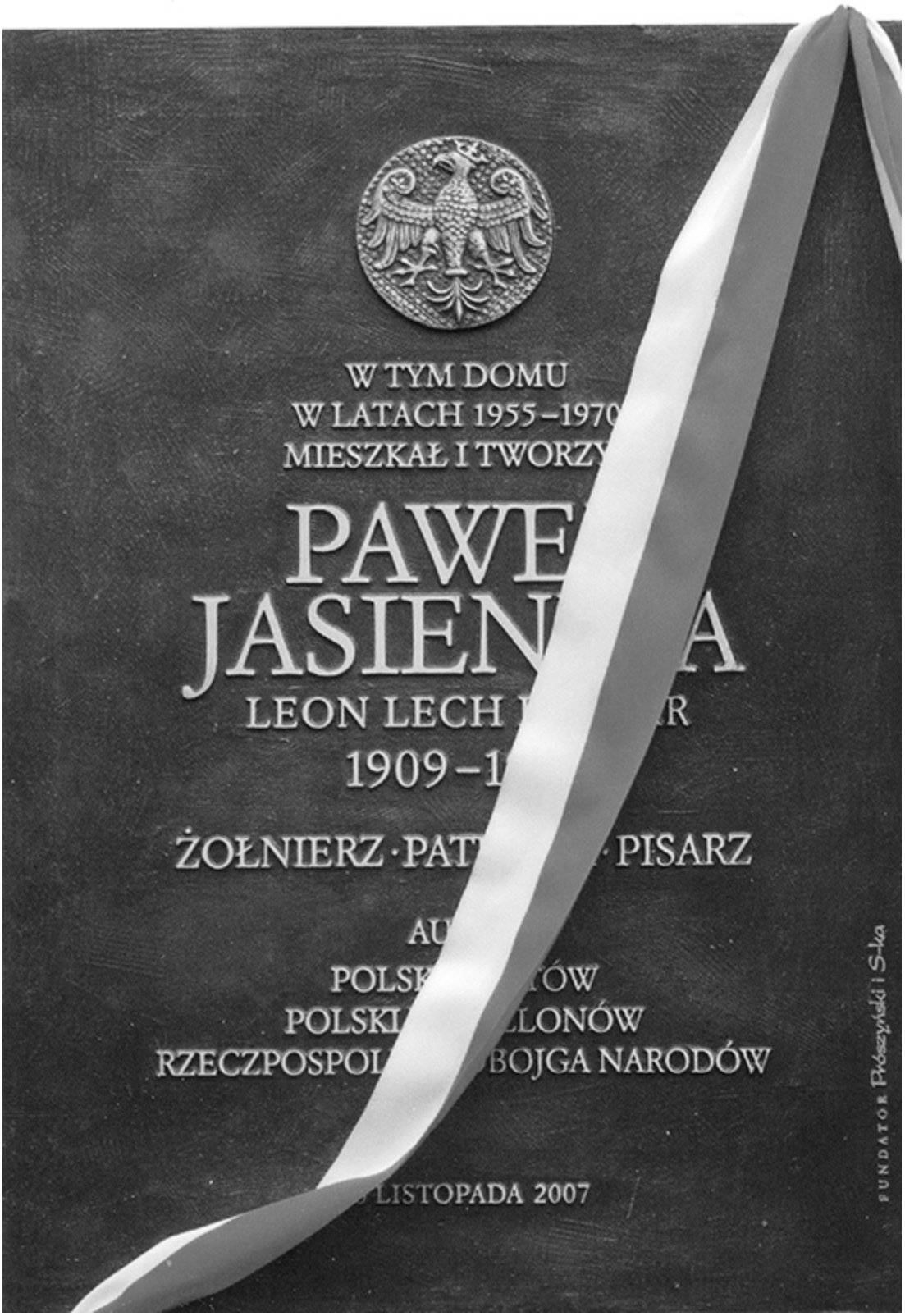

Tablica na ul. Dąbrowskiego 75b

Trochę się obawiałam, że Jasienica zostanie zaliczony w poczet „żołnierzy wyklętych”, czego by sobie na pewno nie życzył. Jak już wspominałam, nie uważał za celowe walczenie z nową władzą, nie liczył na powrót Andersa na białym koniu ani na III wojnę światową.

3 maja 2007 roku został przyznany ojcu Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski, który przekazał moim dzieciom prezydent Bronisław Komorowski 1 marca 2011 podczas uroczystości Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych.

Pewnego dnia w „Gazecie Wyborczej” ukazała się prośba Remigiusza Grzeli o ewentualne skomunikowanie się z nim osób, które znały panią Zofię Nenę O’Bretenny. Redaktor, którego interesują życiorysy nietuzinkowych kobiet, był zafrapowany osobowością tejże pani i chciał coś o niej usłyszeć od kogoś ze znajomych. Zgłosiła się tylko jedna osoba – z rodziny. Wyjaśniła, że pierwszym małżonkiem nie był żaden Irlandczyk, tylko rodowity Polak imieniem Jerzy, który niedawno zmarł. Nazwisko zawsze pisało się Obretenny. Potwierdzenie tej wersji znalazłam w dokumencie, który kandydatka na TW podpisała przy okazji, gdy została zwerbowana do współpracy. Oświadczyła, że przyjęła zmienioną wersję nazwiska, a opowiadała o Irlandczyku po prostu „z chęci pokazania się w środowisku”.

W kilka lat po procesie zdecydowałam się jednak złożyć w IPN wniosek o odtajnienie nazwisk donosicieli. Co pewien czas dostawałam jakąś wiadomość. Większość nazwisk nic mi nie mówiła. Byli to ludzie urodzeni na ogół w początkach XX wieku, mający coś wspólnego ze Związkiem Literatów. Niekiedy były to nawet słynne pióra. Jednym z nich okazał się były konkurent do ręki ciotki Ireny Brzozowskiej. Często pojawiał się na różnych rodzinnych imprezach, wdawał w dyskusje polityczne z tatą i innymi biesiadnikami. To od niego chyba pochodzi donos

o naleweczce produkowanej przez babcię. Z zalotów jakoś na szczęście nic nie wyszło.

Okazało się też, że nie tylko w warszawskim oddziale IPN, ale również w rzeszowskim, znajdują się stosowne donosy. Tu w 1968 roku założono sprawę obiektową „Zapora". Interesowano się Kaziem Orłosiem oraz mną. Starano się uzyskać „informacje dot. Pawła Jasienicy vel Beynar". Plon był słaby, gdyż ja już wtedy w Solinie nie pracowałam, a Orłoś, który tam wytrwał do końca budowy, nie był zbyt rozmowny. Jak donosi tamtejszy TW, Orłoś starał się pomniejszyć znaczenie zjazdu literatów, a węszący sprawę informator starał się czegoś o mnie i ojcu dowiedzieć od osób, które spotykały mnie w Warszawie. Nic ciekawego nie udało się przedstawić, więc doniesiono, że z ojcem wybieramy się na wesele „kogoś na połoninach", co poskutkowało dodatkowym nakazem sprawdzenia, kto w okresie wielkanocnym w gminie Cisna bierze ślub, i poleceniem „zabezpieczenia" tej uroczystości. I tu znów pudło. Nigdzie nie pojechaliśmy.

Tak sobie nieraz myślałam, że historia szpiegowsko-kryminalna z udziałem (niestety) naszej rodziny może kogoś zainspirować literacko. No i stało się. Najpierw po długich perypetiach powstał film dokumentalny pt. *Polska Jasienicy*. Miał czterech ojców, to znaczy reżyserzy zmieniali się czterokrotnie. Film tworzą trzy części: 1. – żołnierz wyklęty, 2. – wróg publiczny, 3. – tajny współpracownik: żona. Tu w miarę obiektywnie przedstawiono działalność Jasienicy oraz „okoliczności towarzyszące". W dużej mierze zadbano jednak o wątek donosicielski. Film furory nie zrobił. Brałam udział w jego powstawaniu jako osoba odpytywana w różnych sytuacjach. Najbardziej cenię sobie z tego okresu, obok znajomości z Remigiuszem Grzelą, możliwość odwiedzin redakcji „Tygodnika Powszechnego" i rozmowy z pracownikami, szczególnie

z Józefą Hennelową, oraz wizytę w fundacji imienia Jerzego Turowicza, gdzie między innymi znajdują się pamiątki po ojcu.

Ukazała się też w 2005 roku książka Joanny Siedleckiej *Obława. Losy pisarzy represjonowanych*, gdzie w doborowym towarzystwie różnych „figurantów", kolegów po piórze, występuje mój tata. Jego zdjęcia wykonane w więzieniu, w charakterystycznych trzech ujęciach, zdobią nawet okładkę tej książki. Okazało się, że dziennikarz czy literat ma większe przywileje we wglądzie do akt IPN niż zainteresowany zwykły człowiek. Pani Siedlecka mogłaby nawet zajrzeć do teczki TW „Ewa", gdyby nie fakt, że taka teczka zdążyła zniknąć. Wykonywane przez TW „Ewa" /„Max" liczne raporty są zachowane w teczkach poszczególnych figurantów.

Zostało tylko zobowiązanie do współpracy oraz lista wypłat, którymi ludowa ojczyzna rekompensowała trudy śledzenia Jasienicy i innych pisarzy. Odbyły się 463 spotkania TW z prowadzącym oficerem, dokonano 160 razy wypłaty w kwotach między 500 a 4000 zł. (Jak mizernie przy tym wypadają donosy i profity domniemanego TW „Bolek", którego teraz usiłuje się narodowi wmówić). Trzeba przyznać, że wynagradzano ją odpowiednio do zasług, co nawet wzbudziło pewien niesmak u prowadzącego oficera. Dla porównania dodam, że na zachowanych recenzjach książek Jasienicy, pisanych mniej więcej w tym samym czasie przez uznanych historyków, widnieją niekiedy notki od wydawnictwa: *proponuję 1000 zł, proponuję 1500 zł.* Przy okazji kontaktów z producentką filmu, o którym wspominałam, dowiedziałam się, że ona dla odmiany dotarła do teczki syna tej pani, a mojego sądowego adwersarza. I tu bardzo pozytywna wiadomość, szczególnie na tle całego wylewającego się z teczek paskudztwa. Otóż był on proszony o udostępnienie swojego mieszkania (w którym schronił się w 1968 roku mój tata) jako lokalu kontaktowego dla

służb. Zapewne chciano wykorzystać już istniejące tam instalacje. Okazało się, że właściciel zdecydowanie odmówił. Motywował to różnymi godzinami pracy swojej i żony, co miało powodować, że zawsze ktoś jest w domu i nie ma możliwości zapewnienia gościom swobody porozumiewania się.

Joanna Siedlecka napisała jeszcze jedną książkę (w 2008 roku): *Kryptonim „Liryka”. Bezpieka wobec literatów*. Tu nazwisko Jasienicy pojawia się wielokrotnie, ale nie jest on głównym bohaterem dzieła. Bohaterami zostali literaci, którzy zdecydowali się współpracować ze Służbą Bezpieczeństwa. Jest ich niemało i lepiej nie wspominać, o kogo chodzi. Mrówczą pracę musiała wykonać pani Joanna, przekopując się przez te wszystkie kompro-materiały. Ale ponieważ w IPN zmieniły się zasady, nie musiała się głowić nad zaczernionymi nazwiskami i jako osoba upoważniona, mogła robić notatki, prosić o ksero.

Dla wiadomości komisji zajmującej się aferą związaną z Amber Gold nadmieniam, że pozostająca w zainteresowaniu posła Suskiego osoba o pseudonimie „Caryca” to Halina Auderska. Zmarła w 2000 roku. Ta wiadomość wypłynęła przy okazji omawiania (przez panią Siedlecką) jednego z donosicieli, który marzył o zastąpieniu „Carycy” na stanowisku szefowej ZLP.

W 2009 roku rozeszła się wieść, że Jan Kidawa-Błoński kręci film *Różyczka* oparty na życiorysie Pawła Jasienicy. Tu na starość wykazałam czujność. Lata doświadczeń! Swoimi drogami postarałam się o scenariusz, z którego wynikało, że rzeczywiście powstaje dzieło, w którym można dopatrzeć się losów Pawła Jasienicy, ale także Petera Rainy, a zakończenie z kolei nawiązuje do niewyjaśnionej zagadki śmierci Jerzego Zawieyskiego. Na Petera Rainę donosiła przez wiele lat jego ukochana żona. Sam to opisał w książce *Bliski szpieg*. Z życiorysem Jasienicy scenariusz niewiele miał

wspólnego, więc postanowiłam porozmawiać z reżyserem. Pan Kidawa-Błoński odwiedził mnie, miło pogadaliśmy i dowiedziałam się, że pomysł wypuszczenia zajawek filmu z adnotacją, że to życiorys Jasienicy, pochodzi od producenta, czyli firmy Monolith Films. Oczywiście był to zamysł marketingowy. Jasienica dobrze się sprzeda. Wykorzystując znajomości moich już bardzo dorosłych dzieci, nawiązałam kontakt ze znaną kancelarią adwokacką LSW, która to wystosowała do producenta wezwanie wnoszące o usunięcie wszystkich informacji, że film *Różyczka* został oparty na faktach i jest inspirowany prawdziwą historią życia Pawła Jasienicy. Poskutkowało. Ale ponieważ sprawa rozniosła się po różnych redakcjach, zaczął się medialny szumek na temat pogwałcenia wolności słowa. Różne gazety były tym wstrząśnięte, a nawet dopadła mnie jakaś telewizja, kiedy byłam z wnukami na nartach i spod narciarskiego wyciągu w Błociskach musiałam tłumaczyć przed kamerą, o co mi chodzi. Ale najcudniejszej interpretacji mojego postępowania dokonał niezrównany Rafał Ziemkiewicz na łamach „Rzeczpospolitej”. Otóż stwierdził, że ja się tak staram o zatajenie prawdy, bo bronię honoru mojej matki, która jest tytułową bohaterką filmu. Powaliła mnie znana od dawna dociekliwość i rzetelność tego pana. Na łamach tejże „Rzepy” podziękowałam mu za uświadomienie mi, po latach życia w błędnym mniemaniu, kto mnie urodził, i to w wieku lat 14. Pan Rafał zdobył się na przeprosiny. Ta rewelacja przebiła doniesienia z minionego okresu o posiadanej przez mamę willi w Jasienicy i moich domniemanych studiach w Paryżu.

Dyskusja na temat uniemożliwiania przez rodzinę publikacji niewygodnych faktów z życia bohatera reportażu trwa do dziś. Czym innym jest jednak domaganie się niepodawania oczywistych faktów, a czym innym wmawianie, że wymyślona fabuła ma coś wspólnego z historyczną prawdą.

Innym przejawem wykorzystania tematu Jasienica był film *Współpracowałem z TW Ewa Max* nakręcony na zlecenie TVP Kultura. Tu zrealizowano pomysł skonfrontowania mnie z byłym „prowadzącym” TW „Ewę”. Zaaranżowano nasze spotkanie w moim własnym mieszkaniu. Nie wiem, jakie argumenty przekonały tego pana do udziału w filmie. Wcześniej odmawiał wszystkim, którzy wpadli na podobny pomysł. Okres był przedświąteczny, pan pojawił się z licznymi słodyczami w charakterze św. Mikołaja. Mocno starszy, trochę zaniedbany, opowiadał o swojej znikomej roli jako pracownika Służby Bezpieczeństwa. Niczego istotnego nie udało się z niego wydobyć. Zgadzało się z grubsza to, co opowiedział autorom książki *Pajęczyna*. W książce tej pokazano przebieg kariery niektórych, chętnych do takich rozmów, agentów Służby Bezpieczeństwa średniego stopnia. Zdanie wypowiedziane przez jednego z bohaterów *Pajęczyny* daje mi częściowo odpowiedź na pytanie, dlaczego moja macocha została tajnym współpracownikiem. Otóż czytam: *Niektórzy ludzie rodzą się donosicielami. Donosicielstwo w nich dojrzewa, aż w końcu zjawia się oficer SB, który jest wybawieniem dla donosiciela, spełnieniem jego potrzeby donoszenia.* Może o to chodziło? Choć prawdy raczej nie poznamy do końca.

Bida-Temida

BLOG.RP.PL/ZIEMKIEWICZ

Pod jednym, jedynym względem zaczynamy przypominać Amerykę – w pieniactwie sądowym. Wdowa po Kapuścińskim prześladuje jego biografa, rodzina Rosatich straszy sądami Andrzeja Żuławskiego i „Krytykę Polityczną”... Niekiedy pogróżki takie mają charakter wręcz bezczelny, jak wtedy, gdy córka TW „Ewa-Max” próbuje za pomocą sądowej cenzury uniemożliwić upowszechniania haniebnej prawdy o swojej matce i odrażającej roli, jaką odegrała w życiu męża i jego przyjaciół.

Na dodatek okazuje się to skuteczne, skoro, jak wyznał reżyser dotykającego tych spraw filmu, jedna z gazet pod wpływem jej pogróżek wycofała z druku gotowy już wywiad o filmie. Cóż, przykład dał przecież oberguru i największy z żyjących autorytetów moralnych... Było oczywiście do przewidzenia, że tak się stanie. Dla wszystkich, z wyjątkiem, oczywiście, kolejnych rządów, które nieszczególnie zatroszczyły się o przygotowanie polskich sądów do czekających je wyzwań. Bo przecież głośne w mediach pyskówki to nic w porównaniu z lawiną sporów towarzyszących aktywności gospodarczej. A bez sprawnych sądów nie ma wszak mowy o normalnej gospodarce. Tymczasem rzeczywistość polskiej Temidy to wciąż, jak za króla Ćwieczka, sterty teczek z aktami,

rzystane równie nieefektywnie, jak środki przeznaczone na ten sam cel w już funkcjonujących unijnych programach. Chciałbym się mylić.

—*Włodzimierz Zielicz, Warszawa*

„Bida-temida"

Siedzę sobie z wnukami na wsi cichej, gdzie prasa nie dociera, a TV nie odbiera, aż tu donoszą mi ze stolicy, iż w środę 3 marca niejaki pan Ziemkiewicz zechciał przyjrzeć się mojej genealogii i pokrótce przedstawić na łamach „Rz" moje bezczelne zachowanie. Pełna skruchy, z pewnym opóźnieniem, wyrażam niezwykłą wdzięczność autorowi notatki „Bida-temida".

Dotychczas żyłam w bezpodstawnej świadomości, że matka moja była Władysława z

14. wiośnie życia inna kobieta. Domniemywałam też, jakże bezpodstawnie, że uprzedzałam media, aby nie pisały o filmie „Różyczka" jako o relacji z ostatnich lat życia mojego ojca Pawła Jasienicy. Teraz już wiem, że było to domaganiem się sądowej cenzury.

Przekonana o niezwykłej dziennikarskiej rzetelności pana Rafała Ziemkiewicza uważam, że jego wyjątkowo trafne pochylenie się nad moją skromną osobą będzie wzorcem dla wszystkich młodych ludzi pióra niezależnie od tego, w którym salonie zasiadają.

—*Ewa Beynar-Czeczott*

Odpowiedź

Niniejszym ze wstydem uderzam się w pierś. Wieść o zamieszaniu wokół filmu „Różyczka" dotarła do mnie w wersji przekreconej i w ferwo-

O szacunek dla prawdy i wolnego sł

Protestujem zbawienia Gargas po „Towarzysz gen ska zastępcy dy gramu 1 TVP. D przykładem nie nych represji za ustawowego ob jest przekazywa dia wiedzy o fak rzeczywistością stwem godzący słowa, jest prób nia w TVP czerw przez pogrobow

Polemika z Rafałem Ziemkiewiczem

W 2015 roku w Wydawnictwie Universitas ukazała się książka *Polska Jasienicy. Biografia publicysty*, napisana przez Arkadiusza Kierysa. Autor jest absolwentem Wydziału Nauk Historycznych UMK, interesuje się między innymi poczynaniami intelektualistów będących w opozycji w okresie PRL. Pracuje jako nauczyciel historii w renomowanych szkołach w Toruniu. Rozpracował bardzo dokładnie i rzetelnie zarówno życiorys Jasienicy, jak też całą jego twórczość publicystyczną, począwszy jeszcze od okresu przedwojennego. Interesowała go głównie publicystyka. Pan Kierys przekopał się przez wojenne wydawnictwa i powojenne artykuły we wszystkich dostępnych archiwach. Książka zawiera mnóstwo odnośników do źródeł, z których autor czerpał. Ale nie jest to beznamiętna wyliczanka i streszczenie tego, co Jasienica napisał. Pan Kierys bardzo dokładnie rozumie, co Jasienica chciał powiedzieć, przekazać. Jakie były jego

poglądy i sposób patrzenia na rzeczywistość. Stara się iść tokiem myślenia publicysty. No i jak każdy porządny historyk ukazuje bohatera na tle aktualnej sytuacji dziejowej. Książka ta zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Sama tyle o ojcu nie wiedziałam, co wyszperał pan Arkadiusz. I właściwie zamiast pisać to wszystko, co powyżej, powinnam odesłać ewentualnych czytelników do pana Arka i jego *Polski Jasienicy*.

Czytając to, przez co przekopał się pracowicie pan Arek, nie mogę się oprzeć wrażeniu, jak trafnie ojciec umiał ocenić aktualną sytuację w kraju na podstawie historycznych przesłanek. Poczynając od stwierdzenia, że kto naukę historii chce traktować jak dziwkę, ten sobie samemu wystawia bardzo wymowne świadectwo. Bowiem zmorą jest metoda pisania dziejów, polegająca na totalnym rozbracie z obiektywizmem i przepuszczaniu materiału przez filtr poglądów i sympatyj politycznych autora. Słodzone w ten sposób dzieła nie służą pogłębieniu wiedzy i doświadczenia politycznego, jeno mają na celu przekonanie czytającego o nieomylności tego właśnie obozu czy ruchu, do którego należy autor. Tu pana Arka zacytuję: *Jasienica krytykował polski egocentryzm, myślenie o sprawach europejskich i światowych z perspektywy prowincjonalnych opłotków; zarówno my nie jesteśmy pępkiem świata, jak i sprawy nam bliskie i drogie nikogo na świecie nie obchodzą. Wnioski takie nie są wbrew rozpowszechnionym mniemaniom – odstępstwem od wymogów patriotyzmu, całkiem odwrotnie – właśnie obowiązek patriotyczny każe patrzeć prawdzie w oczy, bez względu na to, jaka ona jest. Przede wszystkim należy zapomnieć o mrzonkach mocarstwowości, o trzymaniu kogokolwiek za mordę, tym bardziej, że brakuje nam jakichkolwiek danych, by kiedykolwiek mocarstwem politycznym zostać*.

Ale to jeszcze nie koniec. Z okazji pięćdziesiątej rocznicy Marca ’68 Stowarzyszenie „Rojsty”, czyli znów pan Arek Kierys, wydało książkę:

autorytecie, jak.ci.na imię. Praca ma *być wyrazem hołdu tym, którzy w marcu 68 domagali się od reżimu rządzącego poszanowania podstawowych praw i wolności człowieka; mieli odwagę głoszenia własnych poglądów i stawania w obronie dyskryminowanych*.

Nie jest to jednak zestawienie poczynań wielu osób będących bohaterami tamtych wydarzeń. Tu całokształt przekonań Jasienicy stanowił podstawę do pokazania, jak doszło do wydarzeń marcowych. Autor nie przewidywał, pisząc ten tekst, że wstrzeli się dokładnie w kolejną narodową dyskusję o antysemityzmie, jaka się wywiązała po uchwaleniu ustawy o IPN i związanych z nią oficjalnych wypowiedziach nie tylko pana premiera.

Na zakończenie tej książki przedstawiono deklarację światopoglądową Jasienicy, zawartą w reportażu z podróży do Chin:

Jeżeli się przyjrzeć historii Europy w XIX i XX stuleciach, łatwo można zauważyć, że w miarę gruntownej demokratyzacji państw coraz bardziej wzrastał nacjonalizm. Nie ma w tym cudu ani sprawki szatana. Dochodzenie do głosu warstw ludowych jest zjawiskiem, bardzo dodatnim, ale i ten medal ma swoją drugą stronę. Uzyskały znaczenie te klasy społeczne, które poprzednio nie uczestniczyły w światowej wymianie dóbr kulturalnych. Ich widnokręgi były z musu ciasne i nie przekraczały granic gminy, miasta, w najlepszym wypadku własnego państwa. Ludzie tak wychowani silniej niż pozostali odczuwać mogą obcość innych, zupełnie sobie nieznanych kręgów kultury. Jeśli ludzie ci są obywatelami państwa słabego, będą się zamykać we własnych granicach jak żółw w skorupie, ze wstrętem odpychać wszelkie nowinki tudzież miazmaty tęsknie marząc o chwili, kiedy można będzie przygiąć do ziemi jeszcze słabszych. Lecz jeśli w grę wchodzi mocarstwo… O! wtedy zaraz się pojawia misja dziejowa, apostolski zapał do nawracania niewiernych i takich co się zabłąkali na

zgniłe manowce, rojenia o którymś tam z rzędu „Rzymie”. Bo przecież nie ulega wątpliwości, że właśnie w tym świetlanym mocarstwie wszystko jest naj…naj…naj…

Od dawna już uważam jedność świata i zgodę równouprawnionych narodów za najbardziej istotne, rozstrzygające o przyszłości zagadnienia. Najgorszym zaś wrogiem tych zasad jest nacjonalizm, rodzący żądzę panowania. Wszystkie zarówno laickie, jak i religijne teorie wykazały wobec niego zupełną bezsilność. Pokonać go może tylko jedna rzecz: kultura. Ale nie ta, która się mierzy wskaźnikami zużycia mydła i pasty do butów. Mówiąc o kulturze miałem na myśli duchowe obywatelstwo świata, wiedzę i wyczucie, jak bardzo różnorodne, zawiłe, względne i godne szacunku są jego sprawy.

Copyright © 2018, Ewa Beynar Czeczott
Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiejkolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw.

ISBN: 978-83-7779-507-1

Projekt okładki: Zuzanna Malinowska Studio
Zdjęcia na okładce oraz wewnątrz książki z archiwum rodzinnego Ewy Beynar Czeczott
Korekta: Jolanta Stal

www.wydawnictwomg.pl

kontakt@wydawnictwomg.pl
handlowyMG@gmail.com

Na zlecenie Woblink

woblink.com
plik przygotowała Anna Jakubowska